

BEATA GRYNCEL



PODRÓŻ Z DOLINY
HARSHIDELL

novaeres
WYDAWNICTWO INNOWACYJNE

Beata Grynczel

Podróż
z Doliny Harshdell



NOVAE RES

Spis treści

1. ZEMSTA PONAD WSZYSTKO

2. MOMENT ZROZUMIENIA

3. WYRZUTEK

4. DEMONY PRZESZŁOŚCI

Część 1. Punkt zwrotny

Część 2. Życie w Berkeley

Część 3. Faerl - niezwykle kobold

5. U STYKU DRÓG

6. CZYM JEST ZAUFANIE?

7. DROGA W NIEZNANE

8. PRZEWAGA LICZEBNA

9. RELIKT PRZESZŁOŚCI

10. KWESTIA UPRZEDZENIA

11. KLĄTWA ZETHAR

12. I CO DALEJ?

1. Zemsta ponad wszystko

ZA OKNEM ZDAŻYŁO SIĘ JUŻ ŚCIEMNIĆ, gdy coś huknęło w drzwi. Potem jeszcze raz. Drewniane wrota zadrżały pod siłą uderzenia. Wszyscy troje: elf, ludzka kobieta i młody półelfi chłopiec zerwali się z krzeseł ustawionych przy stole, natychmiast przerywając wieczorny posiłek. Jasnowłosa kobieta złapała swego syna za ramiona i popchnęła go w stronę kuchni, podczas gdy mężczyzna rzucił się do pokoju, gdzie trzymał broń. Matka wepchnęła chłopca za chłodny już piec kuchenny, stojący niemalże w rogu pomieszczenia. Pomiedzy ścianą a piecem było akurat tyle miejsca, by mogło się tam zmieścić szczupłe dziecko. Wskazała palcem, by chłopiec siedział cicho i nie się ruszał, póki ona po niego nie przyjdzie, zapewniła syna, że wszystko będzie w porządku i rzuciła się biegiem do swego elfiego męża.

Jednak nim zdążyła dobiec do pokoju, drzwi z hukiem wpadły do środka izby, uderzyły kobietę i odrzuciły ją pod ścianę. Do pomieszczenia wpadło czworo ludzi, a z pokoju wyszedł elf uzbrojony już w długi miecz. Warknął gniewnie

i rzucił się w stronę intruzów; w chacie rozległ się szcęk metalu uderzającego o metal i krzyki, głównie przekleństwa i groźby.

Półelfi chłopiec przyglądał się wszystkiemu z szeroko otwartymi szarymi oczami, w których widoczne było przerażenie. Jego ojciec walczył dzielnie z trzema mężczyznami. Dwóch z nich wyglądało niemal identycznie, zapewne byli braćmi. Natomiast trzeci, barczysty człowiek o czarnych włosach związanych w warkocz, o ogorzałej skórze, szerokiej twarzy z krzywym, połamanym nosem, wyglądał na dowódcę bandy. Pozostali wołali na niego Thaald.

Chłopiec przeniósł spojrzenie na matkę. Kobieta o ostrych rysach twarzy, szkarłatnych włosach i z tatuażem na prawym policzku podeszła do leżącej blondynki, podniosła ją, przytrzymując za szyję i przycisnęła do ściany. Przez chwilę spoglądała jej w twarz, a potem ku przerażeniu półelfa po prostu wbiła miecz w brzuch jego matki i kilkakrotnie przekręciła ostrze. Przysłuchiwała się cierpieniom i jękom konającej kobiety, po czym puściła ją, a ta osunęła się z łoskotem na podłogę. Leżała zwrócona twarzą w stronę kuchni. Resztkami sił skierowała spojrzenie ku piecowi i uśmiechnęła się lekko, choć kosztowało ją to wiele wysiłku. Młody półelf, Galandir Feidir, przytknął drobną piąstkę do ust, tłumiąc jęknięcie i szloch, które wzbierały gwałtownie w jego gardle. Zaszklonymi szarymi oczami patrzył, jak jego matka powoli

umiera. Jego oddech stał się ciężki, a szeroko otwarte oczy wyrażały przerażenie.

Wyglądało na to, że troje ludzi właśnie kończyło rozprawiać się z elfem. Chwilę później elf również leżał w kałuży własnej krwi, martwy. Bandyci zaczęli pałętać się po izbach chatki i zbierać cenniejsze przedmioty, a resztę rozrzucać po podłodze lub doszczętnie niszczyć to, co się dało zniszczyć.

Chociaż Galandir wiedział, że jego matka już nie przyjdzie po niego, gdyż leżała w przejściu pozbawiona życia, chłopiec zmusił się, by pozostać w ukryciu za piecem i zachować całkowitą ciszę. Przyglądał się napastnikom, mordercom jego rodziców, zapamiętując każdy szczegół ich wyglądu i przysłuchiwał się uważnie każdemu ich słowu. W czasie gdy oni szabrowali dom, półelf zdążył dowiedzieć się, że kobieta o szkarłatnych włosach to Ella, a dwaj bracia zwali się Lavin i Nastrid. Jednak chłopiec poświęcił najwięcej uwagi Thaaldowi, przywódcy tej bandy zbójów. Jego początkowe przerażenie zaczynało powoli przemieniać się w gniew, w niewyobrażalnie potężny gniew.

Kiedy mordercy opuścili już jego dom, półelf wciąż siedział skulony w swej kryjówce. Nie pamiętał, ile czasu tam spędził, ale gdy wreszcie opuścił ukrycie, wiedział jedno: zrobi wszystko, by dorwać tego Thaalda i odpłacić mu za jego czyny. Stojąc nad ciałami ojca i matki, złożył przysięgę, iż nie spocznie, póki ich nie pomści. Nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że przez cały ten czas z oczu sączą mu się wielkie, perliste łzy. Za oknem wciąż było

ciemno, a przez wyważone drzwi wpadało do środka powietrze. Wszędzie leżały poniszczone i rozrzucone przedmioty, a między nimi widniały dwie kałuże zasychającej już krwi.

Silne uczucia spowodowane wydarzeniami tego wieczoru oraz bezustanny potok łez wyczerpały młodego Galandira, dlatego chłopiec ułożył się na kuchennej podłodze i natychmiast zasnął. Następnego dnia poświęcił na wykopanie przed domem grobów dla rodziców. Powtarzając złożoną przysięgę oraz imiona bandytów, spakował do worka jedzenie, ubrania i resztkę pieniędzy, które rodzice zachowali w ukrytym miejscu i rzucając ostatnie smutne spojrzenie ku grobom oraz okradzionemu domostwu, osiodłał konia ojca i skierował się w jedyne znane mu miejsce – do Silvenmoor.

Rodzina Feidir mieszkała z dala od miast. Osiedlili się na Pustkowiach Irontear, które stały się skupiskiem wielu takich oddalonych od siebie o pół dnia drogi domostw. Mieszkańcy sami zajmowali się uprawą roli i hodowlą zwierząt, a co jakiś czas udawali się do Silvenmoor lub Sulindal. Rodzina Feidir postępowała podobnie, a gdy ojciec Galandira wyruszał na targ miejski, chłopiec czasem mu towarzyszył i dzięki temu mógł zobaczyć choć niewielką część tego, co oferowało wspaniałe miasto.

Utrata rodziców i konieczność opuszczenia domu zmieniły całe jego dalsze życie. Chłopiec musiał szybko wydorosnąć,

by poradzić sobie w przyszłości. Ponad wszystko pragnął zemsty na Thaaldzie i jego kompanach, jednak by zmierzyć się z nimi, musiał nauczyć się walczyć. Galandir znał podstawy szermierki i posiadał już jakieś skromne umiejętności, których nauczył go ojciec, ale to było stanowczo za mało. Zamierzał zatrudnić nauczyciela, który wyszkoli go na wspaniałego wojownika. By to osiągnąć, potrzebował pieniędzy, których nie miał i które musiał samodzielnie zarobić.

Następne lata spędził na odkładaniu oszczędności; nie bał się podejmowania każdej pracy, która dawała mu jakikolwiek zarobek. Były to głównie sprzątanie, pomoc w karczmach, bieganie na posyłki i przekazywanie wiadomości, ale także praca w magazynach, która wymagała siły fizycznej. Lata ciężkiej pracy utrzymywały Galandira w dobrej kondycji, nabrał siły oraz wytrzymałości. Nauczył się zachowywać spokój, a przede wszystkim zbierał dostateczną ilość złotych monet, by móc opłacić nauczyciela, który przybliży go o kolejny krok w jego najważniejszym życiowym celu.

Przez ten czas półelf stał się już młodym mężczyzną i w końcu udało mu się znaleźć w Silvenmoor Talaitha – elfa, który zgodził się wyszkolić go na prawdziwego wojownika. Przez kilka lat Galandir rozwijał swe umiejętności władania bronią, choć początki były trudne. Talaith okazał się naprawdę zręcznym wojownikiem, zachowywał spokój, mimo iż uczeń nieustannie popełniał błędy, i wytrwale powtarzał lekcje walki. Elfi nauczyciel

pragnął lepiej poznać swego ucznia, by mu pomóc, jednak Galandir nieustannie utrzymywał dystans, skupiając się jedynie na władaniu mieczem.

Determinacja półelfa popychała go nieprzerwanie do przodu, aż w końcu bez problemu dorównywał swemu mistrzowi w pojedynkach. Rzadko zdarzało się, by to Talaith wygrywał walkę. Ostatecznie nadszedł dzień, gdy obaj uznali, iż Talaith nie zdoła już przekazać niczego więcej swemu uczniowi. Półelf stał się doskonałym wojownikiem o wielkich umiejętnościach, tak jak tego pragnął, i potrafił wprawiać swe ostrza w prawdziwy taniec śmierci. Wreszcie nadszedł wyczekiwany latami czas, by rozpocząć taniec śmierci z Thaldem – mordercą jego rodziców.

Wykorzystując pieniądze, które mu pozostały, postanowił zatrudnić sieć szpiegów, którzy mieli mu dostarczyć informacje na temat poszukiwanego człowieka. Po rozpoczęciu współpracy z Kleithem, drobnym eleganckim mężczyzną o dużych, szarych i przenikliwych oczach, pozostało mu jedynie czekać, aż nowy znajomy ponownie skontaktuje się z nim i przekaże mu wszystko, czego się dowiedział.

Galandir Feidir cierpliwie znosił oczekiwanie. Przepelniała go chłodna chęć zemsty na bandycie, która towarzyszyła mu od tamtej pamiętnej nocy. Całe życie poświęcił w oczekiwaniu na moment, kiedy wreszcie zmierzy się z Thaldem. W osiągnięciu tego celu włożył tyle trudu, poświęcił tak wiele lat. Kiedy dopadały go chwile słabości i zwątpienia, nie poddawał się dzięki wspomnieniu

obietnicy złożonej nad ciałami matki i ojca, obietnicy, która stała się jego mantrą, wyznacznikiem życiowego celu.

Dzień, w którym Kleith skontaktował się z półelfem, miał być kolejnym, który pozostanie w pamięci wojownika na zawsze. Początkowa ekscytacja przemieniła się w rozczarowanie, a potem pustą rozpacz, która całkowicie pochłonęła półelfa. Informacje zdobyte przez wynajętego człowieka wyraźnie wskazywały, że owszem, niegdyś żył człowiek znany pod imieniem Thaald, który ze swoją niewielką bandą, w tym ekscentryczną kobietą, rabował i mordował. Jednak według Kleitha ów człowiek nie żył już od kilku lat.

Gdy Galandir usłyszał wieści, dotarło do niego, że właśnie stracił swój jedyny cel. To właśnie on napędzał mężczyznę, dodając mu sił, gdy jednak okazało się, iż nie ma już kogo ścigać, życie mężczyzny wypełniło się bezgraniczną pustką. Nie wiedział, co dalej począć. Do tej pory każdy dzień spędzał, ciężko pracując, jednocześnie wyrzekał się jakichkolwiek przyjemności i radości z życia. Kiedy jego cel zniknął, do półelfa dotarło, że wiedzie niezwykle jałową egzystencję, która nawet nie zasługuje, by nazywać ją życiem. Czuł się zagubiony jak małe dziecko porzucone w tłumie. Był pozbawiony jakichkolwiek nadziei czy marzeń. Nie pozwalał sobie wierzyć i tworzyć złudzeń, iż kiedykolwiek będzie mu dane posmakować rozkoszy życia i że ponownie zostanie ono wypełnione muzyką radości, jak wówczas, gdy był małym chłopcem.

Nic już nie czekało na Galandira we wspaniałym i potężnym Silvenmoor. To miejsce tylko przypominało mu o poniesionej porażce i stracie, dlatego postanowił opuścić je i udać się jak najdalej. Jego docelowym miejscem miała być Dolina Harshdell i leżące w niej trzy miasteczka.

Nie mając nikogo ani niczego, Galandir Feidir opuścił znane mu tereny, by dotrzeć do dzikich, wiecznie zmarzniętych i niezwykle niebezpiecznych ziem Północy. Instynkt przetrwania utrzymywał go przy życiu przez wiele lat, więc półelf nie wahał się ani chwili przed wyruszeniem w nieznaną. To miała być długa podróż, a on miał wędrować pieszo, jednak wiele wskazywało na to, że jeśli nie zboczy z traktu, uda mu się dotrzeć do Doliny Harshdell jeszcze przed nastaniem mroźnej zimy. Być może tam będzie mu dane zasmakować rozkoszy życia.

2. Moment zrozumienia

ZYCIE NA SCABARDZKICH ULICACH nie było łatwe. Zwłaszcza gdy nie miałeś domu, pieniędzy, rodziny lub kogokolwiek, kto by się tobą zaopiekował. Wiele dzieciaków wiodło właśnie takie życie w Scabard. Czasem niektórym z nich poszcęściło się i ktoś zgarniał ich z ulicy, przyjmując pod swój dach i dając nowe życie. Niektóre musiały ciężko pracować, by zarobić jakieś marne pieniądze na tyle jedzenia, by przeżyć do następnego dnia. Ci mieli nieco więcej szczęścia. Większość młodych uliczników nie była dość silna, by przetrwać w takich warunkach, i po prostu umierali w rynsztoku lub padali czyjąś ofiarą. Te silniejsze, które były dostatecznie sprytne i zdeterminowane, robiły co tylko mogły, by ujrzeć kolejny dzień. To właśnie w tej ostatniej grupie byli przyszli złodzieje, mordercy oraz inni przestępcy wszelakiego pokroju. Bo tego nauczyło ich życie: rób wszystko, bez względu na koszty, byle przeżyć.

Do tej grupy należała pewna dziewczynka, której los nigdy nie oszczędzał. Nazywała się Culchie Trevedic. Jako

dziecko została porzucona przez rodziców, którzy najwidoczniej nie mogli dłużej pozwolić sobie na utrzymanie jeszcze jednej głowy do wyżywienia. A może zwyczajnie jej nie chcieli. Dziewczynka nie pamiętała dokładnie, dlaczego pewnego dnia matka wzięła ją na spacer w nieznane rejony miasta i po prostu porzuciła bez słowa, nigdy już nie wracając. Po latach nawet nie pamiętała twarzy rodziców. Skazana na okrutny los i życie na ulicy, musiała nauczyć się walczyć o przetrwanie. W zaskakująco krótkim czasie odkryła mroczniejszą stronę samej siebie, i kradzież przestała stanowić dla niej problem. Dziecięca niewinność szybko opuściła tę kilkuletnią wtedy dziewczynkę.

Parę lat później nauczyła się, że dzięki swemu wyglądowi ma przewagę nad innymi. Umorusana twarzyczka okolona burzą czarnych loków i te wnikliwe niebieskie oczy wywoływały w ludziach litość. Nie zdawali sobie sprawy, że za tą fasadą kryje się dziki charakter, a nim mieli okazję się o tym dowiedzieć, najczęściej kończyli bez sakiewki lub martwi i ograbieni z wszelkich kosztowności. Mała Culchie nie wahała się wbić ostrza w czyjeś serce i patrzeć, jak życie uchodzi z ofiary. Wybór dla niej był prosty: przeżyją oni lub ona. Oczywiście dziewczyna ceniła swoje życie ponad ich.

Brudne ulice Scabard stały się dla niej domem. Śmierdzące rynsztoki, niebezpieczne okolice portu, które po zmierzchu były pełne pijaków, opuszczone magazyny i niewielkie domostwa, przemykanie z cienia w cień oraz

unikanie tych, którzy nie lubili, gdy ktoś wkraczał na ich teren łowny - to wszystko było codziennością, do której przywykła. Dzięki sile, sprytowi oraz determinacji udało jej się przeżyć.

Gdy osiągnęła wiek młodzieńczy i liczyła szesnaście wiosen, to ona stała się postrachem dla innych wychowanków ulicy. Ulicznicy uważali, by nie wkraczać jej w drogę i nie przebywać na jej terenie łownym, który szybko rozszerzał się na kolejne ulice. Culchie zdążyła wyrobić sobie reputację sprytnego i niebezpiecznego łotrzyka, zabójcy. Gdy stała się coraz lepsza w profesji, za którą karano śmiercią, jej życie nieco się poprawiło, przynajmniej na tyle, by nie musiała już sypiać w rynsztokach wśród bezdomnych i chorych, razem z odchodami, pchłami i innymi insektami. Jednak oznaczało to również większe niebezpieczeństwo, gdyż ktoś mógłby zechcieć pozbyć się jej jako konkurencji, żeby przejąć tereny scabardzkich ulic, które umownie należały do niej.

Również to było przyczyną, która ściągnęła na nią uwagę pewnej gildii najemników, o czym przekonała się pewnego dnia, co zmieniło jej całe życie. Dziewczyna słyszała plotki krążące po ulicach na temat owych najemników. Nie mieli zbyt pochlebnej opinii. Owszem, solidnie wykonywali swoje usługi - czasem nawet nazbyt solidnie - jednak wielu twierdziło, iż gildia jest jedynie przykrywką dla prawdziwych celów jej członków.

I tak spotkanie Jaoffa, chłopaka starszego od niej o trzy lata, sprowadziło młodą Culchie do gildii. Wysoki,

rudowłosy młodzieniec o zielonych oczach wyjaśnił jej, że mistrz gildii jest zainteresowany jej talentami i chciałby, by dziewczyna do nich dołączyła. Noszący na głowie kapelusz z szerokim rondem chłopak był dość przystojny i choć wydawał się nieco ekscentryczny, przedstawił niebieskookiej dziewczynie zupełnie nowy świat.

Culchie spędziła kolejne sześć lat w gildii, pod opieką mistrza Sevosa Ederada. Szkoliła swe umiejętności wraz z innymi, podobnymi do niej; nauczyła się sztuki pisania i czytania oraz wielu innych przydatnych rzeczy, które odróżniały ją od zwykłych, prostych uliczników. Stała się osobą zdystansowaną, chłodną w relacjach z innymi. Uczucia się dla niej nie liczyły i sama nigdy nie ujawniała swych emocji. Przybieranie maski spokoju opanowała wręcz do perfekcji.

Przyszedł czas, gdy gildia najemników ogłosiła swój upadek. Jednak nie oznaczało to wcale, że Culchie będzie musiała wrócić na ulicę. Mistrz Sevosa Ederad, stojący na czele tej organizacji, od lat przygotowywał się do tego dnia, to była część jego planu. W tajemnicy werbował w swe szeregi takich jak Culchie Trevedic i pomagał im rozwijać talenty, które posiadali. Upadek gildii najemników był jedynie początkiem gildii łotrzykowskiej pod nazwą Bractwo. Siedziba Bractwa przeniosła się w inne rejony miasta, a organizacja, działając w ukryciu przed strażnikami Scabard, szybko się rozwijała.

Bractwo stało się dla Culchie namiastką rodziny, której nie miała, miejscem, do którego wracała i które nazywała

domem. Wykazawszy się niezwykłym sprytem, dostawała najtrudniejsze, ale i najbardziej zaszczytne zlecenia. Bractwo zajmowało się wszystkim, co wykraczało poza prawo, a kobieta nie miała najmniejszych oporów przed wykonywaniem tego, co było od niej wymagane. Jej życie w Bractwie trwało kolejne cztery lata, podczas których udało jej się wspiąć na najwyższy szczebel w hierarchii organizacji, co było niemałym i imponującym osiągnięciem dla kogoś tak młodego. Dostała się do elity gildii i patrząc z tego miejsca na świeżo zwerbowanych nowicjuszy, dostrzegała, jak długą drogę pokonała w tak krótkim czasie.

Zdążyła się również nauczyć, że w tym miejscu nie istnieje zaufanie, pomimo że Bractwo było czymś w rodzaju jednej wielkiej rodziny. Owszem, istniał kodeks honorowy, według którego nie można było zabić innego członka gildii, jednak jak się kilkakrotnie okazało, był to jedynie kodeks umowny, którego czasem nie przestrzegano. Zawsze trzeba było pamiętać, by uważać, do kogo odwracało się plecami.

Jako młoda kobieta, mająca już dwadzieścia sześć lat, była najlepsza nawet pośród członków elitarnej grupy, stojącej w hierarchii bezpośrednio pod mistrzem Bractwa. Wszystko wiodło się pomyślnie do dnia, w którym zauważyła coś nowego i jednocześnie niepokojącego. Pozostali członkowie gildii zaczęli rzucać w jej stronę niespokojne spojrzenia, szeptali za jej plecami, obserwowali dokładnie każdy ruch i słuchali każdego wypowiedzianego słowa. Były to głównie osoby na wyższych pozycjach,

znajdujące się tuż pod elitarną grupą, osoby, które miały już okazję ją poznać. Kobieta zaczynała rozumieć, że coś się dzieje, w coś jest uwikłana, choć jeszcze nie wiedziała, o co dokładnie chodzi.

Kilka dni później miała okazję dowiedzieć się, co było powodem tego poruszenia w Bractwie. Przemierzając budynek, w którym znajdowała się siedziba organizacji, została przypadkowym świadkiem rozmowy, która nią dogłębnie wstrząsnęła. I to właśnie ta podsłuchana rozmowa skłoniła ją do podjęcia decyzji...

Głosy dochodzące zza drzwi były jej doskonale znane: mistrz Sevosa Ederad oraz Nastler – jeden z zabójców, należący wraz z nią do elity.

- Nastler, wybrałem cię do tego zadania, bo jesteś dobry w swoim fachu – odezwał się niski głos należący do mistrza Sevosa. - Trevedic stała się zbyt niebezpieczna dla mojej pozycji, a ja nie lubię takich sytuacji.

- No więc co zrobimy, szefie? – padło pytanie Nastlera.

- To chyba jasne: panna Culchie Trevedic ma zniknąć. I to bezpowrotnie, rozumiano?

- Oczywiście sprawa.

- Dziewczyna jest dobra, nawet zbyt dobra w tej profesji. I to jest problem. Uczeń nie może przerosnąć mistrza. Zresztą wam chyba też nie podoba się, że to ona jest na szczycie, co Nastler?

- Eee, no tak. Dostaje najlepsze zlecenia, psia mać.

- A więc sprawa jest prosta. Weź ze sobą jeszcze kogoś... może tę małą blondi, Merillę. Dziewczyna wie, jak załatwiać takie interesy. Dorwicie Culchie, jak będzie gdzieś poza siedzibą Bractwa i zajmijcie się nią. Czeka was sowita zapłata za trud i moja wdzięczność.

- Coś jeszcze, szefie?

- Tak. Nie zawieź mnie, Nastler. Wiesz, że tego nie lubię.

Culchie miała okazję poznać umiejętności Nastlera i Merilli. Dziewczyna miała zaledwie dwadzieścia lat, a tak wysoko zaszła. Z pozorów była jedynie drobną blondyneczką o krótkich włosach i niebieskich oczach, zdawała się zupełnie bezbronna i niewinna, jednak Culchie wiedziała, jak bardzo wygląd może być mylący i zgubny w przedwczesnej ocenie. Natomiast Nastler był mężczyzną przed trzydziestką, miał ogorzałą skórę, brązowe włosy i charakterystyczną kocią bródkę. Należał do osób pewnych siebie i było to dostrzegalne w jego ruchach.

Podśluchana rozmowa wyjaśniła dziwne zachowanie członków gildii wobec Culchie. Kobiecie ciężko było uwierzyć, iż lata doskonalenia swoich umiejętności zaprowadziły ją do miejsca, w którym osoba, która ofiarowała jej tak wiele, wbija jej teraz nóż w plecy. Dotarło do niej, że wszystko wokół było jedynie iluzją. Ci ludzie byli chętni do wyeliminowania jej za sakiewkę złotych monet. Nic dla nich nie znaczyły lata, gdy działali ramię w ramię.

Instynkt przetrwania kazał Culchie uciekać, opuścić Bractwo i nigdy do niego nie wracać. Zaskoczyło ją, że poczuła się zdradzona i zraniona. Uczucia były dla niej czymś obcym, jednak w tamtej chwili uderzyły w nią silną falą, z którą musiała się uporać. W siedzibie Bractwa nie było już dla niej miejsca, a pozostanie w Scabard mogło okazać się nader kłopotliwe. Dolina Harshdell i trzy miasteczka znajdujące się w niej zdawały się na tę chwilę dobrym miejscem, by zniknąć w tłumie.

Jeszcze tego samego dnia, niedługo po usłyszanej rozmowie, Culchie niezauważalnie wyszła ze znajdującego się w zaniebzanym zaułku budynku gildii. Nim jednak zdążyła opuścić uliczkę, na drodze przed nią pojawiły się dwie postacie. Sądziła, że mają przewagę nad kobietą, jednak Culchie Trevedic była o krok przed nimi. Spodziewała się ich.

Nastler stał tuż obok jasnowłosej Merilli, znacznie górując nad dziewczyną. Twarz mężczyzny wykrzywił uśmiech nienawiści, natomiast młoda kobieta trzymała emocje na wodzy. Oboje dzierżyli w dłoniach połyskujące sztylety. Pomimo iż był środek dnia, żadne z nich nie wahało się przed rozlaniem czyjejs krwi. Zaułek, w którym znajdowała się siedziba Bractwa, leżał na uboczu miasta i rzadko ktoś do niego zaglądał.

Ulica szeroka na dwa jardy była niegdyś brukowana, jednak teraz w wielu miejscach widoczne były dziury.

Gonione przez wiatr śmieci kręciły się wokół nóg, a potem pędziły dalej. Po obu stronach znajdowały się stare, opuszczone magazyny, sklepy bądź częściowo zrujnowane domostwa, w których nie mieszkał nikt prócz wiecznie głodnych szczurów i karaluchów. Okna zostały zabite deskami, ale zręczny łotrzyk bez większego problemu mógł wdrapać się na dachy, które prawie stykały się ze sobą.

- Stajesz się problemem, Culchie. Zaszłaś zbyt wysoko - rzekła blondynka nieco piskliwym głosem, postępując z towarzyszem kilka kroków w przód. Odległość między zabójcami a czarnowłosą kobietą zmniejszyła się teraz do około pięciu jardów.

- Nie chcecie tego - odparła jedynie Culchie, a głos miała chłodny, pozbawiony jakichkolwiek emocji. - Wycofajcie się, póki jeszcze możecie.

- Trochę za późno na to. Decyzja już zapadła - warknął Nastler i szybkimi susami skierował się w stronę kobiety. Drobną blondynką ruszyła w ślad za nim.

Culchie błyskawicznie rzuciła się ku ścianie jednego z budynków i kilkoma zręcznymi ruchami wspięła się na dach parterowego domu. Spojrzała z góry na dwoje przeciwników i z kamienną twarzą wydobyła miecz oraz sztylet. Dała im szansę na wycofanie się, jednak oni jej nie wykorzystali. Nie zamierzała ich ostrzegać po raz kolejny.

- No co? - zakpiła. - Chyba mieliście mnie złapać. A może już się zmęczyliście, co Nastler?

- Zamknij się - warknął mężczyzna. - Merilla, włącz na górę.

Gdy Nastler obserwował górującą nad nimi przeciwniczkę, młoda dziewczyna zaczęła wspinać się na dach. Culchie wykonała skok, który zakończyła kilkoma przewrotami, by złagodzić upadek. Choć wysokość nie była wielka, to lądowanie na bruku nigdy nie należało do ulubionych czynności kobiety. Znajdowała się teraz tuż za plecami mężczyzny, który właśnie się odwracał ku niej, gdy ostrze sztyletu czarnowłosej przemknęło wzdłuż boku jego torsu, otwierając bolesną ranę. Człowiek ryknął gniewnie ze słyszalnym bólem w głosie. Pozostałe wydarzenia potoczyły się szybko i lawinowo.

Merilla, dostrzegając zmianę, która nastąpiła, zaprzestała wspinaczki i rzuciła się biegiem na pomoc swemu towarzyszowi. Culchie znalazła się pomiędzy rozszalałą dwójką zabójców, którzy próbowali dosięgnąć ją swymi ostrzami. Czarnowłosa sparowała wymierzony przez blondynkę atak z lewej strony, jednocześnie wykonując szeroki zamach krótkim mieczem, co poskutkowało tym, że mężczyzna był zmuszony do odskoku w tył. Gwałtowny manewr sprowadził na niego nagłą falę bólu promieniującego ze zranionego wcześniej boku, co dało kobiecie kilkusekundową przewagę. Zwróciła się w bok, jednak tak, by mieć mężczyznę cały czas na widoku, i wykonała krótką serię pchnięć i cięć, zamachując się co chwilę i zmuszając dziewczynę do parowania sztyletem i uskakiwania na boki. Kilka razy dostrzegła lukę w jej obronie, co wykorzystała, obdarowując dziewczynę nowymi ranami.

Kiedy Culchie usłyszała tuż za sobą stłumione sapnięcie, rzuciła się na kolano i kucnęła akurat w momencie, gdy sztylet przeciwnika miał wbić się w jej plecy. Następnie wysunęła w tył łokieć prawej ręki i mężczyzna nadział się na niego podbrzuszem, jęcząc z bólu i zginając się wpół. Nim zdążył zareagować i odzyskać trzeźwość myślenia, Culchie wymierzyła silne uderzenie rękojęścią sztyletu prosto w jego twarz. Mężczyzna przewrócił się z zakrwawionym i połamanym nosem oraz rozciętym czołem, wyłączony z walki na kolejne kilkadziesiąt sekund.

Cały manewr trwał zaledwie parę sekund, dlatego Merilla nie zdążyła zaatakować ponownie, chociaż przesunęła się w przód o parę kroków. Widocznie nie chciała popełnić błędu swego towarzysza. Culchie ruszyła w jej stronę bez wahania, tnąc z boku na bok swym mieczem. Podczas gdy dziewczyna próbowała parować lub unikać tego ostrza, drugie, znacznie krótsze, nieustannie wysuwało się w jej stronę, chcąc ją użądlić i skosztować krwi. Dostrzegając, iż to nie odnosi większego skutku, gdyż Merilla mogła jeszcze przez długi czas tak uskakiwać, Culchie postanowiła zastosować inną taktykę. Udając, że ostrze miecza zaczyna już ciążyć jej w dłoni, wykonywała cięcia znacznie wolniej, spowolniła również swój ruch, czekając, aż dziewczyna złapie haczyk i sama wyprowadzi atak sztyletem. Kobieta nie musiała czekać zbyt długo i przewidywany cios nadszedł chwilę później. Dziewczyna, będąc w takiej pozycji, odsłoniła się na ewentualne ataki

przeciwniczki. Gdy jej ręka wysunęła się, mknąc do przodu, Culchie ustawiła lewą dłoń ze sztyletem do sparowania, jednak w ostatniej chwili kopnęła mocno w rękę zabójczyni, która zawyła z bólu i wypuściła broń. Cios prawdopodobnie złamał którąś z kości, jednak niezbyt to interesowało kobietę, która już wyprowadziła kolejny szybki atak, którym było pchnięcie miecza w klatkę piersiową Merilli. Siła ciosu wypchnęła z płuc dziewczyny całe powietrze i powaliła ją na ziemię.

Odkopując stopą sztylet blondynki na bok, Culchie zwróciła się twarzą w stronę obitego Nastlera. Mężczyzna zaczął się powoli podnosić i był już na klęczkach. Kobieta podbiegła do niego, trzymając w lewej dłoni sztylet zwrócony ostrzem do tyłu, a prawą ręką, wciąż dzierżącą miecz, zamarkowała atak, którego nie zamierzała wyprowadzić do końca. Z rozpędem wybiła się tuż przed mężczyzną, który zgodnie z jej oczekiwaniami, próbował zasłonić się sztyletem. Jednak nie zaatakowała mieczem, lecz gdy przelatowała nad przykucniętym zabójcą, ostrze jej krótszej broni gładko przejechało po odsłoniętej skórze jego szyi. Gdy Culchie wylądowała, kucając, a następnie się odwróciła, Nastler wciąż był w przykucniętej pozycji, a chwilę później padł twarzą na bruk, roztaczając wokół siebie plamę szkarłatnej krwi. Jeśli jeszcze żył, były to jego ostatnie chwile, gdyż nikt nie mógł przeżyć z takimi ranami. To samo tyczyło się jego drobnej towarzyszki, leżącej po drugiej stronie zaułka i niemiotającej się już z bólu.

Culchie wyprostowała się i obrzuciła chłodnym spojrzeniem krwawą scenę na brudnej ulicy. Wytarła swą broń z krwi o ubrania martwych już zabójców i chowając ją do pochew przy pasie, opuściła zaulek spokojnym krokiem.

Kobieta głęboko zaczerpnęła świeżego, chłodnego późnojesiennego powietrza i oczyściła myśli ze wspomnień. Podążając traktem ku miasteczkom Doliny, przywoływała dwa szczególne wspomnienia, dzięki którym nabierała siły i pewności potrzebnych, by wytrwać w postanowieniu. Była zdecydowana, by porzucić swą profesję i opuścić Scabard na dobre. Ruszyła w stronę Doliny Harshdell z nadzieją, że być może tam znajdzie rozwiązanie pozwalające na rozpoczęcie nowego, innego życia. Do tej pory знаła jedynie ścieżkę, która była niezgodna z powszechnie panującym prawem. Kradła, zabijała, oszukiwała i uciekała. Jej życie było pozbawione jakichkolwiek uczuć i radości, a nagle zapragnęła spróbować czegoś innego, czegoś nowego. Być może, jeśli zaprzestanie używania swych wyuczonych przez lata talentów, które do tej pory pozwalały jej przeżyć, znajdzie jakieś miejsce, które naprawdę będzie mogła nazwać domem. Miała nadzieję, że nie jest dla niej za późno na zmianę życiowej drogi.

Nie pozwalając sobie ani razu na chwilę zwątpienia bądź słabości, kroczyła ku nowemu miejscu. Panująca wkoło szara i chłodna jesień powoli dobiegała końca, jednak kobieta stwierdziła, że prawdopodobnie zdąży

dotrzeć do Doliny Harshdell, nim nastanie zima i mróz
skuje tundry Północy.

3. Wyrzutek

MASZ ZAPRZESTAĆ TYCH DURNYCH ZABAW!
A zaczniesz od cholernej magii. Rozumiesz, co do ciebie mówię?! – kobieta w średnim wieku ledwo powstrzymywała swój gniew. Jej głos momentami drżał niebezpiecznie, jednak ciężko było stwierdzić, czy to dlatego, że jest bliska płaczu, czy też dopiero zaczyna gniewnie wyrzucać z siebie to, co ma na myśli.

– Zajmiesz się w końcu czymś pożytecznym – dodał szorstko mężczyzna stojący tuż obok kobiety, kładąc dłoń na jej ramieniu w geście wsparcia i pocieszenia. – Razem z matką uznaliśmy, że przeniesiesz się na ziemię, którą wykupiliśmy, do wioski leżącej...

– Nie! – przerwał buńczucznie młodzieniec o brązowej czuprynie i orzechowych oczach, w których widoczne były sprzeciw i determinacja. – Już wam mówiłem, że nie zamierzam porzucić swych nauk, czy to wam się podoba, czy też nie!

– Adi Cadan! – młoda kobieta zawołała piskliwym głosem, zwracając się do swego brata. – Wysłuchaj do

końca, co matka i ojciec mają do powiedzenia i nie przerywaj im.

- Nie wtrącaj się, Amelie! - odparł jej chłopak, który był głównym bohaterem całego zamieszania rozgrywającego się w sporym saloniku. - Dlaczego to Finn nie może się przenieść i zająć tą wioską?

- Ponieważ Finn zostaje tutaj, by przejąć moją pozycję w stosownym czasie - rzekł poważnie ojciec.

- Adi - podjęła Amelie, która była kobietą o długich falowanych blond włosach, upiętych w misterną fryzurę. - Ja mam męża i spodziewamy się naszego pierwszego dziecka. Finn ma przejąć majątek ojca, co też jest dużą odpowiedzialnością. A ty? Ty zajmujesz się jakimiś durnotami, z których nie ma żadnego pożytku! Może byś chociaż raz pomyślał o swojej rodzinie, a nie tylko o sobie?

- Amelie, już... - zaczął młodzieniec, jednak matka mu przerwała.

- Twoja siostra ma rację, Adi - rzekła gniewnie. - Czy ci się to podoba, czy nie, teraz masz zająć się rodziną i będziesz robił to, co ci z ojcem zaplanowaliśmy!

- Wiecie co? Mam tego dość! - rzucił Adi i bez dalszych wyjaśnień skierował się w stronę drzwi.

- Adi! - chłopak usłyszał jeszcze za sobą głos Finna.

Jego starszy brat nie mógł nic poradzić w tej sytuacji, ale próbował jakoś załagodzić decyzję rodziców. Rozumiał, że magia jest czymś ważnym dla młodszego brata i było mu żal, że musi ją porzucić.

- Zamknij się, Finn! - odwarknął przepełniony wściekłością Adi i wyszedł pospiesznie na ulicę, by jak najbardziej oddalić się od rodzinnego domu.

Kiedy cała rodzina zebrała się tego dnia, wiedział, że to nie skończy się dobrze. Od początku rozmowa była jedną wielką kłótnią, podczas której każdy próbował przekrzyczeć każdego. Adi miał nieprzyjemne wrażenie, że wszyscy są przeciwko niemu. Nienawidzili tego, że miał talent magiczny i poświęcał tak wiele czasu na rozwijanie go. Chcieli mu narzucić decyzję, z którą on się nie zgadzał.

Skręcił w jakąś brukowaną uliczkę, nawet nie zwracając uwagi, gdzie podąża. Minął jeden z piętrowych budynków, na parterze którego widniała witryna sklepowa. Ciepłe promienie słońca padały na jego twarz, wykrzywioną w grymasie niezadowolenia. Lato powoli zbliżało się ku końcowi, a on potrzebował czasu, by wszystko przemyśleć. Nie zgadzał się z decyzją, jaką podjęła rodzina. Słowa starszej siostry niezmiernie go zaboląły. Pomimo że nie podzielał ich zdania, a oni nie potrafili zrozumieć, że magia jest istotną częścią jego życia, kochał ich z całego serca. W końcu to jego rodzina, a on nie chciał jej stracić. Nie chciał też zostać pozbawiony swoich marzeń i pragnień, które wiązały się z magią...

Amelie, jego starsza siostra, poślubiła syna pochodzącego z zamożnego rodu kupieckiego, dzięki czemu ich rodzina powiększyła swój majątek. Dziewczyna nigdy nie przeciwstawiła się decyzji, którą podjęli rodzice. Również Finn, najstarszy z trojga rodzeństwa, nie sprawiał

tylu kłopotów co Adi. Oni byli pogodzeni z faktem, że muszą poświęcić się dla rodziny i posłusznie wykonać polecenia matki i ojca. Już dawno pozbyli się pragnień o wyborze własnej ścieżki życiowej. Jednak Adi taki nie był. Chłopak nie chciał zajmować się handlem jak jego rodzina. Sprzedaż drogich materiałów, pochodzących z egzotycznych krain, nie była zajęciem odpowiednim dla niego. Od wielu lat pobierał nauki u elfiego czarodzieja, który twierdził, że młodzieniec ma niezwykły talent, który szkoda by było zmarnować. Adi pragnął czegoś więcej niż zwyczajne życie, jakie wiodli członkowie jego rodziny.

Wędrując przez wiele następnych godzin po brukowanych ulicach Sulindal, miasta, w którym spędził całe życie, miał dostatecznie wiele czasu, by przemyśleć decyzję ojca i matki i podjąć własne postanowienia. Gdy w końcu zaczęło mu świtać w głowie pewne rozwiązanie, zdawał sobie sprawę, że może to być dość ryzykowny pomysł. Mimo wszystko był gotów podjąć ryzyko wiążące się z tą decyzją, zwłaszcza jeśli daje ona choć cień szansy na kontynuowanie nauk u elfiego czarodzieja. Przeniesienie się do wioski odległej o trzy dni drogi od Sulindal uniemożliwiłoby mu dalszą naukę magii. Cały swój czas musiałby poświęcić na sprawy wioski Isthmus, handel zbożem, z którego utrzymywała się osada, spławiając towar rzeką aż do Bellaru, oraz rozwiązywać problemy wieśniaków jako tamtejszy zarządca.

Kiedy chmury na błękitnym niebie zaczęły przybierać złotawy odcień zachodzącego słońca, Adi Cadan ruszył

w drogę powrotną, kierując się w stronę rodzinnego domu. Miał wieści, które chciał przekazać rodzinie, i liczył, że nikt nie odkryje jego oszustwa. Gdy już dotarł do znajomego sporego budynku, wbiegł po schodach prowadzących do części mieszkalnej, znajdującej się nad sklepem, w którym jego rodzice handlowali materiałami. Kiedy domownicy usłyszeli, że wrócił, chłopak nie zdążył postawić nawet pięciu kroków, gdy usłyszał ostry głos matki, kierującej swe słowa w jego stronę.

- Ty wredny szczeniaku! - zaczęła, mierząc w niego złowrogo palcem wskazującym. - Ostrzegam cię po raz ostatni. Jeśli nie zaczniesz zachowywać się odpowiedzialnie i nie porzucisz tych durnowatych nauk u elfa, to wiesz, że staniesz się wyrzutkiem, a my się ciebie wyprzemy. Zastanów się nad konsekwencjami swych poczynań!

- Chciałem tylko powiedzieć, że udam się do tej wioski, tak jak zaplanowaliście z ojcem - odparł chłodno młodzieniec, spoglądając prosto w oczy matki i wytrzymując jej spojrzenie pełne gniewu i frustracji. - Idę się spakować, zamierzam wyruszyć jak najszybciej.

- Mądra decyzja - skomentowała jego siostra, która akurat wkroczyła do pomieszczenia, stanęła tuż obok matki i położyła dłoń na jej ramieniu.

Kobiety odprowadziły wzrokiem chłopaka, który skierował się do swego pokoju, i wróciły do kuchni, gdzie podjęły przerwana dyskusję, zupełnie jakby scena, która przed chwilą się rozegrała, nigdy nie miała miejsca. Adi odszukał swój plecak i zaczął do niego upychać kilka zmian

odzieży, dwie księgi, które pożyczył od swego nauczyciela i których nie chciał tu zostawiać. Pozbierał jeszcze kilka innych drobiazgów, które również wrzucił do plecaka, i po upływie mniej niż pół godziny był już gotowy, by opuścić dom. Po drodze wyjął z rodzinnego skarbca sporą sumę pieniędzy, tak by wystarczyło mu na jakiś czas na opłacanie nauk oraz na inne wydatki.

Nie wiedząc, co ma powiedzieć, pożegnał rodzinę długim spojrzeniem, po czym bez słowa opuścił dom. Jednak kiedy oddalił się o kilka uliczek, nie skierował się w stronę bramy miejskiej, która prowadziła do Isthmus, gdzie miał się udać. Wolnym krokiem ruszył ku dzielnicy, w której mieszkał jego elfi nauczyciel. Nie miał do kogo się zwrócić, a wiedział, że Eloret Blyth udzieli mu pomocy, jeśli przedstawi mu swą obecną sytuację.

Kwadrans później stał przed drewnianymi drzwiami, wahając się, czy zapukać. Budynek był jednopoziomowy, zupełnie nie wyróżniał się spośród innych budynków. Adi wziął głęboki oddech, zebrał całą swą odwagę i zapukał dwa razy. Drzwi po krótkiej chwili się otworzyły, a w progu stał elf. Trudno było ocenić, ile może mieć lat, głównie ze względu na długowieczność tej rasy, ale mężczyzna wyglądał na dwadzieścia kilka lat - choć na pewno był znacznie starszy. Jego długie, jasne włosy, związane w koński ogon, opadały na plecy, a bystre i błyszczące zielone oczy spoglądały uważnie na gościa. Elf miał na sobie jasną, niemalże białą luźną koszulę oraz brązowe skórzane spodnie.

- Adi - odezwał się jako pierwszy ze zdziwieniem w głosie. - Co ty tutaj robisz? Przecież dzisiaj nie masz nauk.

Młodzieniec opuścił wzrok, wbijając orzechowe oczy w swoje buty, zupełnie zmieszany. Jak do tej pory zawsze wiedział, co powiedzieć, nawet w sytuacji, gdy powinien milczeć. Był typem osoby, która zawsze znajdzie sposób, by przysporzyć komuś kłopotów lub samemu się w nie wpakować. To było dla niego coś zupełnie nowego, gdy stał w progu domu elfa, nie wiedząc, co ma rzec. Szurnął nogą i zaczął niepewnie:

- Mistrzu, bo widzisz... Chyba wpakowałem się w kłopoty...

- Ach, ale to chyba dla ciebie nic nowego, nieprawdaż? Może wejdiesz i opowiesz od początku, o co chodzi? I po co ci ten plecak, Adi?

- No właśnie... To część tych kłopotów.

Elf przepuścił młodzieńca i obaj skierowali się do pokoju, w którym stało biurko zarzucone masą książek. Zrobiwszy miejsce na fotelu, elf wskazał chłopakowi, by usiadł, a sam zajął siedzisko przy biurku.

- No to o co chodzi, Adi?

Młody czarodziej niepewnie zaczął opowiadać o decyzji rodziny i o jego pomysle, by dalej pobierać nauki u elfa. Kiedy opowiadał o tym, jak matka oznajmiła mu, że jeśli nie wyrzeknie się magii, to rodzina go odrzuci, głos kipiał mu furją, jednak w oczach dało się dostrzec odrobinę strachu wymieszaną z niedowierzeniem. Gdy skończył i zapytał

mistrza, czy może u niego zostać na jakiś czas, zapadła chwila ciszy.

- Adi, rozumiem, że magia jest dla ciebie ważna, a więc tym bardziej rozumiem, co tobą kierowało, gdy podejmowałaś taką decyzję - Eloret Blyth zawahał się na krótki moment - ale czy jesteś pewien, że to ta właściwa?

- Nie - jęknął chłopak. - Nie jestem tego pewien, ale wiem, że nie pozwolę sobie odebrać tego, czego pragnę. Nie zgadzam się z nimi i z ich decyzjami. Oni nienawidzą tego, że władam magią i poświęcam jej tyle czasu. Pragnę kierować moim życiem, jakbym był jedynie ich kukielką, a ja na to nie pozwolę.

- No dobrze. W takim razie możesz zostać tutaj i kontynuować naukę. A co jeśli spotkasz kogoś ze swej rodziny i ta osoba cię dostrzeże?

- Sulindal jest dużym miastem. Bez problemu mogę tutaj mieszkać, tak że nawet nie będą o tym wiedzieć. Dziękuję, mistrzu, to naprawdę wiele dla mnie znaczy.

- Oczywiście. Zawsze możesz na mnie liczyć, Adi. - Elf posłał ciepły uśmiech w stronę swego ucznia, a być może i przyjaciela. - No cóż, muszę wracać do swych zajęć. A ty możesz zająć pokój, w którym ćwiczysz zaklęcia.

Młody czarodziej skinął głową i czując się znacznie lepiej dzięki pocieszającym słowom swego mistrza, ruszył do nowego pokoju, w którym miał zamieszkać. Nie zastanawiał się, co przyniesie przyszłość, cieszył się chwilą i myślą, że może doskonalić sztukę władania żywiołami.

Minął miesiąc, od kiedy młody czarodziej stanął na progu domostwa, prosząc elfa o pomoc. Lato dobiegało już końca, ustępując miejsca jesieni. Dni stawały się coraz chłodniejsze, a drzewa zaczynały zrzucać pożółkłe liście. Jednak pomimo niezachęcającej pogody ten czas był dla Adiego bardzo cenny i przyjemny. Większość dni spędzał na doskonaleniu i ćwiczeniu swego talentu. Tygodnie mijały mu niemalże beztrąsko i radośnie. Prawie zdążył już zapomnieć o kłopotach rodzinnych, aż do dnia, gdy mistrz Eloret Blyth wrócił do siedziby i poprosił Adiego do swego biura, gdyż chciał mu przekazać coś ważnego...

- O co chodzi, mistrzu? - chłopak spytał niepewnie, widząc zatroskaną minę elfa.

- Adi... - zaczął nauczyciel, wbijając zielone oczy w kształcie migdałów w twarz ucznia. - Będąc dzisiaj w jednej z karczem, przypadkiem usłyszałem pewne niepokojące, hmm, wieści, które wzbudziły moje zainteresowanie.

- Taaak?

- Otóż jeden z kupców rozmawiał z jakimiś ludźmi o twojej rodzinie. Nie wiem, czy to, co mówili, jest prawdą czy tylko pogłoskami, ale uznałem, że powinieneś wiedzieć.

- Ale co konkretnie mówili?

- Wspominali, że wielka tragedia spotkała rodzinę Cadanów... A wszystko z powodu głupoty ich najmłodszego syna. Według ich słów, twoi rodzice posłali gońca do wioski,

w której miałeś się osiedlić. Ale ponieważ nie otrzymywali żadnych wieści od ciebie, zaniepokojeni posłali najstarszego syna, by sprawdził, co się dzieje. Chłopak nie wracał długi czas, aż zaczęto go szukać i znaleziono jego ciało na brzegu rzeki Giron. Prawdopodobnie wpadł w zasadzkę orków. Może powinieneś udać się i sprawdzić, czy to jest prawda?

- Ale... ale wtedy dowiedzą się, że ich oszukiwałem - jęknął Adi z rozpaczą w głosie.

- To jest twój brat, Adi. Poza tym sądzę, że twoja rodzina zdążyła się już domyślić, że nigdy nie byłeś w Isthmus.

- Ach, dobrze. Pójdę tam jutro i dowiem się. Może to były tylko plotki, kłamstwa... Przecież to nie może być prawda.

Nazajutrz, gdy tylko wstał świt, młodzieniec szybko ubrał się i wyszedł z domu elfa na brukowaną uliczkę. Poprzednia noc nie była dla niego zbyt łaskawa. Nie mógł zasnąć, gdyż był zbyt przejęty losem swego brata. Nie zwlekając ani chwili dłużej, szybkim krokiem ruszył do rodzinnej siedziby. Chwilę później stał już przed dobrze znanymi drzwiami. Kiedy otworzyły się, w progu stała młoda jasnowłosa kobieta - jego siostra Amelie, a szaroniebieskie oczy miała czerwone od płaczu.

- Co...?! - pisnęła zduszonym głosem na jego widok.

- Czy to prawda? Gdzie jest Finn? Powiedz mi, że siedzi w domu z ojcem, tylko nie kłam! - zawołał do niej Adi rozgorączkowanym głosem, jednocześnie bojąc się usłyszeć odpowiedź.

- Kto tu jest kłamcą?! - odparła ostro Amelie, a z jej oczu potoczyły się duże łzy. - Ty morderco!

Do tego czasu w progę zdążyła pojawić się ich matka, objęła córkę i wprowadziła ją do środka. Młodzieniec bez słowa podążył za nimi.

„A więc jednak, Finn nie żyje...” - pomyślał zdruzgotany. Kiedy już wszyscy byli z salonie, matka spojrzała na syna lodowatym wzrokiem i cichym głosem zachrypniętym od płaczu i krzyków, niemalże szeptem, rzekła:

- Kłamco... Jak mogłeś uczynić coś takiego własnej rodzinie? To przez ciebie Finn nie żyje!

- Ale... - zaczął chłopak, chcąc dowiedzieć się czegoś więcej, jednak ojciec mu przerwał.

- Wysłaliśmy Finna do Isthmus, żeby sprawdził, dlaczego się nie odzywasz. Ale on już nie wrócił. Wpadł w zasadzkę orków i zginął tam samotnie, podczas gdy ty cały czas byłeś tutaj, w Sulindal! Krew Finna jest na twoich rękach. Ty jesteś winny jego śmierci!

- Nie! - zawołał młody czarodziej, podnosząc się z fotela. Czuł, jak gorące łzy spływają mu po policzkach i skapują na koszulę. - Owszem, okłamałem was, ale dlatego że nie pozostawiliście mi wyboru. Nie jestem odpowiedzialny za śmierć Finna! To nie ja go tam wysłałem,

to nie ja ustawiłem zasadzkę. To był nieszczęśliwy wypadek!

- Zamilcz, kłamco - załkała Amelie, również podnosząc się ciężko z siedzenia i kładąc rękę na zaokrąglonym brzuchu. - Finn pojechał tam, bo miał sprawdzić, czy wszystko z tobą w porządku. Ale ty nawet nigdy nie odwiedziłeś Isthmus. To ty powinieneś znaleźć się tam tego dnia! To ty powinieneś być tam umrzeć!

- Amelie... - Adi ledwo wierzył, że jego siostra wypowiedziała takie słowa. Zabolało go to niezmiernie, a w głowie pojawiła się myśl, mówiąca „być może zasłużyłeś na to”.

- Wynoś się stąd. Wynoś się z mojego domu! - warknął ojciec, zaciskając pięści. - Nie jesteś już częścią tej rodziny. Nie chcemy tutaj kłamców i morderców. Wynoś się...

- Nie chcę cię więcej widzieć. Nie jesteś już moim synem... - wyszeptała matka lodowatym tonem, wtulając się w ramiona swego męża i łkając cicho.

Młody czarodziej wciąż stał w bezruchu w rodzinnym saloniku. Był jednocześnie zdruzgotany i przerażony. Nie był w stanie się ruszyć ani odezwać.

- Wynoś się! - ryknął ponownie ojciec.

Dopiero wtedy chłopak szybko się wycofał i opuścił mieszkanie. Skierował się do domu elfa, w którym spędził ostatni miesiąc. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że biegnie, a z oczu spływają mu wielkie, srebrzyste łzy, które zostawiają mokre smugi na policzkach. Wpadł do domu

i ruszył bezpośrednio do swego pokoju, zatraskując za sobą drzwi.

Po chwili usłyszał ciche pukanie i w wejściu pojawił się elf.

- Adi, tak mi przykro...

- Finn nie żyje. Oni obwiniają mnie za jego śmierć. Moja rodzina mnie nienawidzi, mistrzu - oznajmił Adi łamiącym się głosem i spojrzał na elfiego nauczyciela. - Być może mają rację... Gdybym ich nie okłamał, mój brat wciąż by żył.

- Adi, nie możesz tak myśleć - odparł spokojnie Eloret.

- To nie była twoja wina. To po prostu nieszczęśliwy wypadek. Każdy mógł się tam wtedy znaleźć, a to już nie zależało od ciebie.

- A co, jeśli to jest prawda?

- Nie, nie możesz tak myśleć. Nie przyjmuj na swoje barki brzemienia, za które nie jesteś odpowiedzialny. Wielu tak czyniło i niewielu przeżyło dostatecznie długo, by uwolnić się od ciężaru, który na siebie przyjęli.

Elfi mężczyzna wciąż stał w progu i opierał się o framugę. Obaj pogrążyli się w ciszy, przerywanej co jakiś czas przez pociąganie nosa przez młodzieńca.

- Amelie powiedziała, że to ja powinienem umrzeć, a nie Finn - rzekł Adi już nieco spokojniejszym głosem. - Nie chcą mnie znać, wyrzekli się mnie. Powiedzieli, że mam tam nie wracać. Nie mogę zostać w Sulindal. Poza tym nie mam już pieniędzy na dalszą naukę, mistrzu. Nie mogę tutaj zostać...

- Tak mi przykro, Adi. Naprawdę. Ale jeśli serce nie pozwala ci tutaj zostać ani chwili dłużej, to spróbuj odnaleźć spokój gdzie indziej. I pamiętaj, to nie jest twoja wina. Po prostu miałeś odwagę pójść własną ścieżką, a teraz musisz uporać się z konsekwencjami tego wyboru.

- Dziękuję, mistrzu Elorezie - odparł młody czarodziej, podnosząc się z łóżka i ocierając łzy wierzchem dłoni. - Spakuję swoje rzeczy i jeszcze dziś opuszczę Sulindal.

- Dokąd się udasz?

- Nie wiem, może do Doliny Harshdell? Jak najdalej stąd...

Po pożegnaniu z elfem, od którego otrzymał wierzchowca, jeszcze tego samego dnia Adi przejechał przez bramę miejską, spoglądając po raz ostatni na Sulindal - swe rodzinne miasto, zostawiając je daleko w tyle. Samotna łza potoczyła się po jego policzku. Musiał ruszyć dalej. Miał niewielkie zasoby pieniężne, które powinny wystarczyć mu na podróż na Północ. Zabrał ze sobą również zapasy jedzenia, nie będąc pewnym, ile czasu zajmie mu wędrówka.

Tego dnia słońce wyglądało zza chmur, dając odrobinę ciepła i otuchy. Młody czarodziej skierował konia na trakt prowadzący na Północ aż do Doliny Harshdell i trzech znajdujących się tam miasteczek. Jeśli nic go nie zatrzyma, być może zdąży dotrzeć na miejsce przed nastaniem zimy.

4. Demony przeszłości

Część 1. Punkt zwrotny

TO BYŁ JEDEN Z TAKICH DNI, które mają znaczący wpływ na przyszłość danej osoby. Jeden z dni, które stanowią punkt zwrotny w jej życiu. Oczywiście owa jednostka jak zawsze nie ma pojęcia o nadciągających wydarzeniach i konsekwencjach, które będzie trzeba ponieść...

Od kiedy Thalianna przejęła posadę dowódcy w oddziale patrolującym okolice głównej siedziby elfów w Lesie Asin Springs, minęło wiele lat. Dla elfów zamieszkujących owe leśne tereny niebezpieczeństwa nie były żadną nowością – musiały się z nimi mierzyć każdego dnia. Zagrożenie ze strony hobgoblinów czy orków zamieszkujących puszcę było codziennością. Bywały tygodnie, kiedy mieszkańcy żyli spokojnie, bez najmniejszych niepokojących wydarzeń, ale

bywało, że wszyscy byli w stanie najwyższej gotowości, w każdej chwili spodziewając się ataku intruzów.

Właśnie tego dnia Thalianna wraz z niewielkim oddziałem wyruszyła, by sprawdzić okoliczne tereny. Ostatnie dni nie przyniosły żadnych oznak niebezpieczeństwa, toteż grupa z kobietą na czele nie miała najmniejszych podstaw, by spodziewać się ataku. A szczególnie ataku z zasadzki, dobrze opracowanego i skutecznie przeprowadzonego. I chociaż elfy zachowały najwyższą czujność, przeciwnicy zdołali ich przechytrzyć. Oddział atakujących był dobrze zorganizowany, każda jednostka współpracowała z pozostałymi, co jedynie zwiększało skuteczność ataku. Hobgobliny - to właśnie one były oddziałem atakującym - potrafiły stworzyć spójny i dopracowany plan, który miał spore szanse na powodzenie, ale tylko jeśli grupą dowodził osobnik o sporym intelekcie i posłuchu pośród innych.

Ten szczególny oddział hobgoblinów starał się pojmać żywcem jak największą liczbę elfów. I udało im się to bez większego trudu. Hobgobliny, dzięki elementowi zaskoczenia, a więc i kilku sekundom przewagi, szybko rozprawiły się z długowiecznymi istotami. Dla większości oczywistym faktem było, że elfy i hobgobliny darzyły się głęboką nienawiścią, zakorzenioną w odległej przeszłości. Kiedy jedna ze stron miała okazję zabić drugiego, nie potrzebowała najmniejszej zachęty. Dlatego też zdziwienie elfów było ogromne, gdy zorientowały się, iż przeciwnicy zabierają ich do swej siedziby - pokryci szczecina, więksi

kuzyni goblinów najwyraźniej mieli plany wobec jeńców i nic nie wskazywało na to, by czekała ich szybka, łaskawa śmierć.

W dość krótkim czasie zostały ujawnione prawdziwe zamiary przywódcy hobgoblinów. Jak się okazało, wódz o imieniu Daagnikher od dłuższego czasu planował napaść na wioskę, w której mieszkała Thalianna wraz z pobratymcami, i raz na zawsze wyeliminować panującego tam elfiego władcę. Jednakże by wprowadzić plan w życie, potrzebował dokładnych informacji na temat siedliska elfów. A któż mógłby posiadać bardziej konkretne informacje, jeśli nie sam dowódca zajmujący się ochroną granic owej siedziby? Tak, Daagnikher nie był tępym hobgoblinem, lecz sprytnym liderem, zdeterminowanym, by osiągnąć postawiony sobie cel.

Stwory najpierw zajęły się elfami z oddziału, które nie zajmowały tak wysokiego stanowiska jak dowódca, lecz były zwyczajnymi wojownikami. Jednak każdy z nich okazał się na tyle oddany swemu przywódcy, iż był gotów prędzej umrzeć, niż wyjawić wrogowi jakiegokolwiek informacje. Na ogół takiego jeńca nie trzymano zbyt długo – każdego po kolei czekała powolna i bolesna śmierć. Jednak pośród elfich wojowników był jeden wyjątek – Thalianna. Kobieta była wielokrotnie torturowana i przesłuchiwana. Stwory z radością w oczach i na twarzach znęcały się nad nią, pozostawiając na jej ciele sińce oraz krwawe, opuchnięte szramy. Większość ran była na tyle poważna, że skutecznie osłabiała ją, jednak Daagnikher wydał wyraźny rozkaz

swym poddanym, by za wszelką cenę utrzymać ją przy życiu. Gdy któraś z ran stawała się zbyt poważna i groziła śmiercią, plemienny szaman zajmował się kobietą, choć jedynie na tyle, by utrzymać elfkę przy życiu.

Większość jej dni wyglądała identycznie. Kiedy była przytomna, zabierano ją na przesłuchanie, podczas którego torturowano ją, zadając tak niewyobrażalny ból, iż kobieta traciła przytomność. Im bardziej się opierała, tym dłużej cierpiała w rękach swych oprawców, toteż chwile, w których odpływała w błogi stan nieświadomości, były dla niej momentem, kiedy mogła wreszcie odpocząć. W jej głowie wielokrotnie pojawiała się myśl, że lepiej byłoby to zakończyć i po prostu umrzeć. Jednak dwóch rzeczy była całkowicie pewna: Daagnikher nie odpuści tak łatwo, a ona, bez względu na wszystko, nie zamierzała mu ułatwić osiągnięcia celu.

Dni upływały powoli, zamieniając się w tygodnie. Większość elfów z oddziału Thalianny została już dawno zabita. Stwory wybrały wyjątkowo okrutny sposób, by zakończyć żywot długowiecznych istot, jednak nawet to nie złamało elfki.

Na wioskę hobgoblinów – ich siedziba rzeczywiście przypominała niewielką leśną wioskę – składała się spora grupa niewielkich drewnianych chat zbudowanych w niechlujny sposób, które jakimś cudem wciąż stały, chociaż zdawało się, iż może się to zmienić w każdej chwili. Wśród hobgoblińskich chat były dwie o znacznie większych rozmiarach. Jak Thalianna zdążyła się już dowiedzieć,

największy domek należał do przywódcy plemienia – już wielokrotnie wprowadzano ją do środka, próbując wydobyć z niej jakiegokolwiek informacje. Natomiast w drugiej chatce, nieco mniejszej, mieszkał plemienny szaman, który miał utrzymywać elfkę przy życiu.

W centrum wioski znajdował się sporych rozmiarów plac z wydeptaną ziemią – jeśli kiedyś rosła w tym miejscu trawa, to musiało to być naprawdę dawno temu, teraz nie pozostało tam nawet najcieńsze źdźbło. Na środku placu sterczały dwa głęboko osadzone, grube drewniane kołki, do których przymocowano ciężkie żelazne kajdany z łańcuchami. Thalianna przypuszczała, iż jest to nowy wymysł hobgoblinów. Złapane elfy zostały spętane linami, które nie pozostawiały im zbyt wiele swobody, a następnie wepchnięte do niewielkich metalowych klatek ustawionych w pobliżu placu. Można by rzec, że elfka zajęła honorowe miejsce, gdyż jej celę ustawiono w taki sposób, by miała doskonały widok na kajdany przypięte na środku placu. Hobgobliny potrafiły być wyjątkowo okrutne. Próbując złamać wolę kobiety, torturowały pozostałych więźniów tuż przed jej oczyma. W kajdany zakuwali osoby, które elfka znała od wielu lat, jej przyjaciół. Doskonale wiedziała, że jeśli nie udzieli odpowiedzi na pytania swych oprawców, to przykuty na placu umrze bardzo powolną śmiercią, a ona nie będzie w stanie nic zrobić, jedynie przyglądać się i prosić o wybaczenie. Jedno jej słowo decydowało o życiu elfich pobratymców. Z czasem odwracała głowę, by nie spoglądać w oczy umierającego. Chociaż próbowała

walczyć z poczuciem winy, tłumacząc sobie, że działa dla większego dobra, nie była w stanie tego przezwyciężyć. Zapach krwi unosił się wszędzie, szkarłatny płyn wsiąkał w ziemię na placu, pozostawiając po sobie jedynie rdzawe ślady na piachu. Kolejne osoby umierały, jednak ani oni, ani Thalianna nie wyjawili informacji na temat siedziby elfów. Krwawe cięcia na ciele kobiety goiły się, by ponownie się otworzyć.

W końcu przywódca hobgoblinów, Daagnikher, częściowo osiągnął swój cel – złamał wolę Thalianny. Jednak rezultat nie był do końca taki, jakiego się spodziewał i jakiego pragnął. Tortury i zabijanie jej współplemieńców miało ją zmiękczyć, by wyjawiała pożądane informacje. Jednak te działania przyniosły odwrotny skutek. Thalianna przekształciła całe swoje poczucie winy oraz ból w nienawiść. Zbyt długo manipulowano jej uczuciami, co ostatecznie pozbawiło ją jakichkolwiek odczuć. Nawet gdy teraz powolnie torturowano któregoś z jej rodaków, wytaczając mu niespiesznie krew oraz łamiąc kości, krzyk ofiary nie robił na niej większego wrażenia. Kobieta wyparła swe uczucia i postąpiła o jeden krok za daleko, stając na drodze do swej zguby. Wyłączyła emocje, pozostawiła tylko nienawiść – było to jedyne uczucie, które jej towarzyszyło. Tymczasem nie ma niczego bardziej niebezpiecznego niż przeciwnik, którym kieruje czysta nienawiść i żądza mordu.

Zdawało się, że kobieta w tamtej chwili została skazana na klęskę, która szybko miała doprowadzić do jej

ostatecznej zguby. Wszystko wskazywało na to, iż nie jest jej dane zawrócić z owej drogi...

Dni miały, zamieniając się w tygodnie. Elfka mogła liczyć czas, który spędziła w niewoli, jedynie dzięki powiększającemu się stosowi trupów. Stosowi zmasakrowanych, w znacznej części pozbawionych krwi ciał jej pobratymców. Wokół owego stosu zaczynały latać muchy oraz zbierały się inne insekty, by niespiesznie pożreć gnijące mięso. Powoli rozkładające się ciała zaczynały okrutnie cuchnąć - zdawało się, że nawet większość hobgoblinów w osadzie ledwo znosi smród rozchodzący się od trupów. Jednak przywódca bandy najwyraźniej nie zamierzał pochować martwych już więźniów. Poza tym ten widok miał rozwiązać język innym - wciąż żywym - jeńcom oraz skłonić ich do wyjawienia jakichkolwiek informacji.

Thalianna zamknęła się w sobie jeszcze bardziej, wypierając większość uczuć, które czyniły z niej istotę myślącą i zdolną do odczuwania. Częstotliwość jej przesłuchań oraz tortur znacznie się zmniejszyła. Najwidoczniej oprawcy próbowali wymyślić nowy sposób, dzięki któremu dowiedzą się czegoś od niej.

Elfia kobieta bez najmniejszego problemu była w stanie spędzić cały dzień w swej małej klatce na placyku, nieustannie wpatrując się w jeden punkt. Oczywiście czasem przynoszono więźniom jakieś ochłapy jedzenia i zabrudzoną wodę. Z początku takie posiłki zdawały się

wręcz niejadalne, jednak po tygodniu, dwóch czy nawet więcej można było przywyknąć do nich. Śmierć głodowa zdawała się znacznie gorszą perspektywą niż cuchnący, wręcz obrzydliwy posiłek.

Kobieta całkowicie straciła poczucie czasu. Jak co dzień siedziała, tępo wpatrując się w jeden punkt, gdy dostrzegła jakieś poruszenie w osadzie. Początkowo zignorowała hałas, gdy jednak wrzawa nie ustąpiła po kilku minutach, w końcu oderwała wzrok od niewielkiego kamienia leżącego tuż obok klatki i powoli uniosła głowę. Na jej twarzy odbiło się wiele nieprzespanych dni oraz trudne warunki, w jakich ją trzymano. Gdzieś dało się dostrzec czerwonawą szramę albo wręcz krwistego siniaka znaczącego jej delikatną twarz oraz odkryte ramiona. Ubrania były pokryte grubą warstwą brudu, błota, potu oraz krwi - jej krwi. Rozdarta, zniszczona tunika oraz spodnie odkrywały ciało kobiety.

Czarne włosy wciąż były niechlujnie splątane w gruby warkocz, jednak najbardziej dostrzegalne w wyglądzie kobiety były jej oczy. Ciemnozielone niczym nietknięty mech w głębi lasu po deszczowej porze, a jednak takie puste. Te oczy nie wyrażały niczego - były to jedynie szklące się ciemne punkciki osadzone w drobnej, wycieńczonej twarzy. To właśnie ta pustka, sięgająca aż w głąb jej duszy, była najbardziej przerażająca.

Thalianna skierowała leniwie swe spojrzenie w stronę, z której dochodziły drażniące hałasy. Już po chwili dostrzegła, jak grupa silnych hobgoblińskich wojowników brutalnie prowadzi spętanych jeńców. Kolejne elfy. Daagnikher był niesamowicie uparty i wytrwały w realizacji swego planu.

Gdy kobieta zobaczyła szereg znajomych oraz nowych twarzy – osób, które niebawem miały zakończyć swój żywot, coś w niej drgnęło. Gdzieś w głębi jej serca coś się zmieniło i pozwoliło wyrwać się z letargu, w którym tkwiła od tak dawna. Być może owa zmiana nie była dostatecznie potężna, aby przywrócić jej emocje, jednak na tyle silna, by na nowo obudzić instynkt przetrwania. Niezbyt dbała o to, co się stanie z nowymi jeńcami, jedyną rzeczą, której zaczęła pragnąć, było wydostanie się z niewoli. Ponieważ nie zabierano jej na przesłuchania już tak często, a na dodatek schwymano nowych więźniów, uznała, że będzie pozostawiona samej sobie. Co jakiś czas zapewne ktoś sprawdzi, czy wciąż siedzi potulnie w klatce lub zostanie jej przyniesiony posiłek przyprawiający o mdłości, jednak większość mieszkańców najpewniej będzie zbyt zajęta i podekscytowana perspektywą torturowania nowych elfów. To da jej szansę na wyswobodzenie się z tego przeklętego miejsca.

Co prawda nie miała jeszcze pomysłu, jak ma to uczynić, ale wcześniej ani razu nawet nie rozważała takiej opcji. Póki co miała mnóstwo czasu, by coś wymyślić i wprowadzić to w życie.

Klatka, w której została zamknięta, była nieco zardzewiała, jednak wciąż na tyle wytrzymała, by utrzymać wewnątrz nawet silniejszego osobnika - chociaż na ogół ci, którzy tkwili w tych klatkach, nie mieli już zbyt wiele siły na jakiegokolwiek szarpaniny z metalowymi prętami.

Na jednej z bocznych ścian umiejscowiona była zabezpieczona sporą kłódką zasuwą. To właśnie ona oddzielała większość więźniów od wolności. Kobieta zatrzymała spojrzenie swych ciemnych oczu na kłódce. Zrobiono ją w niezbyt skomplikowany sposób, co dawało nadzieję na oswobodzenie się. Zapewne wprawny włamywacz czy zwinny łotrzyk uporałby się z takim zamkiem w dość krótkim czasie, nawet nie posiadając wytrychów, a jedynie improwizując. Jednakże ona miała niewielkie doświadczenie w tej dziedzinie, co oznaczało, że będzie musiała starać się znacznie bardziej.

Jedyne, czego teraz potrzebowała, to jakiś wytrych lub coś, czym mogłaby spróbować otworzyć toporną kłódkę. Jej bystre spojrzenie zaczęło powolnie wędrować wkoło, poszukując czegokolwiek, co mogłoby jej pomóc. Kamienie i ubita ziemia. Rzemyki w przedartych ubraniach...

„Ubrania!” - pomyślała i przyjrzała się dokładniej swoim długim skórzanym butom. Na cholewkach, po zewnętrznych stronach, znajdowały się metalowe sprzączki. Co prawda nie były one zbyt duże, ale przy niewielkim wysiłku i odrobinie pracy dałaby radę rozgiąć je

i ukształtować tak, by mogły posłużyć jako wytrych do zamka.

Zręcznie odczepiła jedną ze sprzączek i przez resztę dnia aż do zmroku wytrwale pracowała nad ukształtowaniem kawałka metalowego elementu, co jakiś czas przerywając, gdy w okolicy kręciły się hobgobliny. Nie chciała zwracać na siebie zbytnej uwagi i wzbudzić jakichkolwiek podejrzeń.

Gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, starannie ukryła wyprofilowany kawałek metalu we wnętrzu jednego z butów i czekała. Cierpliwie czekała na zmrok, by wypróbować efekt swej całodziennego pracy.

Po zapadnięciu zmierzchu stwory przestały krzątać się i kręcić tak często, jak zwykły to robić za dnia, czasem najzwyczajniej miotając się bez większego sensu z jednego krańca osady na drugi. Udawszy się na spoczynek, zastawiły jedynie niewielką grupkę leniwie patrolującą teren wkoło – zresztą ta sama scena rozgrywała się każdej nocy. Thalianna zdążyła już jakiś czas temu zaobserwować i zapamiętać, z jaką częstotliwością strażnicy przechadzali się w pobliżu jej celi, a jako że znajdowała się ona niemalże w centrum placu, nie czynili tego zbyt często. Byli bardziej zajęci pilnowaniem granic swej upiornej wioski.

Migotliwe światła porozmieszczanych gdzieniegdzie pochodni oświetlały teren na tyle, by móc dostrzec ruch, gdyby ktoś wszedł w okrąg światła rzucanego przez łuczywo. Jednak w znacznej części wioska hobgoblinów

była pogrążona w półmroku, rzucającym długie, zniekształcone cienie.

Wykorzystując swą szansę, Thalianna wydobyła z ukrycia zaimprovizowany wytrych, rozejrzała się badawczo po okolicy i przesunęła się pod ścianę, na której znajdowała się kłódka. Wysunąwszy ręce pomiędzy metalowymi prętami, smukłymi palcami odszukała dziurkę na klucz i po cichu wsunęła do środka metalowy element.

Nie miała pojęcia, ile czasu spędziła, manipulując przy topornej kłódce. Do świtu wciąż pozostawało sporo czasu, ale nie sądziła, by wydostanie się z celi w ciągu dnia było łatwym czy rozsądnym posunięciem. Działając nocą, miała znacznie większe szanse. Jeśli nie tej nocy, to może następnej.

Gdy usłyszała ciche szczęknięcie i poczuła nagły ciężar w rękach, jej zdumienie było niesamowite. Nawet nie śmiała żywić nadziei, że może jej się udać tak szybko. Oczyszcivszy umysł ze zbędnych i rozpraszających myśli, skupiła się na zamku. Ostrożnie zdjęła kłódkę, odłożyła ją na bok, starając się nie robić hałasu i zaczęła powoli otwierać zasuwę. Nie było to zbyt łatwe zadanie, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, iż metal był chropowaty i zardzewiały, jednak po pełnej napięcia chwili skobel został odsunięty. Thalianna nie mogła uwierzyć, że udało jej się zejść tak daleko w jej śmiałym planie. Teraz pozostawało jeszcze wydostanie się niezauważalnie z wioski.

Niespiesznie uchyliła kratę w swej klatce, a gdy ta zaskrzypiała cicho, kobieta zamarła w całkowitym

bezruchu, nasłuchując. Kiedy nikt się nie pojawił – najwidoczniej nie usłyszeli tak cichego odgłosu – wyslizgnęła się przez szparę w celi i obrała jak najkrótszą drogę do najbliższej chatki, by tam na chwilę ukryć się w cieniu.

Wiedziała, że wiele ryzykuje, pozostając w wiosce swych oprawców dłużej niż było to konieczne. Jednak nie chciała udawać się w dzicz bez żadnej broni. Stwory nie posiadały zbrojowni. Ba! Nawet nie uznały za stosowne, by jedną z chatek zamienić w miejsce, gdzie mogłyby składować wszelaką broń oraz rynsztunek, którego akurat nie używały. W sposób wręcz lekceważący traktowały swą broń, rzucając ją przed chatą lub zabierając do środka. Dało się nawet zauważyć jakieś sztylety walające się na ubitej ziemi – bez właściciela w pobliżu.

Oreż, który Thalianna posiadała tuż przed schwytaniem, został wykuty przez elfickich kowali i sprowadzony z odległych krain. Oczywiście dzięki precyzyjnemu wykonaniu ostrze mogło wytrzymać dłużej i znieść więcej walk niż marnej jakości broń hobgoblinów. Zapewne stwory nawet nie wykuwały same tych ostrzy – były to już podniszczone zdobycze z ich zasadzek, co całkowicie im wystarczało.

Kobieta rozejrzała się po ziemi wkoło, wciąż pozostając w cieniu jednej z chat, wzięła głęboki oddech i uznawszy, że podniszczone sztylety muszą jej chwilowo wystarczyć, zatrzymała swe błyszczące oczy na parze krótkich ostrzy, leżącej zaledwie kilka jardów od niej. Miejsce, gdzie leżała

broń, było dość odsłonięte, toteż musiała poruszać się szybko i bezszelestnie.

Odczekawszy kilka sekund, już niemalże postawiła pełny krok, gdy usłyszała odgłosy zbliżających się strażników. Szybko cofnęła nogę, skuliła się w zacienionej części tuż obok bocznej ściany chwiejnej chatki i wstrzymała oddech, zamykając jednocześnie oczy. I czekała... Czekała... Kroki oddaliły się, nikt jej nie dostrzegł i nie podniósł alarmu, ale jeśli patrolujące stwory skierują się teraz w stronę centrum placu i klatek...

Działając pod wpływem impulsu, bezszelestnie wychynęła z kryjówki i starając się pozostać jak najbliżej powierzchni ubitej ziemi, podkrađła się do broni i pochwyciła ostrza w obie dłonie. Szybko wycofała się z odsłoniętego terenu i nie zwlekając ani chwili dłużej, rzuciła się pędem w stronę lasu. Nie miała pojęcia, w którą stronę powinna się udać, by dotrzeć do jakiegokolwiek cywilizacji. Nie wiedziała nawet, gdzie się znajduje. Jednak niezbyt się tym przejęła. Im dalej od tej przeklętej wioski, tym lepiej i bezpieczniej. Resztą będzie się martwić później.

Cały czas biegła przed siebie, oddychając równomiernie. Choć niewola znacznie ją osłabiła, wciąż mogła zręcznie omijać gałęzie i krzaki, niczym młoda łania przeskakiwać przez powalone drzewa i inne przeszkody, które umiejscowiła tam natura. Trzeba przyznać, iż elfka wciąż poruszała się z niesamowitą gracją i precyzją, zwłaszcza że był środek nocy, a cienki sierp księżyca nie dawał zbyt wiele światła - zresztą i tak niewiele by się

przedarło przez gęste korony drzew. Jednak dzięki latom praktyk i życiu w leśnych ostępach kobieta radziła sobie całkiem nieźle.

Kiedy zaczęła rozmyślać o znalezieniu odpowiedniego i bezpiecznego miejsca na nocleg, jej uwagę przyciągnęły dochodzące gdzieś z boku odgłosy. Być może nie zwróciłaby na nie większej uwagi, jednak język, który usłyszała, kazał jej się zatrzymać. Znała tę mowę nazbyt dobrze. Hobgobliny. To był ich język, a podczas pobytu w niewoli u Daagnikhera słyszała go niemalże cały czas. Kilku osobników wyższej rangi znało wspólny język na tyle dobrze, by móc przesłuchiwać Thalianę. Jednak ci tutaj mówili w swej ojczystej mowie – coś jakby zniekształcony gobliniński.

Kobieta stanęła jak wryta i po odgłosach szybko oszacowała, iż są tam zaledwie dwa stwory. Nie miała pojęcia, co tam robili, jednak pomiędzy gałęziami dostrzegła słaby poblask ognia. Powoli i w ciszy zaczęła kierować się w stronę ogniska i odgłosów, ściskając sztylety w obu dłoniach. Gdy wreszcie podkrađła się na tyle blisko, by móc dokładnie ocenić sytuację, dostrzegła na miejscu dwóch hobgoblinów. Zwróceni plecami do niej, siedzieli i rozmawiali, nie mając pojęcia, że ktoś może czaić się tuż za nimi w nieprzeniknionych ciemnościach.

Wyjrawszy zza konaru drzewa, częściowo przysłonięta jakimiś bujnymi zaroślami, Thalianna bez zwłoki podjęła decyzję. Nim ruszyła, rozejrzała się za bronią stworów. Istoty, nie podejrzewając, że coś może im zagrozić, rzuciły

swój oręż koło ogniska - kilka stóp od miejsca, w którym siedziały. Kobieta zaczęła podkradać się do ich pleców, stąpając ostrożnie jak na elfią tropicielkę przystało, by nie nadepnąć na żadną podeschniętą gałązkę. Kiedy już bezszelestnie kucnęła tuż za swymi przeciwnikami, błyskawicznie wyprowadziła jeden z ciosów, wbijając sztylet prosto w kark stwora po lewej, jednocześnie skierowała prawe ostrze w plecy tego po prawej, celując bezpośrednio w serce. Hobgoblin, który otrzymał cios w kark, albo był skutecznie unieruchomiony, albo martwy. Bez względu na to po chwili z cichym bulgotem przewrócił się na bok, zastygając w bezruchu. Stworzenie, które pozostało przy życiu - najwidoczniej ostrze nie trafiło dokładnie tam, gdzie zostało skierowane, jednak najpewniej uszkodziło inne wewnętrzne organy - odwróciło się częściowo ku niej, a następnie poderwało się na nogi. Wtedy elfka wyszarpnęła sztylet z jego pleców i w mgnieniu oka przeciągnęła nim po nadstawionym gardle niczego niespodziewającego się hobgoblina. Nim stwór zdążył cokolwiek zrobić, na jego szyi ukazała się szkarłatna linia i krew zaczęła szybko wyciekać z rany. Dławiąc się własną krwią, padł na kolana i złapał się za rozcięte gardło, próbując rękoma zatrzymać upływ szkarłatnego życiodajnego płynu. Długo nie trzeba było czekać, by wciąż zdezorientowany stwór zaczął gorączkowo łapać powietrze krótkimi, urywanymi oddechami, jedynie pogarszając swą sytuację. Kobieta pochyliła się nad nim i ostrzem, które już ociekało krwią, ponownie go ugodziła. Tym razem w klatkę

piersiową, celując idealnie między żebra, tak by przebić płuco. To miało tylko zwiększyć agonię i tak już umierającego wroga. Thalianna stała tak nad nim dłuższą chwilę, rozkoszując się widokiem bólu i cierpienia, jakie zadała. Kałuża krwi rozlała się wkoło, powoli wsiąkając w ziemię. Chwilę potem elfka była tam jedyną żywą istotą – oczywiście z dwoma martwymi ciałami u swych stóp.

Tropicielka nie była w stanie opisać, jak wielką przyjemność sprawiło jej zabicie wrogów. Podczas tej krótkiej potyczki uwolniła cały swój gniew i nienawiść, a następnie skierowała je przeciwko wrogom. Nie miało dla niej najmniejszej różnicy, kto znalazł się przed nią w tej chwili – równie dobrze mógł być to jakiś człowiek lub jej pobratymiec. Liczyło się tylko zabijanie, odbieranie życia komukolwiek dla samego faktu czynienia tego.

Pospiesznie sprawdziła, czy stwory nie posiadały czegoś, co mogłoby się jej przydać, wytarła broń o łachy jednego z trupów i nie przejmując się tym, by zgasić niewielkie ognisko, wróciła na ścieżkę, którą podążała. Krew w jej żyłach pulsowała intensywnie, kobieta była tak podekscytowana i pobudzona, że zupełnie zapomniała o znalezieniu sobie miejsca na nocleg. W tej chwili była skupiona tylko i wyłącznie na drodze przed sobą i wyszukaniu kolejnych ofiar, by upuścić jeszcze więcej krwi z żył nowych przeciwników.

Kolejne dni elfia uciekinierka spędziła, przemierzając leśny bezkres. Oczy przysłonięte miała krwawą mgiełką, widniały w nich chęć zemsty oraz cierpienie. Owładnęła ją żądza mordy i rozlewu krwi. Przez te kilka dni, podczas których niewiele jadła i jeszcze mniej odpoczywała, było jej dane spotkać sporo stworów zamieszkujących Las Asin Springs. Napotkała również kilku samotnych nieznanomych elfów oraz dwoje ludzi - mężczyznę w towarzystwie córki, która nie widziała nawet dziesięciu wiosen. Oczywiście wszyscy do tej pory byli martwi, spoczywali bezwładnie w kałużach własnej krwi. Elfka pozostawiła za sobą krwawy ślad, składający się głównie z trupów niewinnych istot. Spotkanie z dwojgiem przedstawicieli ludzkiej rasy podpowiadało jej, iż musi być już niemalże na skraju lasu, bowiem ludzie na ogół nie zapuszczają się w głąb leśnych ostępów.

Nie musiała wędrować zbyt długo, by istotnie ujrzeć, jak drzewa zaczynają się przerzedzać, a las wreszcie się kończy. Stojąc na skraju lasu, spoglądała przed siebie na rozległe połacie łąk oraz terenów niezamieszkałych. Gdzieś w oddali dostrzegła dym unoszący się z wielu kominów. Prawdę mówiąc, nie miała ochoty, by udawać się w tej chwili do jakiegokolwiek ludzkiej osady, jednak mimo iż miała pewne przypuszczenia, musiała się dowiedzieć, gdzie dokładnie dotarła. Podróż do tej wioski nie powinna jej zająć wiele czasu. Załatwi swoje sprawy jak najszybciej i od razu się stąd wyniesie.

Po kilku godzinach, kiedy niebo zwiastowało już powolnie zbliżający się zachód słońca, Thalianna dotarła do

wioski. Ludzie spoglądali na nią ciekawskimi, ale i podejrzliwymi oczami. Niektórzy odsuwali się od niej z przerażeniem. Jednak ona nie zwracała nawet najmniejszej uwagi na ich reakcje. Poza tym po pobycie w niewoli oraz wędrówce przez dzicz nie wyglądała zbyt atrakcyjnie. Nawet prości wieśniacy prezentowali się znacznie lepiej w swych w miarę czystych i połatanych ubraniach.

W czasie krótkiej wizyty w miejscowej gospodzie dowiedziała się, że jak przypuszczała, wioska znajduje się niedaleko południowego krańca Lasu Asin Springs, a z tego miejsca był już zaledwie kawałek drogi do traktu prowadzącego do Orstlake. Dzięki kilku srebrnym monetom, które zabrała mężczyźnie zabitemu w lesie, zakupiła trochę jedzenia na najbliższe dni.

Nie chcąc dłużej przebywać w odludnej wiosce, jak najszybciej ją opuściła, kierując się w stronę traktu - jak jej polecono w miejscowej karczmie. Dopiero teraz, po spotkaniu z wieloma ludźmi na raz, ochłonęła nieco, przynajmniej na tyle, by zacząć racjonalnie myśleć. Poczęła zastanawiać się nad tym, gdzie powinna się udać. Nieustannie wędrując w już gęstniejącym mroku, co jakiś czas spoglądając w słabo świecące gwiazdy, by utrzymać właściwy kierunek, przypomniała sobie opowieści o pewnym miejscu - o mieście zwanym Berkeep. Z historii, których wtedy wysłuchiwała z zainteresowaniem, mogła powiedzieć, iż było to miasto skupiające przedstawicieli wszelkich ras zamieszkujących krainy Shadeheven.

Przybywały tam istoty plugawe i nikczemne, niebezpieczne i te, które wolały pozostać w cieniach, szukające miejsca dla siebie. Trafiali tam wyrzutkowie, zbiegowie bądź ci, którzy pragnęli i szukali odkupienia za swe czyny z przeszłości. Szukali miejsca, które by ich przyjęło, by mogli na nowo rozpocząć życie. Chociaż Thalianna nie wiedziała jeszcze, do której z tych grup należy, miała przeczucie, że będzie to miejsce odpowiednie dla niej. Pamiętała, że w zasłyszanych historiach pojawiała się zaskakująca informacja: miasto Berkeep znajdowało się pod powierzchnią ziemi, tuż pod Orstlake. Nie miała pojęcia, w jaki sposób ma się tam dostać, ale przynajmniej znalazła cel, do którego mogła dążyć.

Jej wędrówka do bram Orstlake zajęła około dekadnia. W tym czasie nie przydarzyło jej się nic niepokojącego, nie była też spowalniana przez niepotrzebny i ciężki ekwipunek. Trakt, którym podążała, zdawał się wyjątkowo pusty. Ponieważ lato zmierzało ku końcowi, trakt prowadzący do Orstlake powinien być szczególnie zaludniony przez karawany kupieckie, korzystające z ostatnich ciepłych dni, kiedy drogi są jeszcze przejezdne. Na tundrowych terenach, ziejących głównie pustką, jedynie letnia pora pozwalała na szybką i bezproblemową podróż karawaną. Kiedy lato mijało i częste deszcze oraz mroźne dni powracały z całą mocą, podróż wozem po zabłoconych drogach najczęściej kończyła się tym, iż taki nierozważny kupiec tkwił w miejscu, próbując oswobodzić koła wozu z lepkiego mułu.

Podczas przesyconej ciszą oraz brakiem jakiegokolwiek żywej duszy wędrowni elfki czerpała pewnego rodzaju radość z samotności. Jednocześnie zaczęła zastanawiać się, jak dokładniej może wyglądać miejsce, do którego zmierza, jakie życie wiodą istoty, które się tam znajdują.

Ostatniego, dziesiątego dnia, późnym popołudniem, kiedy słońce skłaniało się w stronę horyzontu, Thalianna stanęła na niewielkim trawiastym pagórku, z którego spoglądała na wielkie i wspaniałe Orstlake.

Część 2. Życie w Berkeep

PRZEZ KILKA NASTĘPNYCH DNI I NOCY kobieta koczowała nieopodal murów Orstlake. Na swe obozowisko wybrała trawiasty pagórek, z którego wcześniej obserwowała miasto w oddali. Elfka nie miała pojęcia, jak się dostać do Berkeep. Gdyby chociaż wiedziała, gdzie ma szukać ukrytego wejścia do miasta...

Dni mijały jej spokojnie na obserwowaniu bramy miejskiej i na przemyśleniach. Powoli zaczynała ogarniać ją irytacja wywołana beczynnością, a nie miała w zasięgu ręki niczego ani nikogo, na czym mogłaby rozładować swą frustrację. Tego samego wieczoru, gdy jej mroczne uczucia już niemalże sięgały zenitu i była gotowa wyruszyć na łowy, by tylko zabijać, dostrzegła jakieś poruszenie na skraju niewielkiego zagajnika, leżącego na zachód od jej obozu. Ponieważ słońce nie zdążyło się jeszcze schować za horyzont, złocistożółte niebo dawało dostateczne światło,

by bystre oczy elfiej tropicielki wychwyciły ruch drobnej sylwetki. Zdawało się, że postać, która zaczęła się ostrożnie przemieszczać w stronę zachodniej części muru miejskiego, nie dostrzegając elfki, a ta bacznie ją obserwowała. Coś w Thaliannie popchnęło ją do działania - chwyciła dwa sztylety, które zabrała ze sobą z hobgoblińskiej osady, i podążyła tropem ofiary.

Kiedy postać dotarła niemalże pod mur, zostawiając bramę miejską daleko poza zasięgiem wzroku, stanęła na skalistym terenie, pełnym głazów o sporych rozmiarach, i zaczęła rozglądać się, jakby czegoś szukała. Tymczasem Thalianna, sprytnie ukryta za jednym z usypisk z kamieni, przyglądała się poczynaniom tej istoty. W końcu bezszelestnie wychynęła ze swej kryjówki, niczym cień w zapadających mrokach podkradła się od tyłu i przytknęła jeden ze sztyletów do karku swej ofiary, a drugi oparła na plecach, na wysokości serca. Zaskoczona postać wciągnęła powietrze z głośnym świstem, ale nie poruszyła się. Jedynie powoli uniosła otwarte dłonie do góry w geście poddania.

- Odwróć się, tylko bez żadnych sztuczek! - Thalianna syknęła cicho lodowatym głosem, pozbawionym jakichkolwiek emocji. Chciała widzieć wyraz twarzy swej ofiary, kiedy będzie ją powoli zabijać.

Gdy postać, do tej pory zakapturzona, zwróciła się twarzą ku elfce, ta zareagowała gwałtownie, mocniej przyciskając sztylet do gardła i otwierając cienką ranę, z której zaczęła sączyć się krew.

- Drow! - elfka niemalże wypluła to słowo, patrząc z mieszaniną pogardy i nienawiści na drowkę. - Plugawe ścierwo wylazło na Powierzchnię. Ale zaraz wrócisz do swoich ciemności, poczekaj tylko, aż wbiję to ostrze w twoją szyję po samą rękojęść!

- Czekaj - szepnęła kobieta o długich, srebrzystych włosach spływających kaskadą spod kaptura. W jej zaskakująco fioletowych oczach błysnęło ostrzeżenie.

- Pff! Ciekawe, na co mam czekać? Aż rzucisz na mnie jakieś zaklęcie? - prychnęła pogardliwie elfka. - Po jaką cholere wyłaziłaś na Powierzchnię? Sądziłam, że takie plugastwa jak ty pełzają w ciemnych norach głęboko pod ziemią - zakpiła.

Kobiety przyglądały się sobie uważnie przez kilkanaście następnych sekund.

- Czego tu szukałaś?! - warknęła wreszcie Thalianna, postępując krok w stronę drowki.

- Wejścia - odparła tamta, tym razem nieco mocniejszym głosem.

- Jakiego wejścia?! - W głosie tropicielki pobrzmiwała ledwo tłumiona irytacja i gniew. - Przestań grać w te gierki! Hm... Być może wyciąganie informacji z ciebie podczas tortur okaże się znacznie zabawniejsze. Och, uwierz mi, to, co mogę ci zrobić tym sztyletem... Szybko zaczęłabyś błagać mnie o zadanie śmiertelnego ciosu. No więc jak będzie? Ja z chęcią popatrzę, jak ta brudna krew wypływa z twoich żył, drowie.

- Dobrze, dobrze! Ale przestań już! - odwarknęła drowka, błyskając białymi zębami w grymasie niezadowolenia. - Powiem ci wszystko, co zechcesz, ale może być była tak łaskawa, by zabrać ten sztylet z mojego gardła? To chyba nie jest konieczne?

- Nie wydaje mi się, no ale dobrze... - Thali syknęła ostro i popchnęła kobietę parę kroków na bok, tak by ta stała plecami do muru. Ostrze noża podniosła na wysokość klatki piersiowej przeciwniczki. - A teraz mów! Jakiego wejścia szukałaś?

- Ukrytego wejścia do Berkeep, miasta leżącego pod Orstlake.

Kiedy Thalianna usłyszała nazwę Berkeep, coś błysnęło w jej ciemnozielonych oczach, które po chwili znów wyglądały groźnie. Jednak mroczna elfka dostrzegła ów błysk, dziwną reakcję swej oprawczyni. Niestety nie miała zbyt wiele czasu na rozmyślanie o tym, gdyż kobieta brutalnie ją szarpnęła i pchnęła na kamienny mur. Chwilę potem czuła jedynie nieznośny ból, gdy jej głowa zderzyła się z twardą barierą za plecami, aż na krótki moment jej oczy zaszyły łzami. Gdyby nie fakt, że tropicielka mocno trzymała ją za gorset sukni, mroczna elfka najpewniej osunęłaby się ciężko na ziemię.

- No, to gdzie jest to wejście? - tropicielka warknęła do ucha nieco oszołomionej drowki.

- Jak mnie zabijesz, to się nie dowiesz! - odparła gniewnie fioletowooka, stając nieco pewniej i sięgając dłonią do obolałej czaszki. - Mam wrażenie, że zależy ci na

dostaniu się do tego miasta, elfko. Może pójdziemy na kompromis: ty zabierzesz swoje łapska ode mnie, a ja ci powiem, gdzie jest to cholerne wejście, hm?

- Hmm... Nie. Bardziej podoba mi się opcja, w której ty mi wskazujesz wejście, a ja być może cię nie zabiję. Być może.

- Szlag by cię! Może schowasz już swoją broń i przestaniesz próbować mnie zabić chociaż przez moment, a ja cię zaprowadzę do tego cholernego miasta? - Drowka postanowiła zaryzykować i dodała jeszcze: - Może gdybyś na chwilę odsunęła nienawiść, która cię przepelnia, to byś dostrzegła prawdę. Dlaczego tak się zachowujesz? Czy twoje serce jest naprawdę tak mroczne, jak serca mych pobratymców, elfko? - Znowu ten krótki błysk w ciemnych oczach kobiety. Drowka powoli zaczynała rozumieć zachowanie tropicielki; widziała już wiele osób takich jak stojąca przed nią elfka.

Thalianna stała chwilę w milczeniu, wciąż celując ostrzem w mroczną elfkę i rozważała jej słowa. W pewnym momencie można było dostrzec jej wahanie. Wyraz twarzy i przenikliwe spojrzenie ujawniły wewnętrzną walkę, jaką ze sobą toczyła, aż wreszcie powoli opuściła nóż. Kolejna chwila wahania. Smukłe dłonie powędrowały w stronę pasa, gdzie schowała oba sztylety. Coś się zmieniło. Odsunęła się o dwa kroki od srebrzystowłosej.

- Muszę zabrać swój plecak z obozu - powiedziała lodowatym tonem, jednak tym razem był on znacznie

bardziej opanowany. - Ty idziesz przodem, tylko bez żadnych sztuczek, drowko.

Podczas szarpaniny kaptur zsunął się z głowy elfiej kobiety o mahoniowym kolorze skóry, uwalniając długie srebrzyste włosy, połyskujące w ostatnich promieniach światła. Dekolt jej srebrzystej sukni był teraz pokryty krwią, która wciąż sączyła się z piekącego rozcięcia na boku szyi. Thalianna wskazała drogę i szybkim krokiem ruszyły do jej obozowiska. Gdy tylko dotarły do pagórka i tropicielka szybko zaczęła zbierać swój mizerny dobytek do plecaka zabranego jednej z jej ofiar, drowka chrząknęła znacząco, przerywając ciszę i spytała:

- Nie masz nic przeciwko temu, bym uleczyła sobie to rozcięcie na szyi? Nie byłoby zbyt rozsądne ignorować taką ranę...

- Tylko bez żadnych sztuczek, drowko - powtórzyła Thali i uważnie przyglądała się procesowi rzucania leczniczego zaklęcia. Po chwili zauważyła, że długa, cienka linia zniknęła z szyi czarującej. - A więc jesteś czarodziejką, drowko?

- Nie. Jestem kapłanką. I mam swoje imię - dodała nieco zirytowanym tonem. - Nazywam się Krun'hia Tidell i jestem kapłanką Pani Tańca. A ciebie jak zwą?

- Nie twój interes... - Thali w ciszy dokończyła pakowanie, jednak kiedy już zarzuciła plecak na ramię, mruknęła cicho: - Jestem Thalianna z Lasu Asin Springs... A przynajmniej kiedyś nią byłam.

- Kiedyś? - Krun'hia podchwyciła temat, jednak idąca obok niej elfka zignorowała pytanie. Bała się wracać myślami do tego, co należało już do przeszłości.

Szybko dotarły do miejsca ich niedoszej potyczki i po chwili rozglądania, jeszcze nim zapadły całkowite ciemności, Krun'hia wskazała jeden z większych głązów i stanęła tuż obok zagłębienia pod nim.

- Tutaj jest wejście. Dalej trzeba będzie iść tunelem. Zdejmij plecak, jeśli nie chcesz się zaklinować w przejściu - doradziła, po czym zwinnie wczółgała się w głęboką dziurę pod głązem, która faktycznie prowadziła do tunelu.

Moment później na ziemię upadł podniszczony plecak, a tuż za nim pojawiła się jego właścicielka.

- Chodźmy - rzuciła drowka i zaczęła prowadzić w głąb podziemnego korytarza.

Jednak zaledwie po kilku krokach musiały się zatrzymać, a z ust Thalianny co chwilę dobywało się przekleństwo.

- Do cholery jasnej! - warknęła. - Jak niby, na ognie piekielne, mam iść i się nie zabić tutaj, kiedy nie widzę, co się znajduje przede mną na wyciągnięcie ręki?!

- Chwyć mnie za dłoń, to cię poprowadzę - zaproponowała Krun'hia, która dzięki swym drowim przystosowaniom do życia pod powierzchnią ziemi mogła przełączyć wzrok na spektrum podczerwieni i rozróżnić wszystko wkoło jedynie na podstawie ciepła przedmiotów.

- Nigdy w życiu! - zaproponowała Thalianna, automatycznie krzyżując ręce na piersi.

- W takim razie możesz dalej potykać się co drugi krok. Jak chcesz, ale ja nie zamierzam tutaj tak stać - mruknęła chytrze drowka.

Chwila wahania. Ręce powoli opadające wzdłuż ciała. W końcu nieśmiały ruch i jasna dłoń pozwalająca się schwycić przez mahoniową. Krun'hia poczekała kilka sekund, oczekując jakiegokolwiek reakcji ze strony swej towarzyski. Kiedy ta nie zareagowała w żaden sposób, drowka wzmocniła uchwyt na delikatnej, a jednocześnie silnej dłoni i ruszyła dalej, mówiąc:

- Chodź, Thalianno. Przed nami sporo tuneli do przebycia.

Jak się okazało dużo później, droga prowadząca tunelami do ukrytego Berkeep istotnie była dość długa i kręta. Gdyby ktoś nieznający trasy postanowił ją odnaleźć, krążenie podziemnymi korytarzami mogłoby mu zająć wiele dni... a może i tygodni.

Thalianna nie była w stanie określić, ile czasu wędrowały w tych ciemnościach, ale kiedy błysnęło pierwsze nikłe światelko gdzieś w oddali, jej serce przyspieszyło. Znowu ten błysk w oczach, jednak tym razem ciemności uniemożliwiały dostrzeżenie go. Powoli zaczęły wkraczać do wielkiego podziemnego miasta, rozjaśnionego wieloma światłami o przeróżnym zabarwieniu.

Wchodząc na brudną uliczkę, po której przechadzały się najróżniejsze istoty, od ludzi po ogromne i masywne minotaury z niezbyt zachęcającym wyrazem twarzy

i rogami, Krun'hia się zatrzymała. Wreszcie puściła dłoń towarzyszki.

- No to jesteście. Witaj w Berkeep - mruknęła na tyle głośno, by jej słowa przedarły się przez wszechogarniający zgiełk i zamęt. Zawahała się na chwilę i spojrzała z zamyśleniem na elfkę z Lasu Asin Springs. - Jeśli szukasz jakiegoś miejsca do zatrzymania się, to radziłabym zajrzeć do Odmętów Chaosu... Tamtejsza okolica jest względnie spokojna i niemalże wolna od Słyszających.

Jedyną odpowiedzią, jaką drowka otrzymała od Thalianny, było skiniecie głową. Krun'hia wycofała się o kilka kroków z zamiarem ruszenia w swoją stronę, ale uporczywa myśl krążąca po głowie nie pozwalała jej tak po prostu odejść. Zatrzymała się na chwilę, pełna wahania, a gdy odwróciła się, tropicielka wciąż stała w tym samym miejscu. Rozglądała się wkoło, chłonąc szczegóły i zapachy tego miejsca - choć te ostatnie potrafiły być dość upiorne i nieznośne w niektórych jego rejonach.

- Być może według niektórych nie zasłużyłaś, bym ci to mówiła, tym bardziej że próbowałaś mnie zabić, ale... - drowka zbliżyła się do tropicielki na tyle blisko, by móc wypowiedzieć następne słowa szeptem, a jednocześnie spoglądać jej w oczy - w mieście takim jak Berkeep nie ma miejsca na słabości. Dobrze strzeż swego przodu i tego, kto się tam znajduje, bowiem to właśnie z tego miejsca padają najczęstsze ataki. Nie z tyłu, lecz z przodu. Zapamiętaj moje słowa.

- Idź już - odparła hardo Thali i machnęła ręką na drowkę, odganiając ją. - Dalej poradzę sobie sama.

Gdy Krun'hia Tidell odchodziła, rzuciła jeszcze szeptem:

- Do następnego spotkania, Thalianno z Lasu Asin Springs. I niech Pani Tańca ma cię w swej opiece.

Drowia kapłanka, kierując się do dzielnicy, w której znajdowała się jej siedziba, nie mogła pozbyć się wrażenia, że jej bogini uznała za stosowne, by w jakiś sposób połączyć ścieżki obu elfek.

Chociaż Thalianna nie chciała tego przyznać, czuła się zagubiona, kiedy tak stała samotnie na zaniedbanej uliczce, mając jedynie plecak przerzucony przez ramię. Postanowiła skorzystać z rady, jakiej udzieliła jej drowka - co było dla niej dostatecznym szokiem - i zamierzała udać się do wspomnianej tawerny, pomimo iż nazwa nie brzmiała zbyt zachęcająco.

Nie miała pojęcia, w którą stronę powinna ruszyć, toteż skierowała się w pierwszym lepszym kierunku, uznając, że to i tak nie zrobi większej różnicy. Przez kilka następnych godzin krążyła po mieście, w którym panuje wieczna noc - lub też dzień, jednak bez światła, zależy jak na to spojrzeć. Mimo wszystko zdawało się, że to miasto nigdy nie śpi.

Kiedy zaczynała już odczuwać znużenie i po raz kolejny minęła grupkę niewolników - czasem były to niewielkie istoty zwane koboldami, a czasem ludzie czy też elfy

z Powierzchni - wypatrzyła w tłumie przechodniów jakiegoś przedstawiciela swej rasy i używając ojczystego języka, dopytała się o poszukiwaną karcznię. I chociaż elf udzielił jej oczekiwanych wskazówek, kobiecie wcale nie spodobało się spojrzenie jego szarych oczu. Pospiesznie oddaliła się we wskazanym kierunku, wypatrując szyldu poszukiwanej karczmy.

W czasie szybkiej wędrówki przez miasto mijała dzielnice, w których ledwo mogła oddychać. Łajno hodowlanych zwierząt walało się po całej okolicy, czasem jakaś obdarta istota leżała w odchodach - ciężko było stwierdzić, czy po prostu tam odpoczywa, czy nie żyje. Zdawało się, że nikt nie dba o takie rzeczy. Kilkakrotnie na jej oczach zabito niewolnika, który przeoczył jakiś błahy szczegół, co nie spodobało się jego właścicielowi. Zdążyła zaobserwować, że gobliny, koboldy oraz inne istoty, których wcześniej nie widziała, traktowano z największym okrucieństwem - zapewne dlatego, że koszt zastąpienia martwego niewolnika którejś z tych ras był niewielki.

Wreszcie dostrzegła wypatrywaną gospodę o nazwie Odmęty Chaosu i wkroczyła do środka. Pierwszą myślą, która pojawiła się w jej głowie, było porównanie tego miejsca do karczmy, jakie znała do tej pory. Całość wyglądała obskurnie. Potem uderzył ją smród wymiocin, niemalże przyprawiając kobietę o mdłości. Żołądek zaprotestował i skurczył się gwałtownie. Thalianna ciężko przełknęła ślinę, czując, jak do oczu napływają jej łzy. Powolnym krokiem skierowała się do kontuaru, za którym

dostrzegła elfa, opierającego się o drewniany filar i rzucającego leniwe spojrzenia na salę. Ciężkie drewniane ławy i pojedyncze stoły wypełniały pomieszczenie. Dym fajkowy snuł się smętnie w górę aż pod sklepienie, wirując i przybierając nieokreślone kształty.

Kobieta zbliżyła się do kontuaru, oparła się łokciami o blat i rzuciła przeciągłe spojrzenie po istotach znajdujących się w pomieszczeniu. Przeważnie byli to ludzie, elfy z Powierzchni, kilkoro drowów oraz dwa minotaury, które robiły najwięcej hałasu. Chociaż nie było tutaj zbyt tłumnie, to również nie można było narzekać na pustki. W tym czasie elf zdążył już podejść niespiesznie do Thalianny, która jako jedyna znajdowała się przy blacie.

- Witaj, ślicznotko, w naszych skromnych progach - rzucił rozbawionym głosem, wykonując jednocześnie głęboki ukłon i błyskając białymi zębami w szerokim uśmiechu. - Co podać?

Mimowolnie kąciki ust elfki uniosły się lekko w rozbawieniu.

- Ile za pokój na noc? - spytała po chwili. - Oczywiście o ile macie jakiś wolny.

- Na noc - elf powtórzył jej słowa z nieukrywanym rozbawieniem, a ona szybko zrozumiała, co miał na myśli. - Widać, że jesteś tu nowa, ale spokojnie, jeśli nikt cię nie zabije, to w końcu się przyzwyczaisz. A co do pokoju, to na pewno jakiś się znajdzie, chociaż na twoim miejscu nie oczekiwałbym balkonu z widokiem na piękno tej miejsciny. Pięć srebrnych monet i jest twój.

- Mh... - tropicielka szybko omiotła salę znaczącym spojrzeniem. Jednak mimo to sięgnęła do plecaka po odpowiednią sumę i odebrała klucz do pokoju. - Mam nadzieję, że chociaż szczury i karaluchy nie będą się biły o miejsce w łóżku... O ile w ogóle znajdę tam jakieś łóżko.

- Oj, już nie przesadzaj. Nie jest tutaj tak tragicznie - odparł dziarsko elf, zacierając ręce.

Wystarczyło krótkie spojrzenie jej przenikliwych oczu i obsługujący ją właściciel karczmy westchnął i dodał nieco przyciszonym głosem:

- No dobra, może i masz rację. Ale lepszy taki zarobek niż żaden. Swoją drogą, nie wspomniałaś swego imienia albo zrobiłaś to tak szybko, że zdążyło już ulecieć mi z pamięci.

- Owszem, nie przedstawiłam się.

Zapadła chwilowa cisza, zakłócana jedynie odgłosami dobiegającymi z dalszej części sali.

- Mh, tak, tak. Mnie zwą Feyn. To co, może cosik do picia albo jakiś posiłek?

- Tak się składa, że moje zasoby pieniężne na chwilę obecną są dość ograniczone, więc sam rozumiesz...

- Och, jestem pewien, że jakoś się dogadamy - mężczyzna rzucił jej łobuzerskie spojrzenie swych orzechowych oczu i wolną ręką potargał krótko ścięte i roztrzepane, brązowe włosy.

Thali również odpowiedziała mu spojrzeniem, z tym że jej oczy zwężyły się groźnie, a głowa lekko przechyliła na bok, jakby dokładnie przysłuchiwała się słowom elfa.

- Och, nie, nie - szybko rzucił w jej stronę, unosząc lekko dłonie do góry. - Nie to miałem na myśli, jeśli o to ci chodzi. To jest Berkeep, a nie jakieś miasto rozpusty, gdzie na każdym rogu spotykasz kogoś sprzedającego swe wdzięki. Chociaż nie przeczę, że w Berkeep nie znajdziesz takich istot. Ale coś w twoim spojrzeniu mówi mi, że prędzej byś mi obcięła uszy, niż przystała na taki układ - dokończył, wybuchając cichym i przyjemnym dla ucha śmiechem.

- Do rzeczy, Feyn.

- Ach, od razu do interesów. Takie lubię najbardziej. - Elf schylił się na moment, grzebiąc pod ladą, po czym wyprostował się z zakurzoną butelką wina w jednej ręce i dwoma kufkami w drugiej. - Niezbyt często jest sposobność, by sięgnąć po coś lepszego od tych szczyń minotaura, które tutaj sprzedają.

- Sprzedajesz szczyń minotaurów? - parsknęła elfka z niedowierzaniem.

- Piwo, moja droga. To jest piwo, przynajmniej ma taką nazwę, bo na pewno nie smakuje jak piwo z Powierzchni albo jakiejś bogatej dzielnicy Berkeep.

Kiedy twarz tropicielki rozświetlił lekki uśmiech, jej kompan dodał:

- Raz spróbowałem tego cuda, znaczy się tego niby piwa, potem myślałem, że sobie język wyrwę. No nie dało się pozbyć tego posmaku. - Podsunął jej jeden z kufli, a sam pociągnął porządny łyk z drugiego. - No a teraz do rzeczy.

- Lubisz dużo gadać, co? - skomentowała cierpko, wachając niepewnie zawartość swego kubka.

- Za to ty jesteś niepokojąco małowówna - zripostował błyskawicznie. - No ale skoro mamy współpracować, to miło by było, jakbym wiedział, jak mam się do ciebie zwracać.

- Hej, hej! Chwila! Ja jeszcze niczego nie obiecywałam. Zgodziłam się tylko wysłuchać twojej oferty. Nie rozpędzaj się zbyt, Feyn. A co do imienia, to jestem Thalianna z Lasu Asin Springs.

- Ach, ależ spokojnie. Po co od razu te nerwy. No więc tak, powiem wprost. Widać, że jesteś nowa, bo nie znasz jeszcze tutejszych zwyczajów, ale dostrzegam w tobie również groźbę. W Berkeley morderstwa nie są czymś nadzwyczajnym i każdy już do tego przywykł. Wyglądasz na kogoś, kto wie, jak posługiwać się ostrzem, a ja chętnie bym to wykorzystał.

- Ach, tak? Konkrety, Feyn. Konkrety.

- Na początek chciałbym, byś zajęła się ochroną tego miejsca. Poprzez ochronę mam na myśli wyeliminowanie bezpośredniego zagrożenia.

- Kogo miałabym zabić?

- Pewnego drowa, tutejszego klienta. Sądzi, że stoi ponad nami i może ignorować wszelkie opłaty. To już zaczyna być uciążliwe, a ta rudera popada przez to tylko w coraz większą ruinę.

- Skoro sądzi, że jest taki bogaty, że nawet nie musi płacić za nic, to po cholere przychodzi do takiej zapadłej

dziury jak Odmęty Chaosu? – Ciekawość Thalianny została pobudzona i teraz odczuwała potrzebę zaspokojenia jej.

– Och, moja droga, on wcale nie jest taki bogaty. Siedzi w takim samym gównie jak większość z nas. Jego potęga polega na tym, że jest zaprzyjaźniony z jednym z rasy Słyszających, a to jest dostatecznie dobry argument, żeby zostawić go w spokoju, kiedy tu przychodzą.

– Słyszających? Słyszałam od... pewnej osoby, że lepiej się do nich nie zbliżać, ale prawdę mówiąc, nie rozumiem, co jest w nich takiego niebezpiecznego – skomentowała kwaśno kobieta, niezadowolona ze swej niewiedzy.

– Ich rasa potrafi kontrolować umysły innych istot. A kiedy twoje myśli i ciało zwracają się przeciw tobie, masz powód do paniki – odparł tamten z zaskakująco poważną miną.

– Och, świetnie. – Thalianna klasnęła w dłonie z udawaną radością. – A więc chcesz, żebym wpakowała się w bagno, z którego – zaznaczmy to wyraźnie – mogę nie wyjść w jednym kawałku, bo jakiś stwór przejmie kontrolę nad moim mózgiem. Hmm, a to wszystko w zamian za...?

– Będiesz mogła się tutaj zatrzymać na bliżej nieokreślony czas. A żeby być bardziej dokładnym, to nie musisz się nawet martwić przyjacielem tego drowa, o ile dorwiesz elfa, gdy będzie sam. A jeśli jesteś biegła w zabijaniu, to nie powinno ci to sprawić większych trudności.

– Wspaniale – odparła, stawiając pusty już kufel na blacie tuż przed sobą. – Dlaczego sam tego nie zrobisz?

- Nie chcę, by mnie z nim powiązano.
 - Oczywiście. A skąd mam mieć pewność, że mnie nie oszukujesz, Feyn? Dlaczego mam w to uwierzyć?
 - Nie musisz i w tym cały urok tego miejsca. Każde słowo może być kłamstwem, Thalianno z Lasu Asin Springs.
 - Zatem mam założyć, że to, co mi powiedziałaś, jest jedynie wymyśloną historyjką, którą opowiadasz każdemu nowemu, który tu zawita?
 - Być może - rzucił jej przebiegłe spojrzenie. - Powiedz mi, Thalianno, czego się spodziewałaś, kiedy tutaj wyruszałaś?
 - Na pewno nie śmierci podążającej za mną na każdym kroku - warknęła.
 - W takim razie może nie jest to miejsce dla ciebie? - zasugerował brązowooki elf, a jego słowa zabrzmiały zaskakująco szczerze.
 - A dlaczego ty tutaj jesteś? Dlaczego nie na Powierzchni? - odparła pytaniem na pytanie, ignorując jego wcześniejsze słowa, które jednak zdążyły już zakraść się w zakamarki jej umysłu.
 - Długa historia. I nic w niej ciekawego. - Machnął ręką, zbywając dalsze pytania.
- Tropicielka bez słowa zaczęła oddalać się w stronę schodów, które miały prowadzić do pokoi. Jednak nim zdążyła przejść kilka kroków, elf zawołał za nią:
- Hej! To jak będzie z moją ofertą, ślicznotko?
 - Przemyślę - rzuciła krótko i bez dalszych wyjaśnień ruszyła do wynajętego pokoju na piętrze.

Ze snu wyrwało ją poruszenie w pokoju. Gdy tylko jej czuły słuch wychwycił ciche skrzypnięcie deski tuż koło niej, otworzyła oczy, chcąc zerwać się z łóżka i przyjąć pozycję do ataku. Jednak gdy uniosła powieki, poczuła, jak czyjaś silna i smukła dłoń zakrywa jej usta, uniemożliwiając krzyk. Gdy chciała sięgnąć dłońmi na bok, by pochwycić swoją broń, poczuła, jak ostrze napastnika mocniej naciska na jej klatkę piersiową tuż pod mostkiem.

- Nie radzę - rozległ się szept w ciemnościach, wypowiedziany w melodyjnym języku elfów.

Gdy Thalianna szła spać, zostawiła zapaloną świeczkę, która wciąż powinna się palić. Jednak wkoło panowała całkowita ciemność, ledwo rozjaśniana przez nikłe światła dochodzące z za okna, pozwalające na rozróżnienie zarysu sylwetek i kształtów. Unieruchomiona przez elfa kobieta leżała na łóżku, nie mogąc nic zrobić. Czuła, jak przeciwnik opiera się jednym kolaniem o łóżko i pochyła nad nią.

- Czego chcesz? - spytała, jednak dłoń zasłaniająca jej usta, sprawiła, że wypowiedziane słowa były jedynie niezrozumiałym bełkotem.

- No już, cicho, cicho - szepnął ostro mężczyzna, jednocześnie mocniej przyciskając swe ostrze do ciała elfki, wyraźnie chcąc pokazać, kto ma przewagę w obecnej sytuacji i kto komu wydaje polecenia. - Pozwolę ci mówić, ale bez żadnych krzyków. I tak ci nie pomogą, na pewno nie przy Cieniu. Jeden niewłaściwy ruch i jesteś martwa.

Gdy tylko odsłonił jej usta, Thalianna wbiła zacięte spojrzenie w błyszczące punkciki na twarzy elfa, które były niczym innym jak oczami. W ciemnościach panujących w pomieszczeniu nie była w stanie określić ich koloru, jednak rozpoznała głos męczyzny. Należał on do elfa, którego wcześniej zagadnęła i spytała o drogę do karczmy. Tłumiąc wzbierający gniew, syknęła:

- Czego ode mnie chcesz?

- Podczas naszego spotkania od razu zorientowałem się, że jesteś w Berkeep po raz pierwszy. Szybko byś wzbudziła zainteresowanie innych Cieni, dlatego mieliśmy szczęście, że to ja byłem pierwszym, który wpadł na ciebie, elfko.

- Do czego zmierzasz? O co ci właściwie chodzi?

- O ciebie, oczywiście. - Elf roześmiał się cicho, jednak nie był to przyjemny czy przyjazny śmiech. - Mam wrażenie, że sprawiłabyś mi nazbyt wiele kłopotów wśród innych Cieni, a ja nie lubię kłopotów. Dlatego zamierzam wyeliminować jeden z nich już teraz. Jakies ostatnie słowo? Może życzenie?

- Jesteś za... - zaczęła tropicielka, pojmując zamiary szarookiego.

- Ha, ha, żartowałem - przerwał jej, a kpiący uśmiešek wykrzywił jego twarz w ciemnościach. - I tak gównu mnie obchodzą twoje słowa. Czas umierać!

Thalianna dłużej się nie zastanawiała. Nie zamierzała leżeć beczynn timer, zdana na łaskę nieznanomego. Gniew, który do tej pory w niej wzbierał, połączony ze strachem,

popchnął ją do działania. Z zamachem uderzyła przedramieniem prawej ręki w sztylet oparty na swojej klatce piersiowej. Pożałowała tego manewru - poczuła ostry ból, gdy przedramię zderzyło się z krawędzią ostrza, które wbiło się niebezpiecznie głęboko w ciało. Kobieta czuła, jak ciepła krew zaczyna spływać jej wzdłuż ręki, moczając rękaw tuniki, jednak dzięki temu manewrowi broń przeciwnika została odepchnięta na bok. Elf, zupełnie zaskoczony tak śmiałym posunięciem swej ofiary, zdezorientowany stał nad nią przez kilka sekund, podczas gdy tropicielka sięgnęła po własną broń. Rana na prawej ręce była tak nieznośna i piekąca, że gdy elfka chwyciła sztylet dłonią, ostrze upadło na podłogę obok niej. Chwilowo musiała jej wystarczyć jedynie lewa ręka.

Próbując poderwać się z łóżka, kopnęła stopą w nogę przeciwnika, która mocno opierała się na podłodze. Noga ugięła się pod siłą ciosu, a elf przewrócił się na łóżko, natomiast kobieta zwinnie odturlała się na bok posłania i stanęła po drugiej stronie. Cień szybko zaczął się podrywać, jednak elfka zdążyła już skoczyć do niego, by zadać cios nożem. Przeciwnik w ostatniej chwili odbił dłonią jej uzbrojoną rękę i po krótkiej szarpaninie Thalianna ponownie leżała na łóżku przygnieciona ciałem elfiego mężczyzny, który usiadł na niej okrakiem, jednocześnie uniemożliwiając kobiecie jakiegokolwiek ruchy. Przytrzymał jej prawą rękę, przyciskając ją do poduszki. Tropicielka wciągnęła powietrze z głośnym świstem i syknęła, gdy przeciwnik mocno ścisnął zranione ramię,

wywołując falę bólu. Z lewą ręką, w której dzierżyła sztylet, wciąż się siłował, jednak kobieta nie zamierzała tak łatwo odpuścić.

- Poddaj się! - warknął mężczyzna tuż przy jej uchu, wciąż bezskutecznie próbując rozbroić elfkę.

Jednak ona z zaciętym wyrazem twarzy skrytym w ciemnościach włożyła ogromny wysiłek w kolejny ruch i lekko dysząc, szarpnęła się mocno pod elfem, jednocześnie popchnęła swój sztylet w stronę jego klatki piersiowej. Ostrze weszło w ciało, ocierając się o sąsiadujące ze sobą żebra, po czym zagłębiło się aż po rękojęść, rozrywając płuco. Taki atak wystarczył, by na twarzy mężczyzny pojawiło się przerażenie, którego kobieta nie mogła dostrzec. Mężczyzna uświadomił sobie, że przegrał walkę. Porażony nagłym bólem, wciągnął gwałtownie powietrze, co jedynie pogorszyło jego stan, przynosząc jeszcze więcej cierpienia.

Tropicielka mocnym ruchem zepchnęła z siebie przeciwnika i gdy ten rozpaczliwie próbował nabrać powietrza w płuca, klęknięła obok niego i szepnęła mu do ucha:

- Ze mną się nie zadziera. Nigdy.

Po czym szybkim ruchem nadgarstka przycisnęła ostrze swego sztyletu do szyi mężczyzny i przeciągnęła wzdłuż, otwierając długą ranę. Krew trysnęła z rozciętych tętnic, częściowo ochlapując rękawy i dłonie kobiety, a elf, który tak niedawno próbował ją zabić, sam wyzionął ducha.

Spojrząwszy szybko na spoczywającego na wynajętym łóżku trupa, minęła go, skierowała się w stronę drzwi i zeszła na dół. Zdawała się zupełnie nie przejmować faktem, że w dłoni wciąż dzierży zakrwawione ostrze, a jej ubranie i ręce również są poznaczone świeżym szkarłatem. Jej krew powoli sączyła się z głębokiej, piekącej rany na przedramieniu i skapywała na brudną podłogę, zostawiając za kobietą ścieżkę szkarłatnych kropli.

Kiedy dotarła na dół, pierwszą rzeczą, którą dostrzegła, był Feyn stojący za kontuarem i rozmawiający szeptem z Krun'hią Tidell. Tropicielka podeszła do nich i zwróciła się do mężczyzny tonem pozbawionym jakichkolwiek emocji:

- Chyba ktoś będzie musiał posprzątać mój pokój... i zająć się ciałem.

- Właśnie o tym ci mówiłam, Feyn! - skomentowała ostro drowka, starając się mówić cicho. Nie byli sami, w sali karczemnej znajdowało się kilka istot różnych ras, a ona nie chciała ściągać na siebie uwagi.

- Och, to znowu ty, jak miło - odparła sarkastycznie Thalianna, rzucając krótkie spojrzenie na mroczną elfkę. - Co ty tu robisz?

- Przyszłam cię ostrzec, ale z tego, co widzę, chyba trochę się spóźniłam.

- Ostrzec przed czym?

- Nie przed czym, ale przed kim - wtrącił Feyn, obrzucając uważnym spojrzeniem zakrwawioną elfkę. - Wygląda na to, że grupa Cieni jest zainteresowana twoją osobą.

- I co w związku z tym?

- Lepiej posłuchaj uważnie. Cienie są niebezpieczną organizacją i wcale nie chcesz mieć z nimi do czynienia - ostrzegł elf poważnym głosem.

- A może któreś z was zechce mi łaskawie powiedzieć, kim, na ognie piekielne, są te Cienie? I dlaczego uważacie, że są tacy niebezpieczni? Macie jakieś konkretne informacje?

- To jest grupa składająca się tylko z elfów - kapłanka zaczęła tłumaczyć. - Drowy, elfy z Powierzchni i tak dalej. Cały czas wyszukują nowych twarzy z Berkeep, które pasowałyby do ich organizacji. Cienie - zapewne już zdążyłaś się domyślić, dlaczego tak się nazywają - współpracują z przedstawicielami rasy Słyszących. Chociaż niestety nie udowodniono im tego i nie mówi się o tym głośno.

- Krun'hia dowiedziała się, że Cienie zainteresowały się tobą, i przyszła przekazać, że nie jesteś już tu bezpieczna - podsumował właściciel karczmy.

- Nie rozumiem jednej rzeczy w tym wszystkim - rzekła Thalianna po chwili zastanowienia. - Po co miałybyś mi pomagać, drowko? Rozumiem, że Feyn może mieć w tym jakiś interes z uwagi na jego ofertę, ale ty? Dlaczego?

- Po prostu taka już jestem - odparła kapłanka z lekkim uśmiechem na twarzy i delikatnie wzruszyła ramionami. - Czasem trzeba przyjrzeć się dokładniej, by dojrzeć to, co jest ukryte w głębi, Thalianno z Lasu Asin Springs. Wiedz, że zawsze jest nadzieja. Nawet dla kogoś takiego jak ty.

- Ach, właśnie, moja oferta... Przemyślałaś ją, ślicznotko? - mężczyzna wtrącił radośnie.

- Feyn! - syknęła Krun'hia, posyłając mu ganiące spojrzenie. - Nie mów tylko, że jej też zaproponowałeś taki układ!

- No co? - skwitował mężczyzna, odpowiadając jej niewinnym spojrzeniem orzechowych oczu i lekko wzruszając ramionami. Na koniec uśmiechnął się łobuzersko, porzucając już jakiegokolwiek pozory niewinności.

- Potem o tym porozmawiamy - drowka zganiła go ostro. - Thalianno, wiem, że mi nie ufasz, i nie oczekuję, że nagle to się zmieni, ale chociaż przemyśl moją propozycję. Powinnaś stąd zniknąć. Odmęty Chaosu to nie jest już bezpieczne miejsce dla ciebie. Możesz jednak zatrzymać się u mnie na jakiś czas, aż wszystko ucichnie i Cienie znajdą sobie nowy cel.

- Radziłbym rozsądnie przemyśleć ofertę Krun'hii. Zwłaszcza że moja jest już chyba nieaktualna... - mruknął Feyn, przyglądając się uważnie tropicielce.

Thali wbiła spojrzenie w swą zranioną rękę, unosząc ją na wysokość klatki piersiowej. Pomiedzy rozmówcami zapadła cisza, zakłócana jedynie typowymi odgłosami dochodzącymi z dalszej części sali. W końcu, wciąż nie odrywając swego wręcz ostentacyjnego spojrzenia od rany, Thalianna odezwała się:

- Chyba jakieś ścięgno jest uszkodzone albo coś. Nie jestem pewna. Nie mogłam utrzymać sztyletu w dłoni.

- Mogę się tym zająć - zaproponowała kapłanka. - Jeśli coś zostało uszkodzone w twoim przedramieniu i zignorujesz to, być może nigdy nie odzyskasz pełnej sprawności w tej ręce. Jeśli chcesz, żebym coś z tym zrobiła, to chodźmy na zaplecze... Nie potrzebny nam tłum widzów.

Gdy Feyn wskazał głową na drzwi za sobą, obie kobiety skierowały się bez słowa za kontuar i Krun'hia poprowadziła je do pomieszczenia na tyłach. Kapłanka Tańczącej Pani najpierw rzuciła zaklęcie, które pozwoliło jej dokładnie zdiagnozować, jakie szkody poczyniło ostrze, a następnie wymruczała formułę zaklęcia leczącego. Po tym zabiegu ręka Thalianny ponownie była sprawna, zupełnie jakby nigdy nie została rozcięta.

- Całkiem przydatna zdolność to całe leczenie - skomentowała w drodze powrotnej do głównej sali.

- To dzięki mej bogini mogę korzystać z zaklęć. W porównaniu do czarodziejów i zaklinaczy magia kapłańska pochodzi prosto od wyznawanego bóstwa. A magia druidzka pochodzi od natury.

- Przyjmę twoją ofertę - mruknęła tropicielka po chwili wahania wciąż wyczuwalnego w jej głosie.

Krun'hia, obserwując z ukosa swą towarzyszkę, znów dostrzegła ten specyficzny błysk w oczach elfki z Powierzchni. Uznała to za dobry znak. Kiedy ponownie stanęły przy szynkwacie naprzeciwko Feyna, drowka próbowała ukryć uśmiech triumfu, który nieustannie cisnął

jej się na usta. Wyglądało na to, że Feyn zdążył już się domyślić, co jest powodem tego uśmiechu.

- Jesteś tutaj mile widziana, kiedykolwiek zechcesz wpaść - rzucił z lekkim uśmiechem do Thalianny. - A i na pewno jakieś lepsze wino zawsze się znajdzie na taką okazję.

- Pewnie, bo piwo, które tutaj sprzedajesz, może przyprawić tylko o niezły rozstrój żołądka na bliżej nieokreślony czas - mruknęła złośliwie drowka, wyraźnie drocząc się z mężczyzną.

- Ależ oczywiście. - Elf parsknął wesoło, po czym szybkim skinieniem głowy pożegnał się z kapłanką.

- Chodź, na nas już czas - uznała Krun'hia, prowadząc swą towarzyszkę z Powierzchni na zewnątrz tawerny i dalej, w inną część Berkeep, jednak niezbyt oddaloną od karczmy Odmęty Chaosu.

Kolejne dni, gdy Thali mieszkała wraz z Krun'hią Tidell w niezwyklej siedzibie drowki, mijały bez żadnych niepokojących znaków. Tropicielka wciąż korzystała z gościnności kapłanki, od której otrzymała nowe ubrania. Mieszkanie było dość nietypowe, gdyż znajdowało się w stalaktycie o sporych rozmiarach. Składało się z trzech poziomów, a na najwyższym z nich znajdował się tymczasowy pokój Thalianny.

Elfka wraz z upływem czasu, który przeciągał się w tygodnie, zaczynała czuć się coraz swobodniej w tym

specyficznym miejscu oraz w towarzystwie drowki. Kapłanka dużo czasu spędzała poza stalaktytem, udając się na spotkania z innymi wyznawcami Pani Tańca oraz pomagając rannym i chorym. Co jakiś czas Krun'hia wychodziła na Powierzchnię. Pewnego razu Thalianna postanowiła jej towarzyszyć. Gdy dotarły na Powierzchnię, drowka skierowała się do znajomego zagajnika na niewielką polankę. Wraz z pojawieniem się księżyca na niebie rozpoczęła swój hipnotyzujący taniec, który - jak potem wyjaśniła - był oddaniem czci jej bogini powiązanej z tańcem i księżycem. Od tamtej pory Thalianna zawsze towarzyszyła kapłance, gdy ta udawała się na polanę.

W dniach spędzonych z mroczną elfką tropicielka dowiedziała się wielu rzeczy o swej nowej towarzyszce. Nie darzyła jej już taką nienawiścią jak początkowo. Co jakiś czas odwiedzały razem Feyna w jego karczmie. Thalianna musiała przyznać, że lubi tego elfa bardziej, niż to okazuje. Elfi mężczyzna zdawał się idealną mieszanką dobroci i mroku, które się równoważyły. Na pewno nie należał do tych niewinnych i wiecznie dobrych istot, ale nie był również przesiąknięty do głębi mrokiem i złem. Jak każdy miał na sumieniu nieczne uczynki, jednak starał się żyć w zgodzie ze swoimi wartościami, które wyraźnie kierowały się ku dobru.

Czas spędzony w towarzystwie tych dwojga przypomniiał Thaliannie dni, gdy przebywała wśród pobratymców, dzieląc z nimi radości i smutki. Zaczynała tęsknić za tymi uczuciami i nie była w stanie wygnać ich ze

swego serca. Również zaczynała sobie powoli uświadamiać słowa Feyna, gdy powiedział jej, że być może Berkeep nie jest miejscem dla niej. W końcu dotarło do niej, że dzięki tej dwójce wciąż jest w tym mieście. Gdyby nie oni, zapewne już dawno zaczęłyby szukać innego miejsca. To właśnie oni stanowili kotwicę, która utrzymywała ją w Berkeep.

Chociaż ciągle nie była gotowa, by ruszyć dalej, i nadal bała się przyznać to otwarcie, czuła, że powoli zaczyna odzyskiwać to, co porzuciła, by przetrwać.

- Thali, wybieram się do Feyna. Idziesz ze mną? - zawołała Krun'hia.

- Tak, tak, chwilka. Już idę! - odskrzyknęła tropicielka, przypinając pas z bronią, które były prezentem od drowki, i po chwili dołączyła do towarzyszek.

Kiedy opuściły stalaktyt, w którym mieszkały, Thalianna skrzywiła się na wspomnienie ostatniej wizyty w Odmętach Chaosu. Grupa minotaurów pokłóciła się o coś, czego źródło było znane tylko im, i pomimo nalegań Feyna, by załatwili swe sprawy na ulicy, rozpoczęły głośną bójkę między sobą. Dopiero kiedy kobiety wkroczyły pomiędzy istoty, sugerując, że jeśli nie opuszczą karczmy dobrowolnie, to zostaną z niej wyrzuceni z hukiem, minotaury uspokoiły się. Ostatecznie obyło się bez walki z udziałem broni, ale było całkiem blisko.

- Mam nadzieję, że tym razem nie będzie tam tych minotaurów. W większej grupie robią się strasznie

nieznośne - rzekła, idąc tuż obok kompanki. - Nie dość, że potrafią być upiornie głośne, to są skore do bójki o najmniejszy drobiazg.

- Przynajmniej Feyn nie może narzekać na brak rozrywek i monotonię - odparła Krun'hia, wybuchając śmiechem.

Skierowały się w stronę targu i sklepów, gdyż drowia kapłanka musiała zamienić kilka słów z jednym ze znajomych sklepikarzy, po czym ruszyły przez wielki plac, na którym zebrało się wiele istot. Chociaż tłum był gęsty, kobiety zaczęły przepychać się do przodu, chcąc dowiedzieć się, co jest źródłem tak wielkiego zainteresowania.

Krun'hia jako pierwsza zrozumiała, co dzieje się na placu.

- Sprzedaż niewolników - wyjaśniła z gniewem w głosie, niemalże wypluwając słowa.

- Niewolnicy w Berkeep są traktowani z takim okrucieństwem... - uznała elfka, przyglądając się bezradnie sporej grupie niewolników, którzy niebawem mieli trafić do nowych właścicieli. - Nikt nie zasługuje, by dostać się do niewoli i być traktowanym w taki sposób. Każdy powinien być panem własnego losu. Spójrz tylko na nich. Żadne nie ma już siły, być dalej żyć... Taki brak silnej woli szybko doprowadzi ich do wyczekiwanej śmierci, być może wtedy zaznają choć odrobinę spokoju...

Thalianna nie opowiedziała ani Feynowi, ani Krun'hii o czasie, który spędziła w hobgoblińskiej niewoli. Chociaż darzyła rasę hobgoblinów głęboką nienawiścią, to widząc

kilkoro z nich pośród innych niewolników, poczuła żal z powodu losu, jaki ich czekał. Doskonale знаła uczucie, kiedy jest się pozbawionym wolności, a nadzieja zostaje brutalnie odebrana.

- Thalianno, nie chcę dłużej na to patrzeć. Chodźmy już stąd.

- Czekaj! - Tropicielka chwyciła towarzyszkę za ramię, przyciągając ją do swego boku. - Spójrz tam, na grupę tych koboldów. Przyjrzyj się dokładnie. Widzisz?

- Ale co?

- Ten najdrobniejszy kobold. Widzisz, jak rozgląda się nerwowo? Spójrz w jego oczy, Krun'hio. On jest silny, wciąż walczy ze swym losem. Nawet ty to musisz dostrzegać. Wciąż jest dla niego nadzieja! Reszta już dawno się poddała, ale nie on...

- Thali! - Kapłanka rzuciła jej surowe spojrzenie, nie pojmując w pełni zamiarów elfki. - Chyba nie zamierzasz kupować niewolnika?! Przed chwilą sama im współczułaś i mówiłaś...

- Słuchaj - przerwała jej zirytowana kobieta, cedząc uważnie każde słowo. - To, co mówiłam, to prawda. I nie zamierzam kupować sobie żadnego niewolnika. Dla reszty z nich nie ma już szans, oni zaakceptowali swoją pozycję i poddali się. Ale nie on! Nie ten mały kobold! Chcę, byś pomogła mi dać mu drugą szansę. Potem ci wyjaśnię dlaczego. Proszę, Krun'hio. To jest czyn, który ma pomóc temu stworzeniu.

- Ty bierzesz na siebie odpowiedzialność za następstwa tego czynu.

Wystarczyło krótkie spojrzenie w oczy stworzenia, by Thalianna rozpoznała tkwiącą w nich siłę. Siłę, którą sama w sobie miała i która pozwoliła jej przetrwać czas niewoli. Kobold zdawał się wyjątkowo inteligentny, co go wyróżniało z grupy jego pobratymców.

Gdy nadeszła kolej sprzedaży koboldów, obie kobiety szybko przystąpiły do wyceny oraz dalszej części aukcji żywym towarem i bez większych problemów wykupiły stworzenie, które przyglądało im się hardo, ale i z przerażeniem. Było to wyraźnie dostrzegalne w jego ciemnych, niemalże czarnych oczach.

Część 3. Faerl – niezwykły kobold

W CIĄŻ NIE CHCE NIC MÓWIĆ. - Krun'hia westchnęła zrezygnowana.

Poprzedniego dnia wykupiły kobolda z niewoli i wróciły do stalaktytu, próbując się czegoś dowiedzieć od stworzenia. Jednak kobold milczał przez cały czas, przyglądając się im nieufnie. Chociaż już wiedziały, że mogą się z nim porozumiewać jedynie w języku drowów, to wciąż nie uzyskały żadnej odpowiedzi.

- Jest przerażony i niepewny, co go czeka. Nie ma co się dziwić - odparła Thalianna, rozumiejąc, co przeżywa małe stworzenie.

- Thalianno, nigdy nam nie wyjaśniłaś, dlaczego tu trafiłaś. I dlaczego tak zależało ci na losie tego kobolda?

Kiedy elfka nie udzieliła odpowiedzi, drowia kapłanka spróbowała jeszcze raz.

- Co przeżyłaś, że tak dobrze rozumiesz tę istotę?

- Trafiłam do niewoli. Hobgobliny zaatakowały mój oddział i pojmały nas. Potem torturowali mnie aż do utraty przytomności... - zaczęła przyciszonym głosem. - Co chwila wymyślali nowe sposoby, by wydobyć ze mnie informacje, by skłonić mnie do mówienia. Krun'hio, patrzyłam na śmierć wielu, a wśród nich byli moi przyjaciele. Jestem za to odpowiedzialna...

- Thali...

- Żeby przetrwać, musiałam mieć siłę, musiałam ją odzyskać. Wyparłam się wszelkich uczuć, bo to one były słabością. Niewola sprawiła, że straciłam wszystko. Również część siebie.

- Teraz rozumiem twoje zachowanie.

- Zawsze jest nadzieja - powiedziała tropicielka z lekkim uśmiechem rozświetlającym jej twarz, powtarzając słowa, które drowka tak często wypowiadała do niej.

Kolejny dzień przyniósł postęp. Kobold zaczął dostrzegać, iż żadna z elfek nie zamierza zrobić mu krzywdy, toteż stał się trochę bardziej rozmowny.

Humanoidalne stworzenie nie miało imienia, co bardzo zaskoczyło tropicielkę. Kobold, widząc, że jest dobrze

traktowany, zgodził się przyjąć imię, które zaproponowała Krun'hia. Kobieta знаła rasę koboldów jeszcze z czasów, gdy mieszkała w swym ojczystym mieście w Podświecie. Faerl - takie imię nosiła teraz mała istota.

Z czasem, kiedy dowiadywały się coraz więcej o małym stworzeniu, Faerl również zaczynał czuć się swobodniej. Ponieważ wszystkie rozmowy przebiegały w języku drowów, Thalianna musiała czekać, aż kapłanka jej wytłumaczy, o czym rozmawiają. Uznawszy, iż nauczenie Faerla wspólnej mowy jest dobrym pomysłem, sama podjęła się tego zadania, a Krun'hia pomagała jej w tym.

Dni mijały jeden za drugim. Jak się okazało, Faerl był niezwykle inteligentny i szybko oraz chętnie przyswajał wiedzę. Po kilku tygodniach nauki potrafił już porozumiewać się z elfkami przy użyciu podstaw wspólnej mowy. Większość czasu spędzał w bibliotece drowki, czytając książki.

Ponadto stworzenie zaczęło coraz częściej wykazywać magiczne zdolności. Po wielu próbach Krun'hia odkryła, że Faerl posiada naturalny talent magiczny. Choć było to niezwykle zjawisko wśród tej rasy, gdyż rzadko trafiał się osobnik na tyle inteligentny, by poradzić sobie ze swymi umiejętnościami, Faerl przy odpowiednim szkoleniu mógł stać się naprawdę dobrym zaklinaczem.

Za namową Thalianny Krun'hia postanowiła wspomóc kobolda w rozwijaniu talentów, natomiast on, pragnąc się odwdzięczyć za okazywaną dobroć, zaproponował, że

nauczy drowkę języka smoczego, który był jego mową ojczystą.

Czarnooki kobold o niezwykłym intelekcie szybko przyzwyczaił się do nowej sytuacji życiowej. Podobało mu się to, że nie jest niewolnikiem. Z czasem zaczął swobodnie poruszać się po ulicach Berkeep.

Decyzja o wykupieniu Faerla z niewoli znacząco odbiła się na Thaliannie. Elfia tropicielka wreszcie zaczęła otwarcie przyznawać, iż tęskni za tym, co utraciła. Czas spędzony z Faerlem, Krun'hią i Feynem pozwolił jej poskładać rozbite części swej osobowości. Wiedziała, że już nie będzie tą samą osobą, ale była wdzięczna, że nie jest zimną morderczynią bez skrupułów. Znalazła się pośród przyjaciół, którzy się o nią troszczyli, a ona o nich.

Jej pobyt w Berkeep trwał niemalże pół roku. Jednak w końcu nadszedł czas, gdy poczuła, że to już nie jest miejsce dla niej.

- Miałaś rację, Feyn. To nie jest miejsce dla mnie, ale cieszę się, że tu trafiłam - powiedziała do mężczyzny na pożegnanie. - Dbaj o Krun'hię.

- Jak kiedyś będziesz w pobliżu, to wpadnij. Zawsze znajdzie się tutaj jakieś lepsze wino dla ciebie, Thali.

- Oczywiście, Feyn, oczywiście - odparła ze śmiechem, czując, jak do oczu napływają jej szkliste łzy. Ciężko było pożegnać się z przyjacielem, ale oboje rozumieli, że nadszedł najwyższy czas.

Już wcześniej kilkakrotnie wspominała o odejściu, toteż wszyscy mogli się domyślić, że w końcu podejmie tę decyzję, jak i dalszą wędrówkę.

Feyn musiał zostać w swej karczmie, jednak Krun'hia oraz Faerl towarzyszyli jej tunelami aż na Powierzchnię. Kiedy opuściła ostatni raz widziane Berkeep, na niebie pojawiły się pierwsze oznaki nadchodzącego świtu. Wciąż mieli trochę czasu, ale każde z nich wiedziało, że już najwyższy czas powiedzieć sobie ostatnie „żegnaj”.

Thalianna musiała ruszyć dalej. W końcu odnalazła spokój w swym sercu i była gotowa zacząć wszystko od nowa.

Część 4. Lawina wspomnień

Thali siedziała na niewielkim wzniesieniu pokrytym zielonkawą trawą, która z uwagi na nadchodzącą porę roku zaczynała usychać i tracić kolor. Oczy kobiety były skierowane ku murom Orstlake. Wzięła głęboki oddech, przymknęła powieki i pozwoliła myślom swobodnie dryfować.

Ostatnie kilka miesięcy spędziła w mieście Berkeep, próbując odzyskać straconą czy zagubioną tożsamość. Na wspomnienie trzech istot, które tam poznała, jej twarz rozpromienił uśmiech. Powieki rozchyliły się, ukazując błyszczące ciemnozielone oczy, niezwykle podobne do mchu w głębi lasu, a po chwili znowu się zamknęły.

Tego samego dnia, zaledwie kilka godzin wcześniej, pożegnała się z trojgiem przyjaciół, którzy byli przy niej przez ostatnie miesiące. Chociaż bardzo pragnęła, by jej

towarzyszyli w dalszej wędrówce, każde z nich doskonale zdawało sobie sprawę, że ludzie z Powierzchni nie będą w stanie zaakceptować istot takich jak drow i kobold, a Feyn miał swoją karczmę. Mieli dobre serca, ale wiedzieli, że nie ma dla nich miejsca pośród ludzi i ras Powierzchni.

- Thali, naprawdę bardzo chciałabym z tobą ruszyć dalej, ale każde z nas zdaje sobie sprawę, że nigdy nie znajdziemy własnego miejsca poza Berkeep - rzekła do niej Krun'hia, gdy się żegnały.

- Tutaj przynajmniej nie jesteśmy traktowani jak jakieś wynaturzenia. Może i Berkeep nie jest najlepszą siedzibą, ale chyba tylko to miejsce możemy nazwać domem, bo tutaj jesteśmy akceptowani w znośnym stopniu - próbował jej wytłumaczyć Faerl.

- Ach. Wiem, Faerl, wiem. Ale ciężko mi tak odchodzić i zostawiać was.

- To nie jest miejsce dla ciebie, Thali - dodała drowka. - A przynajmniej już nie jest, bo na nowo odnalazłaś to, co w sobie utraciłaś. Teraz musisz podjąć kolejną wędrówkę, obrać nową ścieżkę w swym życiu. Wiesz już, dokąd się udasz?

- Od jakiegoś czasu rozmyślałam nad Doliną Harshdell. To, co uczyniłam w przeszłości, nie napawa mnie dumą, lecz odrazą do samej siebie. I wciąż nie jestem gotowa, żeby wrócić do Lasu Asin Springs i do mego klanu. O ile jeszcze istnieje... Być może przyczyniłam się do jego

zagłady i śmierci wielu istnień, dlatego sędzę, że Dolina będzie odpowiednim kierunkiem dla mnie.

- Cóż, to miejsce ma swą sławę - odparła Krun'hia. - Skupisko zbiegów, złodziei i krętaczy, choć zapewne znajdziesz tam wiele osób, które po prostu zbłądziły, tak jak ty.

- Być może. No cóż, na mnie już chyba czas. Ciszę się, że było mi dane was poznać i mam nadzieję, że nie jest to nasze ostatnie spotkanie.

- Ja również, Thalianno - pożegnał się z nią niezwykle kobold, w którego oczach można było dostrzec głębię intelektu.

- Niech Tańcząca Pani czuwa nad twą ścieżką, moja droga - drowka wypowiedziała słowa błogosławieństwa na pożegnanie, po czym każdy ruszył w swoją stronę. Krun'hia i Faerl skierowali się ku wejściu do Berkeep, natomiast Thalianna podążyła przed siebie, krocząc pewnie w powoli znikającym mroku, który ustąpił jasnemu wschodowi słońca.

Otworzyła gwałtownie oczy. Nadal siedziała na wzniesieniu, podczas gdy jej myśli wędrowały ku wydarzeniom z kilku ostatnich miesięcy, wliczając w to czas, który spędziła w niewoli oraz niedawne pożegnanie, słońce zdążyło już rozpocząć swą odwieczną wędrówkę po niebie.

Zaciskając mocno powieki, pozwoliła sobie przeżyć jeszcze raz te wszystkie długie dni spędzone u hobgoblinów,

gdy jedynym jej pragnieniem była szybka śmierć. Wróciły do niej wizje czynów, które popełniła, gdy żądza mordy i nienawiść przysłaniały jej zdrowy osąd i racjonalne myślenie. Czas, kiedy przestała być sobą, wyparcie uczuć oraz zdarzenia, które przeżyła, odcisnęły na niej głębokie piętno, które uniemożliwiało jej powrót do dawnego życia.

Wszystkie uczucia, dobre i złe, przelewały się przez nią nagłą, gwałtowną i wzburzoną falą, jednak już nie czyniły kobiecie żadnej szkody. Ostatnim obrazem w jej myślach był widok dwóch drobnych istot - drowki i kobolda, jej przyjaciół, oraz wesołego elfa Feyna, spoglądającego na nią zza kontuaru karczmy. Poczowała, jak spod jednej z zamkniętych powiek stacza się pojedyncza łza. Grzbietem dłoni szybko ją wytarła, otworzyła oczy i podniosła się, prostując zdrętwiałe mięśnie. Otrzepała z kurzu nową tunikę, złapała leżący obok plecak oraz resztę ekwipunku i początkowo niepewnym krokiem skierowała się w stronę traktu prowadzącego na Północ. Z każdym jardem w jej krokach pojawiała się coraz więcej pewności. Teraz jej celem było dotarcie do Doliny Harshdell i podjęcie decyzji, co ma dalej począć ze swym życiem.

Jesień zbliżała się ku końcowi, toteż elfka wybrała ostatni dobry moment na samotną podróż w dzikie ostępy. Jeśli nic nie zakłóci jej wędrówki i będzie utrzymywała stałe tempo, być może uda jej się dotrzeć do celu, nim zima rozgości się na dobre. Z uśmiechem na twarzy i iskierką nadziei w sercu rozpoczęła kolejną podróż.

Była gotowa ruszyć dalej. Wreszcie uwolniła się od demonów przeszłości.

5. U styku dróg

BYĆ MOŻE TO LOS lub przeznaczenie przyczyniły się do rozwoju wydarzeń w taki, a nie inny sposób. Może był to zwykły przypadek? A może to bogowie mieli swój udział w tej kwestii? Nazywaj to, jak chcesz, wędrowcze, choć to i tak niczego już nie zmieni. Wydarzenia zostały uruchomione i teraz toczą się dalej niczym potężna lawina pędząca w dół górskiego zbocza. Widocznie tak miało się stać.

Mogło się zdawać, że był to kolejny zwyczajny wieczór w spokojnym i niewielkim miasteczku Fallkrik, oddalonym od pozostałych dwóch miast Doliny Harshdell. Jesień zaczęła już ustępować miejsca zimie, wieczory były coraz mroźniejsze, a noc zapadała szybciej. Drzwi do niewielkiej karczmy otwierały się co chwila, wpuszczając do środka chłodne powietrze. Ludzie oraz pozostali mieszkańcy zaczęli się zbierać tłumnie w gospodzie noszącej wdzięczne miano Gwiżdżącej Szubienicy. Była to jedyna

karczma w odległym Fallkrik, dlatego też wiele twarzy dało się rozpoznać bez problemu, a nowi podróżnicy, którzy zawitali do miasteczka, byli jeszcze bardziej rozpoznawalni.

Jedne stoliki były okrągłe, a inne prostokątne. Przy nich stały drewniane ławy i krzesła, było miejsce dla grup, ale również samotni wędrowcy mogli znaleźć kątek dla siebie. Wewnątrz zaczynało robić się gwarно, karczmę wypełnił zapach tytoniowego dymu kłębiącego się białymi obłokami i lecącego aż pod sufit. Jedzono, pito, rozmawiano, a gdzieś na uboczu pod jedną ze ścian przy małym stoliczku siedział półelfi mężczyzna i pobrzękiwał na lutni spokojną melodię. Nie smutną czy melancholijną, ale dość radosną. Przed uśmiechniętym czarnowłosym bardem stał dzban wina i kielich, a co jakiś czas ktoś kładł pojedynczą monetę na blacie stołu. Półelf, nie przerywając grania nawet na chwilę, wpatrywał się w drzwi tawerny, uważnie lustrując każdego wchodzącego. Tego wieczoru wiele nowych twarzy zawitało do Fallkrik wraz z nadejściem zimy. Zupełnie jakby mroźne wiatry Północy stanowiły słodką obietnicę i przywiodły ich właśnie do tego miejsca.

Co chwilę ktoś wchodził do środka i zajmował wolne krzesło. Jednak półelfi bard zwrócił szczególną uwagę na czworo konkretnych podróżników. Zawitali oni w Gwiżdżącej Szubienicy osobno, jednak łączyło ich coś charakterystycznego, co zdawał się dostrzegać jedynie bard. Obserwując ich z ukosa, w końcu zakończył grę na lutni, chwycił swój dzban z winem oraz kielich i ruszył

w stronę stolika, przy którym siedział srebrzystowłosy półelfi wojownik.

Minęły dwie godziny, które bard – Grid Venris – spędził na rozmowie z wojownikiem. Był to Galandir Feidir. Bard nie musiał uciekać się do podstępów, by usłyszeć opowieść, zresztą nie chciał postępować w taki sposób. Półelfi wojownik był skłonny do podzielenia się swą historią z bardem i wyjawienia, dlaczego trafił do Doliny Harshdell. Grid posiadał niezwykłą cechę, którą była otwartość, i jego osobowość wzbudzała u innych poczucie zaufania. Być może właśnie dzięki temu poznał historię Galandira. Bard wyczuł w wojowniku zagubienie i zrozumiał, że półelf nie jest w stanie otrząsnąć się z wydarzeń z przeszłości i ruszyć dalej.

Pozostawiając Galandira przy stole, bard oznajmił, iż niebawem wróci do niego, gdyż sam zna historię, którą chciałby się podzielić. Po tym skierował się do następnej osoby – ludzkiej kobiety z burzą czarnych loków okalających głowę z kryształowo niebieskimi oczami.

Grid spędził kolejne dwie godziny na rozmowie z kobietą. Chociaż początkowo utrzymywała ona chłodny dystans, szybko przełamała barierę i również opowiedziała swą historię półelfiemu bardowi. Ową kobietą była Culchie Trevedic.

Postępując podobnie jeszcze dwa razy, wysłuchał zwierzeń i historii dwóch osób. Pierwszą z nich był młody

czarodziej Adi Cadan, który okazał się najbardziej otwarty ze wszystkich poznanych podróżników. Na końcu była elfia tropicielka - Thalianna z Lasu Asin Springs.

Gdy Grid Venris poznał już historie czworga przybyszy, którzy go tak zaintrygowali, uznał, iż spróbuje im pomóc i wskaże właściwą drogę. Doskonale rozumiał, przez co każde z nich przeszło i z jakimi konsekwencjami się mierzyli, gdyż jego życie również było dość wyboiste. Jednak jemu udało się odnaleźć sposób, by wyrwać się z okowów przeszłości i ruszyć dalej. Ponieważ widział nadzieję dla tych czworga i charakterystyczny błysk w ich oczach, postanowił podzielić się z nimi historią, która potem zmieniła wszystko...

Rozmówcy siedzieli przy jednym ze stolików. Grid Venris, Galandir Feidir, Culchie Trevedic, Adi Cadan oraz Thalianna z Lasu Asin Springs. Bard poprosił ich, by usiedli razem, jednak żadne z nich nie zamierzało rozpocząć rozmowy, więc milczeli. W końcu ciszę przerwał Grid, wyjaśniając wreszcie, po co się tu zebrali.

- Poprosiłem was, byśmy siedli razem, jednak zapewne zastanawiacie się dlaczego - rozpoczął. - Wy jeszcze się nie znacie, jednak ja miałem okazję poznać wasze historie. Łączy was jedna rzecz: w którymś momencie swego życia zostaliście zepchnięci na niewłaściwą dla was drogę lub coś skłoniło was do wejścia na nią. Ale również każde z was próbuje znaleźć sposób na uporanie się z tym i na ponowne

odzyskanie kontroli nad swoim życiem. Nie chcecie pustej egzystencji i ja to doskonale rozumiem.

- Wielu tu obecnych - kontynuował, wskazując nieznacznie na wszystkich w karczmie - ma za sobą niezbyt godną podziwu przeszłość. Jednak nie byli w stanie odnaleźć sposobu, by ruszyć dalej w swoim życiu i dlatego utknęli w Dolinie Harshdell. Nieważne, co się wydarzyło. Jeśli jest się odpowiednio zdeterminowanym, a nadzieja jest dostatecznie silna, można zmienić to, co wydaje się niemożliwe do zmiany.

- Ale co mamy uczynić, by znaleźć ten sposób? - Culchie Trevedic zadała pytanie, które nurtowało wszystkich czworga.

- Uwierzyć, że jest to możliwe, i nie poddawać się - odparł bard z uśmiechem. - Dla mnie podróż stała się lekiem na wewnętrzne demony. Pomogła mi lepiej zrozumieć siebie i odkryć wiele rzeczy, które są oczywiste, a których jednak nie dostrzegałem. Nie chodzi o to, by dotrzeć do celu, liczy się to, co osiągniemy podczas wędrówki, i lekcje, których się nauczymy. Myślę, że wam pomogłoby to samo, co kiedyś mnie.

- I sądzisz, że najlepszym wyjściem dla każdego z nas jest wyruszenie razem w jakąś podróż? - spytała wprost elfka, nie wiedząc, czy dobrze zrozumiała.

- Owszem - odparł Grid. - Być może nie widzicie w tym jeszcze zbyt wiele sensu, ale po jakimś czasie zrozumiecie, że podróż jest czymś więcej niż tylko wędrówką, przemieszczaniem się z miejsca na miejsce. Podróż jest

sposobem życia, to cel bez konkretnego celu. W podróży chodzi o to, by wędrować i nigdy nie przestawać, nie porzucić tego.

- Twoje słowa brzmią mądrze, Gridzie - uznał półelfi wojownik.

- Posłuchajcie, powiedziałbym, byście mi zaufali, ale doskonale zdaję sobie sprawę, że na to trzeba czasu. Dlatego proponuję wam, byście dali sobie szansę na poznanie się. Być może wtedy uznacie za stosowne, by w końcu gdzieś wyruszyć razem. Wspólnie przeżywane niebezpieczeństwa potrafią ujawnić prawdziwy charakter istoty, ale również zacieśniają więzy.

- Jeśli to jest szansa dla każdego z nas, to jestem gotów spróbować - odparł młody czarodziej.

- Gridzie, dałeś nam promyk nadziei, że jest jeszcze dla nas szansa na odnalezienie radości w życiu i właściwej drogi - dodała Thalianna. - Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

- Ja również jestem gotowa spróbować - rzekła Culchie.

- Właśnie tego szukałem od dawna - odrobiny radości z życia, więc kiedy pojawia się taka okazja, ja również pragnę spróbować - uznał Galandir. - Nie mamy niczego do stracenia, możemy jedynie zyskać.

- Zatem utworzyliście grupę, a drogi każdego z jej członków zbiegły się właśnie w Gwiżdżącej Szubienicy. Wasze zdrowie, towarzysze - podsumował bard, wznosząc kielich z trunkiem i uśmiechając się, widząc ożywienie rozmówców.

Być może nowi towarzysze nie zdawali sobie jeszcze sprawy z tego, iż lawina wydarzeń i ich konsekwencji ruszyła, jednak Grid Venris czuł w głębi duszy, że to nie jest pierwsze i ostatnie spotkanie z tą niezwykłą grupą. Przeczuwał, iż nadchodzące miesiące przyniosą dużo zmian, które wniosą wiele radości w ich egzystencję. W końcu odnaleźli cel, który pokieruje ich dalej. Nie byli już sami.

6. Czym jest zaufanie?

MINĘŁY TRZY TYGODNIE od dnia, gdy każde z nich przybyło do Doliny Harshdell. Trzy tygodnie, które były dostatecznie długim czasem, by mogli poznać się lepiej. Już nie byli sobie zupełnie obcy i pełni podejrzeń, choć oczywiście po tak krótkim okresie znajomości nie można mówić o bezgranicznym zaufaniu pomiędzy czworgiem towarzyszy. Piątką, jeśli wliczyć w to barda Grida, który często z nimi przebywał.

W ostatnich dniach pojawiły się pogłoski, które szybko rozeszły się po niewielkim miasteczku. Wystarczyło zajrzeć do Gwiżdżącej Szubienicy, jedynej karczmy w okolicy, gdyż właśnie tam wieści miały swój początek.

Cała grupa siedziała w tawernie i wszyscy przysłuchiwali się, jak jeden z mężczyzn opowiada drugiemu, co głoszą pogłoski. Ludzie nie kryli się z tym, zwyczajnie rozmawiali o problemach, które ostatnio pojawiły się na trakcie prowadzącym do trzech miasteczek w Dolinie, nie wykazując przy tym nawet najmniejszego

zmartwienia czy zaniepokojenia. To właśnie owe problemy – napadnięte lub zaginione karawany, wyczekiwani podróżnicy znikający z traktu wiodącego do Doliny Harshdell – wzbudziły powszechne poruszenie.

- Nadal nie rozumiem, o co tyle hałasu – rzekła w końcu Culchie, gdy siedzieli przy jednym ze stolików. – To chyba nie jest nic nadzwyczajnego, że karawany są napadane, a podróżnicy giną. To jest Dolina Harshdell. Północ nie jest bezpiecznym miejscem i każdy doskonale o tym wie.

- Oczywiście, częściowo masz rację – odparł Grid. – Jednak zazwyczaj nie dzieje się to tak często. Rozbójnicy grasujący w okolicy na ogół nie pozostają zbyt długo w jednym miejscu. Chociaż, jak widać, bywają wyjątki. Albo są bardzo sprytni, albo niesamowicie głupi. W każdym razie jest to dość intrygująca sprawa.

Część towarzyszy spojrzała na niego z minami, które wyraźnie wskazywały, iż nie widzą w tym niczego intrygującego. Jednak obie kobiety, Thalianna z Lasu Asin Springs oraz Culchie Trevedic, zdawały się wykazywać większy entuzjazm niż mężczyźni. Grid, dostrzegając mieszane reakcje rozmówców, westchnął ciężko i odezwał się ponownie, lecz tym razem w jego głosie pobrzmiwała odrobina rozdrażnienia i srogości.

- Może byście się wybrali w tamte okolice i sprawdzili, co się tam dzieje? Chyba nikomu nie zaszkodzi, jeśli trochę się rozejrzycie. Siedzicie tutaj już trzy tygodnie. Nie sądzicie, że najwyższy czas ruszyć gdzieś tyłki? Ale oczywiście nie ma sprawy, jeśli chcecie, możecie tutaj

siedzieć i nic nie robić przez kilka następnych lat. Wasz wybór.

- On ma rację - mruknęła Culchie do pozostałych. - Nie po to tutaj przybyłam i nie zamierzam dalej tracić czasu.

- Początek dobry, jak każdy inny. Nie ma co wydziwiać, w końcu idziemy tylko zbadać okolicę - dorzuciła Thalianna. - Adi? Galandirze? Zamierzacie coś powiedzieć w tej sprawie?

- Ach, droga Thalianno, tylko spójrz na ich twarze. Ich spojrzenia mówią same za siebie. Oczywiście, że z przyjemnością ruszą z wami, nieprawdaż, panowie? - Bard wiedział, że musi ich trochę popchnąć. Bez jego zachęty nie ruszą się z miasteczka.

- Mhm, pewnie - odparli obaj dość obojętnie.

- No, w takim razie nie ma co zwlekać - podsumował bard, ochoczo zacierając ręce. - Zbierzcie swój ekwipunek i rzeczy potrzebne na drogę, a potem możecie ruszać. Jest jeszcze wczesna pora. Tymczasem ja muszę załatwić kilka spraw, więc zostawiam was samych. Jak będziecie mieli już opuszczać Fallkrik, to zajrzyjcie do mnie przed podróżą.

Grid podniósł się ze swego drewnianego krzesła i oddalił w stronę drzwi gospody.

Krótką chwilę po tym, jak bard się oddalił, czworo towarzyszy również wyszło na zewnątrz, gdzie przywitał ich mroźny późny poranek. Każdy z nich przybył do Fallkrik w pierwszych tygodniach zimy. Do tej pory pogoda zdążyła

się pogorszyć jeszcze bardziej. Każdy poranek był srogi, chłód przenikał aż do kości, a lodowaty wiatr smagający ich twarze i bezustannie szarpiący ubrania wcale nie czynił pogody łagodniejszą i bardziej znośną. Gruba warstwa białego puchu zdążyła już pokryć całą okolicę i zmrozić ziemię. Zimy w Dolinie Harshdell były mroźne i niebezpieczne.

Dwóch mężczyzn i obie kobiety zebrali ekwipunek, którego nie mieli zbyt wiele. Zaopatrzyli się w grube płaszcze i ubrania, które częściowo chroniły ich przed nieprzyjazną pogodą. Zakupili również zapakowane i porcjowane racje żywnościowe, które miały im wystarczyć na czas podróży, oraz uznali za rozsądne, by wziąć ze sobą trochę drewna na ognisko. W tundrze, zwłaszcza zimową porą, znalezienie opału na ognisko graniczyło niemalże z cudem, a ogień pozwalał ogrzać się i nie zamarznąć podczas lodowatych nocy. W takiej sytuacji dodatkowy ciężar, który musieli dźwigać ze sobą, nie był kwestią sporną. Jednogłośnie zgodzili się, że jest to niezbędne zaopatrzenie na podróż.

Kiedy już upewnili się, że mają wszystko, co może im się przydać, skierowali się w kierunku domu półelfiego barda. Napotkali Grida po drodze, co zaoszczędziło im odrobinę czasu, który musieliby przeznaczyć na poszukiwanie mężczyzny.

- Oho, widzę, że już jesteście gotowi - rzekł. - To dobrze, dobrze. Chciałem się z wami pożegnać, nim

wyruszyście. Uważajcie na siebie. I liczę na jakieś ciekawe opowieści, kiedy już wrócicie!

- Dzięki. No to do zobaczenia wkrótce - odparł Adi, uśmiechając się przelotnie.

Ruszyli w stronę bramy w palisadzie otaczającej miasteczko, pozostawiając w tyle barda, a chwilę potem opuścili Fallkrik i powoli zmierzali w stronę głównego traktu.

Opuszczenie Fallkrik i dotarcie do głównego traktu, wiodącego z Doliny Harshdell ku Wybrzeżom Baymor, zajęło im cztery dni. W tym czasie nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Droga była dość monotonna, a kiedy pozostawili w oddali trzy miasta, byli zmuszeni do rozbijania obozowiska niedaleko szlaku. Otoczeni pustkowiami z każdej strony i tak byliby widoczni, nawet gdyby oddalili się od gościńca.

Większość czasu wiał kąsający, porywisty wiatr. Czasem niebo zasnuwały ciężkie, ciemne chmury, z których spadało na wędrowców jeszcze więcej białego puchu, a ten dostawał się za kołnierze, topił i nieprzyjemnie chłodził ich już i tak zmarznięte ciała. Ale były i takie chwile, kiedy na czystym, błękitnym niebie pojawiała się jasne słońce, którego promienie odbijały się od śniegu, rażąc ich i zmuszając do ciągłego mrużenia oczu.

Nie zważając na pogodę, wciąż parli naprzód. Pod koniec czwartego dnia wędrowki tundra i puste białe

połacie zmarzniętej ziemi zaczęły się zmieniać. Teren stawał się bardziej wyboisty i górzysty. W oddali majaczyły wzgórza, a kilka mil od nich z podłoża wystrzeliwały góry, w których na pewno znaleźliby wiele jaskiń odpowiednich na nocleg. Jednak ponieważ w zimowym sezonie noc zapadała bardzo szybko, niebawem ciemności miały pochłonąć całą okolicę, a żadne z nich nie uważało, że wędrowanie nocą pośród górskich ostępów i szukanie ostoi jest dobrym posunięciem.

Podróżnicy oddalili się o kilkaset stóp od traktu i zaczęli rozbijać obozowisko, tak jak to czynili już wielokrotnie, licząc, że zdążą nim nastanie zupełna noc. Ponieważ za dnia niebo było czyste i słoneczne, teraz mogli podziwiać pomarańczowozłoty zachód słońca, nieustannie zmieniający kolory i powolnie ustępujący księżycowi, wspinającemu się wysoko na ciemne niebo, które z każdą chwilą było coraz bardziej roziskrzane małymi, jasnymi gwiazdami.

Kiedy ogień już wesoło trzaskał, a czerwone jęzory leniwie lizały szczapy drewna, wędrowcy przygotowali posłania z grubych koców i skór, które ułożyli blisko paleniska, i sami usadowili się tuż obok niego, ogrzewając zmarznięte dłonie. Przegryźli trochę suchego prowiantu, który ze sobą zabrali, i kiedy mieli ustalić, kto pierwszy obejmie wartę, by reszta mogła odpocząć, Culchie podniosła się z posłania, chwytając swój plecak i górując nad towarzyszami. Płomienie ognia odbijały się w jej kryształowo niebieskich oczach, które teraz zdawały się

wyjątkowo ciemne. Lewą rękę oparła na głowicy krótkiego miecza i rzuciła cicho:

- Idę rozejrzeć się po okolicy. Wrócę, nim noc stanie się jeszcze czarniejsza.

- Ale przecież jest ciemno - odparł Adi, nie bardzo rozumiejąc ludzką towarzyszkę. - Nawet nie zdołasz niczego dostrzec.

- Lata spędzone w gildii zabójców i złodziei odciskają piętno na człowieku, ale i pozostawiają pewne zdobyte tam umiejętności. Poradzę sobie, czarodzieju - odparła Culchie, przyczepiła kuszę do plecaka, a następnie się oddaliła.

Po kilkunastu krokach kobieta opuściła krąg światła, którego źródłem było ognisko, i zniknęła w gęstniejących ciemnościach. Tak jak powiedziała Adiemu, całkiem nieźle potrafiła sobie radzić w ciemnościach. Przez lata życia w Bractwie wyostrzyła każdy swój zmysł, toteż nie musiała już polegać jedynie na tym, co dostrzegały jej oczy. Przyciszone głosy towarzyszy w końcu umilkły, a ona skierowała swe kroki w stronę odległych o kilka mil gór, które dostrzegli w ciągu dnia. Dłonie oparła na rękojeściach przypiętych do pasa miecza i sztyletu. Nie wyjmowała jeszcze broni, obawiając się, że nikłe światło księżyca w kształcie sierpa może odbić się od klingi i zdradzić jej obecność potencjalnemu napastnikowi. Stąpała ostrożnie, cichutko przemieszczając się cały czas naprzód, ku góróm. Wyczulony słuch nie zarejestrował żadnych niepokojących odgłosów, toteż nie przerywała swej wędrówki. Pomimo starań, by zachować niezmaconą ciszę, śnieg co jakiś czas

zaskrzypiał pod jej obutą stopą. Wtedy zatrzymywała się z grymasem niezadowolenia malującym się na jej dość jasnej twarzy i nasłuchiwała przez jakiś czas.

Gdy była coraz bliżej górskiego terenu, wyczuła znaczną zmianę pod swoimi nogami. W pewnym momencie jej wyczulone zmysły wychwyciły coś niepokojącego w okolicy. Już wtedy Culchie wiedziała, że coś jest nie tak. Mięśnie gwałtownie spięły się w całym ciele, jakby przygotowywała się do skoku. I wtedy usłyszała ciche skrzypnięcie śniegu tuż za swoimi plecami. Kiedy zaczęła się odwracać, ciężka drewniana pałka uderzyła ją prosto w głowę, powalając kobietę na ziemię. Nim upadła na zmarzniętą glebę gdzieniegdzie poprzetykaną ostro zakończonymi kamieniami, była zupełnie nieruchoma, być może jedynie pozbawiona przytomności, a być może martwa. Bez względu na to, nie mogła poczuć kilku mocnych kopniaków wymierzonych w żebra i brzuch.

- Dlaczego ona jeszcze nie wróciła? - mruknął Galandir, który akurat pełnił wartę.

- Może niedługo wróci. Albo zgubiła drogę do obozowiska? - zasugerował czarodziej, który również nie spał.

Jedynie elfia tropicielka, skulona na swym kocu, zapadła w sen i nie była świadoma zmartwień towarzyszy. Półelf zerknął na śpiącą kobietę; na jej twarzy malował się spokój. Pomarańczowy blask ognia nadawał ciepłą barwę

jej skórze, która tak wyraźnie kontrastowała z czarnymi włosami i długimi, ciemnymi rzęsami. Również ostre rysy jej twarzy złagodniały, gdy była pogrążona we śnie.

„Kto by pomyślał, że istota wyglądająca tak łagodnie może być równie śmiertelna?” – pomyślał półelfi mężczyzna, jednak ciche sapnięcie jego towarzysza uzmysłowiło mu, że wypowiedział to na głos, a nie w myślach, jak sądził jeszcze przed chwilą.

Przez moment szare, chłodne oczy półelfa toczyły bezgłośny pojedynek z łagodnym spojrzeniem orzechowych, zaokrąglonych oczu czarodzieja. Chłopak uniósł kąciki ust w uśmiechu i rzucił cicho:

– Idź spać, Galandirze. Jesteś zmęczony, teraz ja trochę postróżuję. Może Culchie wróci niebawem.

Półelf jedynie mruknął i ułożył się na grubym pościeliu, odwracając się plecami do ognia i ludzkiego chłopaka. Młodzieniec miał rację, kilkudniowa wędrówka w trudnym terenie dała im się we znaki.

Natomiast Adi Cadan siedział przy niewielkim ogniu, nasłuchując i niecierpliwie wypatrując powrotu ich towarzyszek. Zaczynał się naprawdę martwić jej przedłużającą się nieobecnością. Coś było nie tak.

Kiedy nastał blady poranek, a wszyscy już byli przebudzeni oraz gotowi do zebrania rzeczy i ruszenia dalej, Culchie wciąż nie było w obozowisku. Teraz już wszyscy troje wiedzieli, że coś musiało się przydarzyć kobiecie; coś, co

powstrzymało ją przed powrotem. Szybko spakowali ekwipunek i zerknęli na wyraźne ślady, które wczorajszej nocy zostawiła Culchie, ruszając w stronę gór i oddalając się od traktu. Ciężko było ukryć ślady stóp odcisnięte w śniegu, toteż Thalianna mogła bez najmniejszego problemu podążać za nimi.

Szybko ruszyli pozostawionym tropem, krocząc tą samą drogą co ich ludzka towarzyszka. Po jakimś czasie dotarli do miejsca, które wyglądało, jakby rozegrała się tam niewielka szarpanina oraz dostrzegli więcej odcisków stóp. Elfka oceniła, iż były to ślady czterech osób.

- Zapewne mężczyźni, sądząc po głębokości tych śladów - rzuciła, wyjaśniając czarodziejowi i półelfowi swoje podejrzenia.

- Najwidoczniej ktoś musiał ją zaskoczyć, tak że nawet nie miała szansy, by się obronić - domyślał się Adi.

- O tam, spójrzcie - Thali wskazała wygniecione miejsce w śniegu. - Zdaje się, że ktoś próbował ją ciągnąć. Prawdopodobnie była nieprzytomna, bo ślady nie wskazują na jakąkolwiek walkę. Potem już ją nieśli. Trop idzie w kierunku gór. Zapewne tam przesiadują.

- No to ruszajmy, nie ma co zwlekać. Culchie może być w sporych kłopotach. Albo może już nie żyć... - powiedział Galandir grobowym głosem, pospieszając resztę.

Ocknęła się i szybko zamrugowała, by pozbyć się otępienia, które ją ogarnęło. Leżała na boku, policzkiem dotykając

zimnego, chropowatego kamienia, z którego była zrobiona podłoga. Po chwili uświadomiła sobie, iż jest to najzwyczajniejsze skalne podłoże, a ona znajduje się w jakiejś grocie. Ręce miała skrępowane z tyłu, ale po kilkunastu minutach prób udało jej się wyswobodzić z więzów. Ostrożnie siadła, a gdy zakreśliło jej się w głowie i nagle pociemniało przed oczami oparła się plecami o skałę.

Sięgnęła ręką do głowy, którą wciąż miała obolałą i pod zdrętwiałymi palcami poczuła loki posklejane zaskrzepniętą krwią, która również spłynęła na czoło i policzek. Ten ruch sprawił, że mięśnie naciągnęły się i zapierający dech w piersiach ból przeszył prawy bok kobiety. Unosząc tunikę, dostrzegła na ciele sine plamy, a gdy dotknęła delikatnie żeber, nagła fala bólu sprawiła, że wciągnęła powietrze z sykiem. Nadgarstki miała mocno obdarte i zakrwawione, a policzek, na którym leżała, został dotkliwie odrapany przez szorstką skałę, na którą ją rzucono.

Siedząc i rozmasowując przeguby, rozejrzała się dokładniej po pomieszczeniu, w którym ją zamknięto. Grota była dość szeroka i wysoka, wyglądała bardziej na twór naturalny niż dzieło czyichś rąk. Wewnątrz panowały nieprzyjemna wilgoć oraz chłód. Kobieta mogła bez problemu dostrzec obłoki pary wydobywające się przy każdym wydechu. Półmrok był ledwo rozświetlany przez pochodnię wiszącą przed wejściem do jaskini.

Szukając wzrokiem swych ubrań lub chociaż części ekwipunku, uznała ze smutkiem, iż wszystko zostało jej

odebrane. Nie miała nawet butów na nogach, czuła, jak przenikliwy chłód mrozi jej bose stopy. Wrzucono ją obitą do tej celi, pozostawiając na niej jedynie czarne spodnie oraz cienką, czerwoną tunikę, porwaną w wielu miejscach.

Kiedy czuła się już odrobinę lepiej i przestało jej się kręcić w głowie, z cichym stęknieniem podniosła się i bezszelestnie podeszła do pordzewiałych kratowanych drzwi. Nie dostrzegła przy nich nikogo, nawet nie usłyszała żadnych dźwięków. Zdawało się, jakby była sama. Kiedy stała przy kracie, zauważyła coś, czego nie była w stanie dostrzec z oddali w panującym półmroku. Pordzewiałe wejście było niedomknięte. Przez krótką chwilę w jej głowie krążyła myśl, że jest to pułapka i jeśli wyjdzie, to ponownie zostanie obita i zaciągnięta do tej celi. Jednak gdy się upewniła, że w pobliżu nie ma żywej duszy, doszła do wniosku, że lepsze to niż bezczynne siedzenie w grocie i czekanie, aż zbóje po nią przyjdą.

Delikatnie popchnęła kratę, która zaskrzypiała pod naciskiem. Nikt się nie pojawił. Wyszła na korytarz, stając przed swoją celą i rozejrzała się w obie strony.

Podążając tropem napastników, którzy uprowadzili Culchie, podróżnicy dotarli do skalnej wnęki – tak jak przypuszczała tropicielka, nim jeszcze zaczęli wspinać się ścieżką nieustannie pnącą się coraz wyżej i wyżej. Ostatnie dwadzieścia minut spędzili na przeszukiwaniu płytkiej jaskini. Ślady wyraźnie wskazywały, że poszukiwani właśnie

tutaj dotarli, jednak żaden z towarzyszy nie był w stanie znaleźć wejścia prowadzącego dalej. Było dla nich już oczywiste, że musi to być kryjówka bandytów – prawdopodobnie tych, którzy sprawiali tyle kłopotów w Dolinie.

- Posłuchajcie, to na nic – rzuciła w końcu Thalianna, gdy wciąż nie była w stanie znaleźć żadnego wejścia. Zostało ono doskonale ukryte. - Nie ma sensu tutaj siedzieć. W końcu ci bandyci też muszą wychodzić. Może zejdziemy z gór i wrócimy w pobliże obozowiska. Albo zatrzymamy się gdzieś w połowie drogi i tam poczekamy, aż któryś ze zbójów wyjdzie.

- Ale... A co jeśli Culchie jest ranna i potrzebuje pomocy? Nie możemy tak siedzieć! – czarodziej zaprotestował ostro, zaciskając pięści w skórzanych rękawicach.

- Właśnie próbujemy jej pomóc, jeśli nie zauważyłeś do tej pory! Najpierw musimy znaleźć jakiś sposób, żeby dostać się do środka ich kryjówki – odwarknęła elfka głosem przepełnionym złością.

Kiedy ludzki chłopak rzucił szybkie spojrzenie na milczącego półelfa, a potem ponownie zmierzył wzrokiem tropicielkę, zapadła krótka cisza.

- Przepraszam, Adi – westchnęła w końcu, zerkając gdzieś w bok. - Po prostu jestem trochę zdenerwowana zniknięciem Culchie.

- Nie tylko ty się tym przejmujesz, w końcu podróżujemy razem – odparł młodzieniec twardym głosem.

- Ale to nie jest powód, żeby odreagowywać swoją złość na innych. Jak zamierzasz dalej tak warczeć, to idź pobiegać albo cokolwiek, co tam robią elfy, i wróć, kiedy już ochłoniesz.

- Adi! - syknął cicho Galandir, wyraźnie zaskoczony ostrymi słowami chłopaka.

- Nie, nie broń jej, Galandirze. Taka jest prawda. A jak i ty zamierzasz teraz warczeć z byle powodu, to równie dobrze możesz dołączyć do Thalianny, ale ja nie będę tego wysłuchiwał.

Po czym bez dalszych wyjaśnień Adi wymaszerował szybko z jaskini i ruszył drogą powrotną. Nie oglądał się za siebie, ale po chwili usłyszał, że pozostali dwoje podążają za nim w milczeniu.

Kobieta skierowała swe kroki w prawo. Korytarz biegł prosto, jednak tutaj nie było żadnych pochodni przypiętych do skalnych ścian. Jedynie słaba poświata dochodziła z łuczywa, które znajdowało się przy jej celi. Na szczęście to wystarczało, by rozeznąć się w terenie bez potykania się o własne nogi co drugi krok. Culchie wyczuła, że droga, którą podąża, cały czas stopniowo się obniża, a zatem prowadzi w głąb, a nie na powierzchnię. Jak się po chwili okazało, kobieta trafiła do piwniczki czy raczej spiżarni. Był to ślepy korytarz, a po drodze nie napotkała żadnych odnóg. Nie dostrzegła też nikogo podczas swej wędrówki; ciągle panowała otępiająca cisza. Co jakiś czas dało się

dosłyszeć nagły trzask ognia z pochodni wiszącej przy wejściu do spiżarni, co sprawiało, że puls gwałtownie przyspieszał, a mięśnie instynktownie się spinały.

Beczki stojące w pomieszczeniu pełnym kurzu i brudu wypełnione były resztkami zapasów jedzenia, które tutaj przechowywano. Dało się tam znaleźć nadpleśniały ser, stwardniały chleb, który skutecznie sprawowałby rolę broni ogłuszającej, a w skrzynkach znajdowały się puste butelki lub wypełnione skwaśniałym, cuchnącym winem. Zapewne próba zjedzenia którejś z tych rzeczy skończyłaby się nagłym buntem żołądka. Culchie westchnęła lekko i pociągnęła nosem. Ręce i nogi miała zziębnięte, była poobijana i na dodatek głodna. Nie miała w ustach jedzenia od zeszłego wieczoru. Chociaż teraz nie była już nawet pewna, ile czasu spędziła z dala od swych towarzyszy. Równie dobrze mogła być nieprzytomna zaledwie przez kilka godzin, jak i cały dzień.

Podreptała z powrotem, stąpając ostrożnie po kamiennej drodze, dotarła do groty, do której ją wrzucono, a następnie minęła ją i ruszyła korytarzem lekko prowadzącym pod górę. Droga była kręta, raz prowadziła w lewo, a zaraz skręcała ostro w prawo, jednak cały czas był to jeden korytarz, bez żadnych odnóg. Tutaj pochodnie były częściej porozwieszane, skutecznie rozpraszając półmrok. Gdzieś na korytarzu leżały odłamki skał, które kaleczyły bosc stopy kobiety, utrudniając jej wędrówkę.

Słyszając niosące się echem odgłosy rozmowy, złapała z ziemi dwa ostro obłupane kamienie, idealnie mieszczące się w jej dłoniach. Uznawszy, iż lepsza taka broń niż żadna, zaczęła ostrożnie skradać się w stronę dobiegających głosów. Moment później dotarła do miejsca, w którym tunel kończył się i otwierał na średniego rozmiaru pomieszczenie. Wielkością było porównywalne do jej celi.

W skalnej komnacie dostrzegła dwóch mężczyzn siedzących przy niewielkim, improwizowanym stoliku zrobionym z beczki i kawałka drewnianej płyty, służącego za blat. Wyglądając zza rogu, mogła dostrzec, jak ludzie leniwie toczą rozmowę, co jakiś czas się śmiejąc. Grali w kości i popijali trunek stojący w dzbanku obok. Zupełnie nie zważali na otoczenie, byli tacy beztroscy; nie spodziewali się, że ktoś może czaić się przy wejściu do sali.

Culchie mocniej ścisnęła kamienie, czując, jak ostre i chropowate krawędzie wbijają jej się w skórę. Tuż obok beczki dostrzegła swój plecak i porozrzucany ekwipunek, w tym resztę ubrań oraz buty, na które zerknęła tęsknie. Ponieważ od lat korzystała z kuszy, jej celność była godna podziwu, jednak miała pewne wątpliwości, czy rzut kamieniem będzie równie celny i skuteczny jak bełt. Nie zwlekając dłużej, wymierzyła jeden z kamieni w mężczyznę po lewej stronie stolika i cisnęła nim. Pocisk ugodził człowieka w głowę, natychmiast powalając go bezwładnego na ziemię. W tym czasie drugi zbiorczy się już podnieść, zaalarmowany o czyhającym niebezpieczeństwie. Nim zdołał odejść od stołu, kolejny kamień wyleciał z ręki

kobiety i trafił bandytę w bok głowy. Na jego szczęście obłupany pocisk o ostrych krawędziach jedynie zahaczył o głowę, otwierając ranę, z której zaczęła sączyć się ciepła krew. Mężczyzna zachwiał się i podparł ręką o blat stolika. W tym czasie Culchie, dostrzegając swoją szansę, wychynęła zza rogu i ze stłumionym jęknięciem rzuciła się w stronę oszołomionego przeciwnika. Gdy dotarła do niego, wymierzyła cios pięścią i ugodziła go w skroń, co sprawiło, że mężczyzna padł na ziemię całkowicie pozbawiony przytomności.

Zalała ją fala bólu spowodowana gwałtownymi ruchami. Opadła na podłogę tuż obok nieruchomego zbója, próbując powstrzymać nadchodzące mdłości. Obity i posiniaczony bok skutecznie o sobie przypominał. Biorąc płytkie wdechy, poczekala jeszcze chwilę, aż zawroty głowy i mdłości miną.

- Po prostu świetnie - mruknęła pod nosem, ostrożnie podnosząc się i klnąc.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła, było związanie i zakneblowanie powalonych bandytów. Ponieważ w pobliżu nie było liny czy sznurów, porwała należące do nich płaszcze i użyła ich jako sznurka. Gdy skończyła, sprawdziła swój ekwipunek. Okazało się, że niczego nie brakowało, a nawet jej broń leżała tuż obok. Z wdzięcznością wciągnęła skórzane buty z długimi cholewkami na poranione stopy i okryła się ciepłymi ubraniami. Przypięła miecz i sztylet do pasa oraz załadowała kuszę, uznając, iż użycie jej wymaga mniejszego wysiłku niż walka mieczem.

Nieco pocieszona tym, że odzyskała swoje rzeczy, również broń, przeszła przez salę i ruszyła dalej korytarzem. Tym razem w kilku miejscach minęła rozwidlenia, jednak boczne tunele były słabiej oświetlone i mniejsze, toteż kontynuowała wędrówkę pod górę głównym korytarzem. Szła dalej, a kolejne minuty upływały, aż nagle cisza została przerwana po raz wtóry.

Kobieta usłyszała zbliżające się głosy, które dochodziły z rozwidlenia przed nią. Szybko rozejrzała się wkoło. W miejscu, gdzie stała, główny korytarz miał dwie odnogi, w lewo i prawo. Oba tunele były niezbyt szerokie i słabo oświetlone. Po odgłosach oszacowała, iż zbliżająca się grupa może liczyć czterech lub sześciu mężczyzn. Doskonale wiedziała, że przegrałaby walkę z nimi. Po chwili wahania w końcu rzuciła się w stronę lewego korytarza, mając nadzieję, że przeciwnicy pójdą dalej. Owinęła się szczelniej ciężkim, ciemnogrnatowym płaszczem i wycofała w głąb korytarza aż do miejsca, gdzie panował półmrok. Przywarła plecami do ściany i nasłuchiwała odgłosów, które zdążyły się już znacznie przybliżyć. Kolejne sekundy ciągnęły się nieznośnie niczym długie godziny.

Grupa bandytów minęła odnogę, w której skryła się kobieta, i niczego nie podejrzewając, oddaliła się. Tupot obutych stóp oraz odgłosy rozmów w końcu ucichły. Kiedy Culchie upewniła się, że droga jest wolna, ruszyła dalej. Przez następne kilkanaście, a może i kilkadziesiąt minut snuła się ścieżką wiodącą lekko pod górę. Zupełnie straciła poczucie czasu. Zmęczenie, głód oraz rany nieustannie

dawały o sobie znać. Jednak choć była osłabiona, wiedziała, że nie może teraz się poddać. Zamierzała wydostać się z tego przeklętego miejsca, w które ją zaciągnięto.

Korytarz nagle się kończył i przechodził w wielką komnatę. Przyglądając się temu, Culchie uznała, że na pewno jest to twór naturalny, ale czyjeś ręce dzierzące kilof również miały swój udział w ukształtowaniu kryjówki. Kobieta wciąż stała w tunelu, nasłuchując i dokładnie obserwując pomieszczenie, które miała tuż przed sobą. Jej zmęczone spojrzenie przykuły kratowane drzwi znajdujące się po drugiej stronie wysokiej sali. Dzieliła ją od nich odległość zaledwie piętnastu jardów. Komnata zdawała się zupełnie pusta, cicha. Nie zastanawiając się dłużej, Culchie ruszyła najszybciej, jak mogła, podążając prosto do wrót, które do złudzenia przypominały skalną ścianę.

Gdy była już w połowie pomieszczenia, usłyszała za sobą wrzask niosący się echem w każdą stronę. Ku jej zaskoczeniu był to kobiecy krzyk pełen strachu i niepokoju, a kiedy zwróciła się twarzą w stronę korytarza, zobaczyła, jak po chwili do sali wpada kobieta, a tuż za nią jeden z bandytów z mieczem w dłoni. Młoda dziewczyna w prostych, podartych i ubrudzonych ubraniach wyraźnie kierowała się w stronę czarnowłosej kobiety z kuszą w rękach. Jednak nim zdążyła do niej dobiec, mężczyzna pochwycił dziewczynę od tyłu, a jej próby uwolnienia się i szarpanie nie odnosiły żadnego skutku.

Dopiero wtedy zbój, warcząc gniewnie, dostrzegł Culchie, która cały czas przesuwiała się do tyłu, krok za krokiem. Uniosła załadowaną wcześniej kuszę, wycelowała i bez namysłu naciskając spust, uwolniła belt, który ze świstem pofrunął w stronę mężczyzny. Pocisk ugodził go w rękę, w której dzierżył ostrze. Broń z brzdękiem uderzyła o podłogę, a człowiek chwycił się za wystający z rany belt, jednocześnie drąc się głośno. Młoda dziewczyna, korzystając z okazji, wyszarpnęła się z poluzowanego uścisku napastnika i popędziła ku swej wybawicielce, rzucając do niej:

- Szybko! Znam drogę!

Złapała Culchie za rękę i pociągnęła ją w stronę drzwi, które po chwili otworzyła ze stęknieniem z wysiłku. Dziewczyna miała niemalże identyczne oczy jak Culchie, były równie kryształowo niebieskie, a proste włosy czarne jak krucze loki kuszniczki. Culchie była tak wyczerpana, że pozwoliła się bezwiednie prowadzić ścieżką biegnącą w dół. Młoda dziewczyna zdawała się nie zauważać złego stanu towarzyski, była zbyt zaaferowana i przejęta ucieczką.

Wojowniczką, osłabioną i wyczerpaną do granic możliwości, nie była już świadoma otoczenia wokół siebie. Rozmazane obrazy szybko przesuwały jej się przed oczami, palący ból w płucach był nieznośny, wręcz przeszywający i rozchodził się po całym ciele. Jej słuch zarejestrował jeszcze krzyki gdzieś za nimi - najwidoczniej bandyci opuścili swą kryjówkę i podążyli za kobietami, nie zamierzając tak łatwo wypuścić swych zdobyczy.

Świat nagle poczerniał jej przed oczami i zawirował. Nie miała już siły, by dalej się opierać przyciągającej ją ciemności, w tej chwili wszystko było jej zupełnie obojętne. Poddała się słabości i zemdlała. Przewracając się na śnieg, pociągnęła za sobą swą młodą towarzyszkę.

Siedzieli na pustkowiu otoczeni masą śniegu, co jakiś czas zerkając w stronę gór i ścieżki, która wcześniej zaprowadziła ich do kryjówki bandytów. Adi nagle zerwał się na równe nogi i wskazując palcem przed siebie, krzyknął:

- Thali, tam! To Culchie! Ucieka z kimś, a za nią biegnie trzech bandytów!

Ich towarzyszka wraz z drugą kobietą znajdowały się jakieś pięćdziesiąt jardów od nich. Czarodziej dostrzegł pościg akurat w momencie, gdy kobiety upadły na zmarzniętą ziemię pokrytą białym puchem. Trzej mężczyźni, którzy biegli za nimi, byli coraz bliżej uciekinierek.

- Thalianna! Strzelaj! - wrzasnął Adi.

Tropicielka błyskawicznie założyła strzałę na cięciwę, napięła łuk, wycelowwała i w momencie gdy wypuściła pocisk, usłyszała z boku głos Galandira.

- Jednego zostawcie dla mnie - syknął półelf, w mgnieniu oka dobył obu kling i rzucił się biegiem w stronę zbirów.

Kiedy strzała ze świstem wbiła się w cel, którym była pierś jednego z mężczyzn, czarodziej skończył rzucać czar. Ognisty pocisk ugodził drugiego człowieka, odrzucił go do tyłu o kilka stóp i wypalił dziurę w jego piersi. Po chwili kolejny pocisk magicznego ognia uderzył poparzonego przeciwnika i wcisnął go mocniej w zaspy śniegu, gdzie bandyta w agonii wił się z bólu.

Został już tylko jeden wróg. Adi i Thalianna przyglądali się z oddali, jak ich półelfi towarzysz dociera do obu kobiet w tym samym czasie co przeciwnik.

Galandir zręcznie odciągnął zbira od kobiet i zaczął wirować wokół niego, wymachując swymi ostrzami. Przeciwnik miał miecz, którym próbował się bronić, jednak nie był w stanie dorównać półelfowi, który z dziką, niebezpieczną gracją tańczył wokół niego. Ponieważ półelfi wojownik nie chciał zabić bandyty, uderzał w niego płazem mieczy, tak by osłabić człowieka i zmusić go do poddania się.

Pojedynek nie trwał zbyt długo, tempo narzucane przez Galandira okazało się stanowczo za szybkie i zbyt wyczerpujące dla ludzkiego zbója. Półelf, uderzając raz po razie płazem, warknął:

- Poddaj się!

Mężczyzna jeszcze chwilę stawiał opór, aż broń wyślizgnęła mu się z zakrwawionej dłoni, a on, dysząc ciężko, opadł na kolana i z trudem wysapał:

- Podda... poddam... się!

Półelf podskoczył lekko i wymierzył silnego kopniaka prosto w klatkę piersiową wroga. Siła ciosu odrzuciła człowieka do tyłu i bezwładnie wylądował na plecach na śniegu. Wojownik wytarł krew z kling i schował je, po czym chwycił nieprzytomnego przeciwnika za ubrania na grzbiecie i zaczął go ciągnąć w stronę leżących kobiet. Jego towarzysze również zmierzali ku nim. Gdy już stanęli razem, Galandir rzucił zakrwawionego zbira na zmarzniętą ziemię. Przez twarz półelfa przemknął pełen satysfakcji uśmiech.

Kobiety wciąż leżały na śniegu, ale tylko jedna się poruszała. Czarodziej podbiegł do nich wyraźnie zaniepokojony. Ich towarzyszka nie dawała najmniejszego znaku życia.

- Ona... Ona przewróciła się. Tak nagle - jęknęła młoda dziewczyna, siadając.

Chłopak zauważył bijące podobieństwo kobiet, choć szybko ocenił, iż dziewczyna jest o kilka lat młodsza od niego i Culchie. Mogła mieć około dwudziestu wiosen. Jej ciało pokrywały drobne, płytkie rany. Gdzieniegdzie widoczny był fioletowy siniec, jednak żadna z ran nie wyglądała na poważną. Trochę odpoczynku i sen na pewno przywrócić jej pełnię sił.

- Jak się nazywasz? - młodzieniec spytał dziewczynę.

- Kristall.

- Dobrze, Kristall. Posiedź tutaj chwilę, musimy najpierw zająć się nią - odparł Adi, wskazując na nieruchomą Culchie.

Chwilę później byli już nieco spokojniejsi, gdy sprawdzili stan swej towarzyszki. Kobieta tylko straciła przytomność, chociaż miała kilka poważnych ran. Thalianna szybko zajęła się tymi najbardziej krwawiącymi, oczyszczając je i tamując krwawienie. Nie była uzdrowicielką ani nawet zielarką, jej wiedza w zakresie opatrywania i leczenia ran była tak samo uboga jak pozostałych, jednak spróbowała pomóc kobiecie najlepiej, jak umiała. Gdy skończyła, rozejrzała się wkoło.

- Cholera - mruknęła. - Żaden ze mnie medyk, ale niektóre z jej ran wyglądają dość poważnie. Chyba powinniśmy wrócić do Fallkrik jak najszybciej. Będziemy musieli ją nieść przez jakiś czas, aż się ocknie i sama będzie mogła iść. A co z tym nieprzytomnym zbirem?

- Zapewne wie coś na temat kryjówki i ma inne przydatne informacje. Dostarczymy go strażnikom miejskim, a oni już zajmą się resztą. - Półelf wzruszył obojętnie ramionami. - Mogę go ciągnąć, aż się ocknie. Wtedy sam już będzie mógł iść.

- No dobrze - odparła tropicielka. - Adi, będziesz musiał jakoś nieść Culchie, aż odzyska przytomność, a ja pomogę Kristall.

- Nie, nie. Nie trzeba - zapewniła ich szybko dziewczyna. - Nic mi nie jest, dam radę sama iść. Lepiej zajmijcie się przyjaciółką, ona bardziej potrzebuje waszej pomocy.

- Kristall, jak się znalazłaś u tych bandytów? - spytał Galandir, spoglądając uważnie na dziewczynę.

- Podróżowałam ze Scabard do Freyhill w Dolinie, chciałam się tam osiedlić i rozpocząć jakieś godne życie, ale w drodze zostałam napadnięta przez tych zbójów. Dopiero teraz trafiła mi się szansa, żeby uciec. Przetrzymywali mnie od dłuższego czasu. Mogę wam jakoś pomóc. W czasie gdy mnie więzili, udało mi się trochę o nich dowiedzieć.

- Dobrze, odprowadzimy cię do Thornstead, tam powiesz straży wszystko, co wiesz o tych rabusiach i potem będziesz mogła ruszyć dalej do Freyhill. A teraz ruszajmy, nie powinniśmy zwlekać. Resztę omówimy w czasie drogi - zarządziła elfka.

Zebrali rzeczy i rozpoczęli powolną wędrówkę z powrotem do Doliny Harshdell. Zdawało się, iż uzyskali potrzebne informacje, ale jedno z nich - a mianowicie Culchie - dość dotkliwie przy tym ucierpiało.

Kolejne trzy dni zajęło im dotarcie do Thornstead, gdzie przekazali straży swego jeńca i zostawili Kristall. Kapitan straży wysłuchał ich i poinformował, że teraz strażnicy już się wszystkim zajmą.

Natomiast czworo towarzyszy pozostało w mieście przez kilka dni, pozwalając Culchie chociaż częściowo wyleczyć się z ran i odzyskać siły. W tym czasie dotarła do nich wieść, że oddział straży, który wyruszył do siedziby bandytów, powrócił z kilkoma jeńcami. Tym samym problem napadów na karawany i porwań podróżników został rozwiązany.

Teraz musieli tylko wrócić do Fallkrik, gdzie Grid zapewne czekał już na nich niecierpliwie.

Podróżnicy zrozumieli, jak bardzo ich relacje zmieniły się podczas tej podróży. Więzi przyjaźni stały się odrobinę mocniejsze. Niebezpieczeństwa wyprawy pokazały im, że mogą sobie ufać, gdyż pozostali, pomimo drobnych sprzeczek, są gotowi ruszyć na ratunek każdemu ze swych towarzyszy.

7. Droga w nieznane

ZALEDWIE TYDZIEŃ WCZEŚNIEJ WRÓCILI z wyprawy do bandyckiej kryjówki, gdzie Culchie odniosła ciężkie obrażenia. Dni, które spędziła na odpoczynku, nie zdołały jeszcze w pełni uleczyć jej zranionego i mocno obitego boku, choć reszta ran goiła się dość szybko.

Ich pierwsza wspólna podróż w znaczącym stopniu wpłynęła na łączące ich relacje. Zaczęli troszczyć się o siebie nawzajem oraz darzyć zaufaniem. Rzeczywiście, Grid Venris miał rację, twierdząc, że niebezpieczeństwa przeżywane razem potrafią stworzyć silne więzy między osobami. A teraz mieli niejasne wrażenie, że nie była to jedyna przygoda, w której narażali życie, gdyż półelfi bard poprosił ich, by spotkali się z nim w Gwiżdżącej Szubienicy. Wspomniiał coś o wieściach, którymi chce się podzielić z przyjaciółmi.

Siedzieli przy jednym ze stolików w karczemnej sali i rozmawiali, co jakiś czas zerkając na drzwi. W końcu doczekali się przybycia półelfa, który szybko do nich

dołączył, po drodze dając karczmarzowi jakiś znak ręką. Kiedy zajął wolne miejsce przy solidnym drewnianym stole, podeszła do nich młoda dziewczka karczemna, którą już widywali w tym miejscu, i bez słowa postawiła przed nimi dzban wina oraz połyskujące kielichy z metalu, po czym wróciła do innych obowiązków. Grid, rozlawszy trunek do kielichów, powoli zaczął tłumaczyć, zerkając na nich z uśmiechem.

- Dobrze, że jesteście - rzekł, spoglądając na Culchie, a następnie przenosząc swe spojrzenie na bok, który miała ranny. - Miałem z tym poczekać nieco dłużej, ale wieści są zbyt ekscytujące, bym mógł nadal milczeć.

- Jakie wieści? - podchwycił Adi, nachylając się nad stołem i opierając łokciami o blat.

- Otóż kilka dni temu dostałem list od pewnego znajomego - zaczął bard. - Sami rozumiecie, podczas swoich podróży poznałem różne osoby i czasem, jako przysługę lub gest zwykłej uprzejmości, przekazujemy sobie ciekawe nowiny. Ale do rzeczy. List zawiera informacje o magu z Orstlake, który jest pochłonięty badaniami na temat jakiegoś przedmiotu. Bard, który przesłał mi wieść, uznał, że być może wzbudzi to moje zainteresowanie. Zwłaszcza jeśli brać pod uwagę moje wcześniejsze źródła inspiracji.

- No dobrze, ale w jaki sposób to się wiąże z nami? Bo wciąż nie pojmuję, o co tutaj chodzi - odezwała się Culchie, jak zawsze z chłodnym rozsądkiem rozważając usłyszane słowa.

- W ciągu tych paru dni zdążyłem się już skontaktować ze wspomnianym magiem - wyjaśnił Grid rzeczowym tonem. - Nazywa się Sylvanoss i szuka kogoś, kto wyruszy po poszukiwany przez niego przedmiot i mu go dostarczy. Oczywiście płaci za wykonaną przysługę. Pomyślałem, że być może zaciekawi was takie zadanie. To jak? Chętni wysłuchać więcej szczegółów?

- No - mruknęła Culchie - teraz zaczynasz gadać z sensem.

- Myślę, że nie zaszkodzi, jeśli dowiemy się czegoś więcej - dodał Galandir i spojrzał na dwoje ludzi i elfkę, którzy zgodnie pokiwali głowami, zgadzając się z nim.

Grid sięgnął do jednej z kieszeni swej kamizelki, poszukał w niej chwilę, po czym wyjął lekko pognieciony pergamin. Rozprostował kawałek kartki na stole przed sobą i pochylił się nad zapisanym papierem. Dwa cienko zaplecione, czarne warkoczyki znajdujące się u podstawy jego czaszki zwisały teraz beztrósco i bujały się z przodu, przerzucone przez ramiona. Kiedy bard uniósł głowę z uśmiechem, jego oczy błysnęły, a towarzyszom - jak zawsze - ciężko było określić jednoznacznie, jakiego są koloru.

- Według informacji, które otrzymałem od Sylvanossa - rozpoczął półelf, splatając ze sobą dłonie i opierając je na pożółkłym pergaminie - chodzi mu o księgę. Jest nią zainteresowany ze względu na wiedzę, która jest w niej zawarta. Niestety nie chciał powiedzieć więcej na ten temat. Mag właściwie zdążył już zlokalizować jej położenie

i teraz jedynie chce, by ktoś mu ją dostarczył. Z jego badań wynika, że ta cała księga leży gdzieś w opuszczonych tunelach pod Wieżą Wieków...

- Co to, u licha, jest Wieża Wieków? - wtrąciła Culchie.

- To największa biblioteka istniejąca na naszym kontynencie - odparł błyskawicznie ludzki czarodziej. - Jakimś cudem wciąż istnieje i do tej pory nie została zniszczona ani ograbiona przez barbarzyńskie plemiona. Czasem to dobrze, że takie nieokrzeseane istoty uważają książki i zwoje za bezużyteczne przedmioty. Przynajmniej dzięki temu wciąż mamy z czego czerpać wiedzę. Gdyby nie koczownicze życie barbarzyńców, to pewnie użyliby tych ksiąg, żeby palić u siebie w kominkach.

- Owszem, masz całkowitą rację, Adi - rzucił Grid. - Natomiast jeśli chodzi o bibliotekę, to leży ona kilka mil na południe od Orstlake, więc wasza podróż nie będzie aż tak długa.

- Niby tak, ale nie zapominaj, że najpierw musimy dotrzeć do samego Orstlake - skwitowała Thalianna, odzywając się po raz pierwszy od dłuższego czasu. - Jest zima, a podróżowanie o tej porze roku nigdy nie jest zbyt przyjemne i lekkie.

- Hmm, chwila... - bard przybrał zamyślony wyraz twarzy, drapiąc się za swym lekko spiczastym uchem i wspierając o oparcie krzesła. - Myślę, że w tej kwestii mogę wam trochę pomóc. W drodze do Orstlake będziecie mijać Scabard, a tak się składa, że znam pewnego czarodzieja, który tam mieszka. Co więcej, jest mi dłużny

przysługę. Napiszę parę słów i jeśli przekażecie mu list, na pewno pomoże wam dotrzeć do Orstlake w znacznie krótszym czasie. Co wy na to?

- No, przynajmniej tyle dobrego - mruknął Adi, który sposepniał na samą myśl o opuszczeniu ciepłej karczmy, wygodnego łóżka oraz sycącego jedzenia.

- Oj, nie bądź już takim zrzędą - odparła mu elfka. - Pewnie, że każdy z nas wolałby tutaj w cieple przesiedzieć zimę, ale nie możemy sobie na to pozwolić.

- Thali ma rację, przyjacielu - dodał półelfi bard. - Nie zapominaj, że to nie cel jest najważniejszą częścią podróży - choć zapewne to też ma duże znaczenie - lecz sama wędrówka i to, czego nauczysz się w jej trakcie. Jeszcze kiedyś przyjdzie czas, gdy pojmiesz moje słowa, czarodzieju.

- To powiedz nam jeszcze, gdzie dokładnie powinniśmy szukać tego twojego przyjaciela? - spytał Galandir po chwili ciszy, jaka zapanowała pośród towarzyszy.

- Ach, racja, racja. Zwie się Dewin i prawdę mówiąc, to nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie obecnie znajduje się jego siedziba - odparł bard, lekko mrużąc przy tym oczy i przekrzywiając głowę na bok. - Ale jeśli zapytacie strażników miejskich albo w karczmie, czy nawet jakiegoś mieszkańca na ulicy, to zapewne każdy udzieli wam odpowiedzi. Dewin jest dość znany w Scabard, więc nie martwcie się o odnalezienie go.

- Wspaniale. A więc wszystko ustalone - podsumowała Culchie, klaszcząc w dłonie. - Im szybciej wyruszymy, tym

prędzej spotkamy się z Sylvanossem.

- Tak, tak, jasne. Ale nie tak prędko. - Tropicielka błyskawicznie ostudziła zapal swej ludzkiej towarzyszki. - Twoje żebra jeszcze nie uleczyły się do końca.

- Pff, też mi powód! Marne wymówki - rzuciła ostro czarnowłosa kobieta. - Tyle hałasu o kilka niewielkich siniaków.

Thalianna, poruszając się z niezwykłą prędkością, uniosła się ze swego krzesła, przechyliła nad stołem i dźgnęła smukłym palcem w zraniony bok dziewczyny. Ta zareagowała automatycznie, wydając z siebie głośny jęk, wywołany przez ból promieniujący od żeber, a jej twarz wykrzywiła się w grymasie niezadowolenia.

- Wybacz - rzekła miękko tropicielka, ponownie siadając. - Chciałam ci tylko pokazać, jak bardzo się mylisz. To nie jest parę jakichś tam niewielkich siniaków. Uwierz mi, że to może mieć wielki wpływ podczas walki.

Na twarzach trzech mężczyzn malowało się zaskoczenie i niedowierzenie, które po chwili zostało zastąpione wyrazem rozbawienia, gdy dotarło do nich, co się właśnie wydarzyło pomiędzy kobietami.

- Culchie, nic się nie stanie, jeśli zaczekamy jeszcze kilka dni - uznał Galandir, próbując powstrzymać uśmiech, który natrętnie cisnął mu się na usta. - Jak tylko twoje żebra się ulecą, będziemy mogli ruszyć bez dalszej zwłoki. Okaż trochę cierpliwości.

- Cholerne elfy - burknęła kobieta, przykładając dłoń do obolałych żeber i lekko krzywiąc się przy tym. Nie chciała

tego przyznać, ale mieli rację. Walka w takim stanie zapewne nadwyrężyłaby jej mięśnie i tylko pogorszyła obecny stan. Potrzebowała czasu na powrót do swej dawnej kondycji.

- Ale jak już wykonacie zlecenie, to liczę, że nie zapomnicie, kto was poinformował o takim zarobku - rzucił zadziornie bard, spoglądając przelotnie na każdego z chytrym uśmiechem na twarzy.

Ostatecznie towarzysze spędzili w Fallkrik kolejne dwa tygodnie, podczas których obrażenia Culchie mogły się wygoić. Kiedy dotknięcie zranionego boku nie wywoływało już bólu, kobieta rozpoczęła powolny trening z Galandirem. Dzięki temu mogła sprawdzić, czy jest w stanie ponownie walczyć z dawną gibkością i zwinnością. Pojedyńki z półelfem zmuszały ją do wykonywania uników, skoków oraz przyjmowania całej masy innych pozycji, w których jej mięśnie naciągały się i kurczyły gwałtownie. Z zadowoleniem uznała, iż odzyskała pełną sprawność i mocno obite żebra nie przeszkadzają jej już w walce.

Trzy tygodnie później grupa towarzyszy była gotowa do kolejnej podróży. Zawczasu mieli przygotowany ekwipunek na czekającą ich wyprawę, toteż nie zwlekając ani dnia dłużej, pożegnali się z Gridem i po raz kolejny ruszyli ramie w ramie drogą wyprowadzającą ich z Doliny Harshdell, pozostawiając za plecami samotne i spokojne Fallkrik.

Chociaż dobry humor jeszcze nie zdążył ich opuścić, doskonale zdawali sobie sprawę, że Północ kryje wiele niebezpieczeństw – zwłaszcza zimą – dlatego mieli oczy szeroko otwarte i wypatrywali potencjalnego niebezpieczeństwa. Mroźna pogoda towarzyszyła im przez cały czas wielodniowej wyprawy. Musieli sobie radzić z częstymi śnieżycami, a podróż w takich warunkach była wręcz niemożliwa. Doświadczyli surowego klimatu Doliny Harshdell. Ponieważ swą podróż podjęli w szóstym tygodniu zimy, nie mogli zbyt szybko liczyć na bardziej łagodną wiosenną pogodę.

Podążając kolejny dzień pustym, zmarzniętym traktem, na którym co jakiś czas tworzyły się połacie śliskiego lodu w irytujący sposób utrudniającego wędrowkę, każde z nich miało już dość mrozu przenikającego do szpiku kości. Na dodatek wszechobecna biel zaścielająca tundry oraz monotonia terenu dały im się we znaki.

Po tygodniu podróży pojawiła się okazja na odskocznię od nudnej, ciągnącej się bez końca drogi. Do tej pory nie niepokoiły ich widok czy obecność jakichkolwiek potworów. Nawet ślady zwierząt były rzadkością – zwłaszcza tuż obok traktu. Biorąc pod uwagę niebezpieczne sytuacje, do jakich dochodziło na tych terenach, dotychczas dopisywało im szczęście. Jednak tego dnia bystre oczy Thalianny – jak zawsze wypatrujące czyhającego zagrożenia – dostrzegły poruszenie na skalistym zboczu wspinającym się stromo pod górę z ich lewej strony. Dotarli w górzyste rejony, toteż mogli spodziewać się niebezpiecznego towarzystwa.

Gdy elfka wskazała pozostałym źródło zagrożenia, podróżnicy zauważyli pomiędzy skałami istotę o barwie brudnej bieli - mimo wszystko jej sierść doskonale ukrywała ją na tle jasnego śniegu. Wtedy do ich uszu dotarł dziki ryk wydany przez stworzenie. Towarzysze nie potrzebowali ani chwili więcej, by zrozumieć, iż w ich stronę zmierza rozwścieczony górski yeti, który pragnie zabijać. Potwór poruszał się szybko i dość sprawnie jak na stworzenie tak okazałych rozmiarów. Biegając, gibał się na boki, a jego długie łapy zakończone rzędami ostrych, grubych pazurów poruszały się miarowo obok jego torsu. Monstrum wydało z siebie kolejny gardłowy ryk i wtedy podróżnicy dostrzegli, jak zza skał wynurza się drugi taki sami potwór i rozpoczyna szaleńczy bieg w stronę wędrowców, których szybko zlokalizował.

Pierwszy yeti był już zaledwie pięćdziesiąt jardów od nich, biegnąc po prawej stronie zbocza, natomiast drugi stwór poruszał się po lewej stronie. Wyglądało na to, że bestie zamierzały zaatakować podróżników z dwóch stron i szybko rozerwać ich na krwawe strzępy. W zaślinionych masywnych pyskach, z których unosiły się kłęby pary, błyszczały rzędy ostrych kłów.

Towarzysze dobyli broni i bez chwili wahania przygotowali się na atak szarżujących ku nim potworów.

- Adi! Culchie! Wy bierzecie tego z lewej! - warknął Galandir. - Ja i Thali zajmiemy się drugim.

Zgodnie skinęli głowami i stanęli do siebie plecami. Jednak jeszcze nim istoty podbiegły do nich, Thalianna oraz

Culchie, wykorzystując broń dystansową, którą posiadały, zdołały wypuścić kilka pocisków w cielska stworów i parokrotnie trafiły w cel, co wywołało głośny ryk yeti. Oczywiście kilka strzał i bełtów nie wystarczyło, by powalić i obezwładnić potężne potwory. Zaczekali, aż yeti przybliżą się jeszcze bardziej. Kilka oddechów później rozpoczęła się zaciekle walka. Tak jak ustalili, każda z par miała doskoczyć do swego przeciwnika. W ruch poszły miecze, które szybko skosztowały gorącej posoki górskich monstrów.

Półelfi wojownik, wymachując długimi ostrzami, wykonywał taneczne kroki i skoki, stąpał lekko wokół jednego z potworów, raz po raz wymierzając silny cios, który otwierał nową ranę. Elfia tropicielka pomagała swemu towarzyszowi, atakując istotę. Jednak stwory miały grubą, twardą skórę, pokrytą gęstą szczeciną, co dawało im swego rodzaju naturalną zbroję. Nawet jeśli któryś został trafiony, rana przeważnie była powierzchowna, a odpowiedzią na każdy atak był szaleńczy zamach łapą, która mogła zdjąć głowę z karku przeciwnika.

Udeptany już śnieg, w miejscu gdzie rozgrywała się walka, został mocno zabarwiony ciemną krwią yeti. Futro potwora również pokryło się szkarłatnym płaszczem. Dwoje wojowników szybko odnalazło właściwy sposób na uzupełnianie się podczas walki. Kiedy jedno atakowało stworzenie od frontu, jednocześnie ściągając na siebie całą jego uwagę, drugie miało krótką chwilę na zadanie ciosu od tyłu bądź z boku, a wtedy włochaty i rozwścieczony stwór

się odwracał. I tak atak powtarzał się nieustannie, aż istota zaczęła głośno sapać.

Natomiast dwoje ludzi postanowiło uporać się z przeciwnikiem w zupełnie inny sposób. Początkowo rzucili się na bestię z mieczami w dłoniach, jednak szybko uświadomili sobie, że muszą znaleźć lepszą metodę walki. Przestali zwracać uwagę na drugiego yeti walczącego z wojownikami kilka jardów dalej i skupili całą uwagę na swym mierzącym ponad siedem stóp wzrostu wrogu.

- Odwróć jego uwagę! - rzucił Adi do czarnowłosej towarzyszki.

Począł, aż kobieta zaczęła krążyć wokół istoty, skupiając na sobie całą jej uwagę i drażniąc ją szybkimi wypadami, które otwierały cienkie rany na wielkim, włochatym cielsku. Czarodziej bez chwili wahania upuścił na śnieg swe ostrze i zaczął wykonywać dłońmi gesty, szepcząc ciche słowa, znane tylko jemu. Gdy stwór i towarzyszka byli zwróceny do niego bokiem, chłopak akurat zakończył formułę zaklęcia i w jego wyciągniętej ręce błyskawicznie zaczęła rosnać jaśniejąca kula ognia. W następnej sekundzie poszybowała ona bezpośrednio w stronę górskiej istoty, a tuż za nią poleciały dwa takie same płonące pociski.

Culchie, kątem oka dostrzegając nadlatującą magiczną broń, rzuciła się do tyłu i upadła miękko na śnieg. W tym samym momencie kule zetknęły się z futrzastym ciałem yeti i w mgnieniu oka zaczęły pochłaniać cielsko potwora. Ten zawył przeciągle i ogłuszająco, jednocześnie wyrzucając

długie łapy w górę, ogarnięty nagłą paniką zwrócił się w przeciwnym kierunku i popędził przed siebie. Choć futro już przestało się palić i jedynie śmierdzący dym unosił się wokół, to niesamowicie gorący magiczny ogień zdołał mocno zranić górską bestię. Culchie poderwała się ze śnieżnej zasy, mocniej ściskając rękojeść miecza i rzuciła się w pogoń za uciekającym stworzeniem. Odległość dzieląca tych dwoje była niewielka, toteż kobieta szybko zbliżyła się do przeciwnika i potężnym susem rzuciła się wrogowi na plecy. Krótki miecz gładko zagłębił się w karku istoty, przerywając żyły i ścięgna, ocierając się o kości, co szybko powaliło stworzenie niezdolne już do dalszego biegu. Gdy yeti upadał na ziemię, Culchie odbiła się od jego pleców, wykonała salto do tyłu i wylądowała nieopodal. Bez zastanowienia pewnym krokiem podeszła do przeciwnika i kilkoma mocnymi uderzeniami pozbawiła go łąba. Oczyszczywszy ostrze z ciemnej krwi, skierowała się z powrotem ku swym towarzyszom.

Tymczasem, gdy ludzka kobieta była zajęta pogonią za uciekającym wrogiem, Thali i Galandir nadal krążyli wokół swego wciąż żywego przeciwnika. Nie tylko stwór wykazywał oznaki zmęczenia bezustannym skakaniem i wymachiwaniem śmiercionośnymi łapami. Ciosy, jakie dwoje wojowników zadawało, wymagały znacznie większej siły niż podczas walki z humanoidalnym przeciwnikiem o podobnych do ich rozmiarach.

Adi szybko ocenił sytuację, zwrócił się w stronę przyjaciół i ponownie zaczął szeptać magiczne słowa,

gestykulując dłońmi. Gdy zakłęcie zaczęło się materializować jako ognisty pocisk, chłopak ruszył kilka kroków do przodu i głośno zawołał:

- Padnijcie na ziemię! Teraz!

I chociaż ani elfka, ani półelf nie wiedzieli, o co dokładnie chodzi czarodziejowi, instynktownie posłuchali wykrzychanego polecenia i jednocześnie rzucili się na ziemię. Niczego niespodziewający się yeti dalej wykonywał zamach jedną ze swych ciężkich łap i właśnie w tej chwili został ugodzony magicznym pociskiem. Kolejne dwa powaliły na ziemię zdezorientowanego stwora, rzucając go pomiędzy dwoje wojowników. Gdy futro stworzenia stanęło w płomieniach, wytwarzając przy tym duszący odór, bestia zaczęła się miotać po śniegu, próbując ugasić ogień. Tropicielka i półelf rzucili się na przeciwnika, by ostatecznie zakończyć walkę. Chwilę później yeti spoczywał nieruchomo na śniegu pokrytym ciepłym szkarłatem topiącym biały puch.

Towarzysze zaczęli czyścić zakrwawioną broń, wciąż dysząc z wysiłku i wypuszczając przy tym obłoki białej pary. Zamierzali wykorzystać chwilę na krótki odpoczynek.

- Prawie nas tam usmażyłeś - skomentowała w końcu niezadowolona Thalianna.

- Nie tylko was tak zaskoczył tymi swoimi sztuczkami - rzuciła Culchie, wyraźnie rozbawiona.

- Ej, pomiędzy prawie usmażeniem a usmażeniem istnieje spora różnica. Zresztą nic wam się nie stało - odparł Adi.

- A co, gdybyśmy z jakiegoś powodu nie rzucili się na ziemię? Wtedy też byśmy się tak miotali po śniegu jak yeti, próbując ugasić płomienie? - spytała elfka z wyrzutem w głosie.

- Jakbyście nie posłuchali polecenia, to bym nie wypuścił tych pocisków.

- Hej, dajcie już spokój! Niepotrzebne nam są kłótnie. I nie ma co gdybać - Galandir ostro przerwał gorącą wymianę zdań. - To była walka, a walki zawsze są niebezpieczne. No i koniec końców nikomu nic się nie stało, Adi uratował nam tyłki. W każdym razie w znacznym stopniu przyczynił się do naszej wygranej.

- Półelf ma rację - dodała ludzka kobieta. - A ja proponuję, byśmy jak najszybciej ruszali dalej. Nie ma co tu tak siedzieć i się kłócić. Możecie to robić w drodze. Mamy jeszcze spory kawał do przejścia. No, jazda! Zbierać tyłki i idziemy.

Czworo towarzyszy wędrowało jeszcze przez tydzień, nim w końcu udało im się dotrzeć do miasta Scabard późnym wieczorem, na krótką chwilę przed zamknięciem bram miejskich na noc. Gdy tylko przekroczyli mury miasta, każdy poczuł ulgę i zadowolenie. Każdy z wyjątkiem Culchie. To właśnie z tego miejsca uciekła, pozostawiając w tyle swą przeszłość i mając nadzieję już nigdy nie wracać. Chociaż powrót do Scabard - nawet na krótką chwilę - nie podobał jej się, nie dała po sobie poznać, iż jest

zaniepokojona tym faktem. Nie rozmawiała z pozostałymi o swej przeszłości, tak samo jak i oni nie opowiadali o własnych doświadczeniach. Wiedzieli o sobie niewiele. Znali się jeszcze zbyt krótko, by dzielić się tak osobistymi i często bolesnymi wspomnieniami. Jednak wiedzieli, że w końcu nadejdzie dzień, gdy ujawnią pozostałym prawdę o sobie, staną się otwartą księgą, z której pozostali przyjaciele będą mogli czytać bez przeszkód. Do tej pory cenili się za to, kim są teraz, w chwili obecnej, gdy są razem, a nie za to, kim byli kiedyś. Chwilowo tyle im wystarczało.

Zaciągając kaptur płaszcz na głowę, tak by skrywał jej twarz, Culchie zatrzymała się na chwilę i zwróciła do towarzyszy.

- Patrole strażników kręcą się po mieście dość często. Spytajcie ich o tego maga Dewina i udajcie się do niego. Lepiej ustalić wszystko od razu, by móc spokojnie odpocząć tej nocy.

- Co ty knujesz? - Adi spytał wprost. - Nie idziesz z nami? Dlaczego?

- Nie, ja pójdę do Dziurawego Kufla - odparła kobieta beznamiętnie. - Karczma jest niedaleko placu targowego. Będę na was czekać w pokoju. Pałętanie się po ulicach Scabard nie jest dla mnie... zbyt bezpieczne, zwłaszcza po zmroku. A teraz już idźcie.

Towarzysze spojrzeli po sobie nieco zaskoczeni dziwnym zachowaniem kobiety. Krótką chwilę odprowadzali ją wzrokiem, aż w końcu zniknęła im z oczu.

- Każdy skrywa jakieś tajemnice - mruknęła Thalianna, po czym odchrząknęła i dodała już normalnym głosem: - Chodźmy. Nie ma co tu tak stać.

Culchie miała rację, mówiąc, że strażnicy dość często patrolują ulice miasta pogrążającego się w mroku nadchodzącej nocy. Przez kilka minut snuli się, nie wiedząc, dokąd pójść, aż w końcu natknęli się na jedną z grup strażników i bez większego problemu dowiedzieli się, gdzie mieszka poszukiwany mag. Skierowali się we wskazanym kierunku i co jakiś czas mijali mieszkańców Scabard, w większości zapewne zmierzających do karczem lub dopiero wracających z pracy. Porozwieszane lampy uliczne rozświetlały mrok, choć gdy mijali ciemniejszy zaułek, ręka sama wędrowała do rękoności broni w obawie, że coś lub ktoś może czaić się w ciemnościach. Wielu żebraków i pijaków leżało w rynsztokach lub na zaśmieconych nieoświetlonych uliczkach. Prawie każdy wiedział, że pomimo patroli strażników Scabard nie należało do bezpiecznych miast, zwłaszcza po zmroku.

Po kilkunastu minutach wędrowki dotarli w końcu do poszukiwanego domu. Choć latarnie dawały tyle światła, by nie potykać się na każdym kroku po brukowanej ulicy, to nie było ono dostatecznie jasne, by dokładnie oświetlić budynek, przed którymi stali. Dom maga był na pewno całkiem duży, a przynajmniej znacznie większy niż wielu mieszkańców mogłoby sobie pozwolić.

- Myślicie, że to dobry pomysł, by składać taką wizytę w środku nocy? - spytał Adi, wpatrując się w okna na

piętrze.

- To jest mag. Magowie są z reguły dość szaleni albo dziwni. Zresztą on chyba nie śpi - odparł Galandir, wskazując głową na jedno z oświetlonych okien.

Młody czarodziej rzucił półelfowi przeciągłe, sceptyczne spojrzenie, które było dość wymowne.

- Upss... - Thalianna parsknęła ze śmiechem.

- Znaczący, większość magów. Chodziło mi o większość z nich, nie o wszystkich - półelfi wojownik szybko zaczął wyjaśniać, również z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Dobra, zrozumiałem, o co ci chodziło - mruknął chłopak. - Macie ten list od Grida?

- Chwila - rzekła elfka i sięgnęła do plecaka. Po chwili w smukłej dłoni trzymała zapieczętowany zwitek pergaminu. - Tutaj jest.

Kobieta podeszła do drewnianych drzwi i zapukała trzykrotnie. Już po krótkiej chwili usłyszeli jakieś poruszenie w domu, nadchodzące kroki i drzwi otworzyły się, ukazując starszą kobietę, odzianą w szarą, workowatą suknię. Czarne włosy miała upięte w schludny kok, a jej szare oczy wpatrywały się w niezapowiedzianych gości.

- Tak? - rzuciła w końcu, a jej głos zabrzmiał dość surowo.

- Czy tutaj mieszka mag Dewin? - spytała elfka.

- Tak, ale nie przyjmuje gości o tej porze. Wróćcie jutro z rana. Albo wcale - odparła, obrzucając ich taksującym spojrzeniem od stóp do głów.

- Ale to ważne... - zaczęła Thalianna, jednak starsza kobieta przerwała jej ostro.

- Powiedziałam już: jutro.

Po czym bezceremonialnie zaczęła zamykać im drzwi przed nosem. Jednak nim te zdążyły się zamknąć do końca, półelf rzucił do kobiety:

- Przysłała nas przyjaciółka Dewina! Mamy od niego list. To jest naprawdę pilna sprawa.

Drzwi zatrzymały się i kobieta wychyliła zza nich głowę, przyglądając się trójce osobników stojących przed domem i oceniając ich surowym spojrzeniem.

- Zaczekajcie tutaj - rzuciła po chwili i szybko zatrasnęła drzwi, zostawiając na zewnątrz troje zupełnie skołowanych towarzyszy.

- Mówiłem, że to chyba nie jest najlepszy czas na wizyty - mruknął Adi. - Myślicie, że wróci?

I w tym momencie drzwi ponownie się otworzyły, jednak tym razem nie pojawiła się w nich podstarzała kobieta, lecz mężczyzna. Wyglądał na człowieka w średnim wieku, ale lata męczącego życia zdawały się odcisnąć na nim wyraźne piętno. Krótkie, falowane, czarne włosy były poprzetykane srebrem, podobnie jak i jego długa broda związana w kitkę i majtająca się luźno na boki. Mężczyzna przyglądał się gościom przymrużonymi szarymi oczami, skrytymi za szklami okularów.

- Witajcie - zwrócił się do nowoprzybyłych. - Helen powiedziała mi, że jesteście tutaj w jakiejś naglącej sprawie

i że przysłała was mój przyjaciel. Bylibyście tak łaskawi, by wyjaśnić, o co chodzi? Coś się stało?

Mężczyzna otworzył nieco szerzej drzwi wejściowe, wciąż stojąc w przejściu i jednocześnie wprawiając w ruch kilka sakiewek, które miał przypięte do pasa. Ubrany był w zielone szaty z szarymi oraz czerwonymi elementami, a na kilku palcach dostrzegli połyskujące drogocenne pierścienie i sygnety.

- Tak, oczywiście - odparła Thalianna, szybko wyjaśniając najbardziej istotne szczegóły. - Przysłała nas Grid Venris, półelfi bard. Liczymy na to, że będziesz mógł nam pomóc. Musimy dostać się do Orstlake, a Grid wspominał, że jesteś osobą, która może nam w tym pomóc. Mamy list od niego, tam wszystko jest dokładnie wyjaśnione.

Elfka wręczyła magowi zapieczętowany pergamin i spojrzała na towarzyszy.

- Ach, no dobrze. Wejdźcie, zobaczmy, co my tu mamy - rzucił Dewin, odsuwając się na bok i gestem zapraszając ich do środka.

Dewin rzucił przeczytany list na biurko wypełnione innymi pergaminami i zwojami. Troje przyjaciół siedziało w fotelach w salonie, wpatrując się wyczekująco w maga. W kominku płonął niewielki ogień, a ściany były zastawione książkami.

- Przyjdźcie jutro w południe i wtedy was wyślę do Orstlake - zaczął wyjaśniać mag. - Znam Grida od wielu lat, dlatego z chęcią spełnię jego prośbę. Zresztą i tak jestem mu winny przysługę. No, a teraz chyba już najwyższy czas, by udać się na spoczynek.

- Dziękujemy - odparła Thali, po czym podróżnicy pożegnali się z mężczyzną i opuścili jego dom odprowadzani surowym spojrzeniem Helen.

Ruszyli w drogę powrotną, tym razem kierując się w stronę placu targowego, gdzie mieli znaleźć karczmę Dziurawy Kufel. Minęła nie więcej niż godzina, od kiedy rozdzielili się z ludzką towarzyszką, i właśnie dotarli do ustalonego miejsca spotkania. Gospoda nie należała do nazbyt wyszukanych, ale nie była również zapadłą dziurą. Koniec końców znajdowała się niemalże w centrum miasta. Wewnątrz tawerny było tłoczno, ale towarzyszom udało się znaleźć wolny stolik i zamówić ciepły posiłek. Szybko zjedli i dowiedzieli się od karczmarza, który pokój wynajęła ich kompanka. Nie tracąc więcej czasu, poszli na górę, by przekazać kobiecie informacje, a następnie udać się na spoczynek. Byli zadowoleni, że chociaż tę jedną noc spędzą w ciepłych łózkach.

Kiedy weszli do wskazanego pokoju, zastali Culchie siedzącą przy stoliku i popijającą wino z kielicha. Butelka stojąca na blacie była już niemalże pusta, natomiast w pokoju panował półmrok. Gdy drzwi się otworzyły, kobieta szybko zwróciła swe spojrzenie w ich kierunku,

a kiedy rozpoznała przybyszy, rozluźniła się nieco, mówiąc jedynie:

- Ach, to wy. No i jak?

Półelf wyjaśnił jej pokrótce, co zostało ustalone, a kiedy już skończył, dodał:

- Nie wiem jak wy, ale ja idę spać. Przed nami jeszcze sporo do zrobienia.

Z dołu karczmy dochodziły odgłosy pijackich rozmów, krzyków, szcęk talerzy i ogólny karczemny harmider, jednak to nie przeszkadzało strudzonym podróżnikom i niebawem każdy z nich leżał już w swoim łóżku pogrążony w głębokim śnie. Każdy oprócz Culchie. Kobieta wciąż siedziała przy stoliku, wpatrując się w ciemności za oknem i nasłuchując odgłosów dochodzących z dołu. Minę miała dość posępną. Nie czuła się najlepiej w tym miejscu. Nieznośne uczucie, że ktoś może ją rozpoznać, nie opuszczało jej ani na chwilę. Nie chodziło o strach przed zabójcami, którzy mogą zostać nasłani na nią z gildii, do której niegdyś przynależała. To był dyskomfort spowodowany samym powrotem do tego miasta. Wizyta w Scabard tylko przypomniawszy jej, jak została zdradzona przez członków gildii. Tam liczyło się tylko przetrwanie, a zaufanie i przyjaźń to wartości, na które nie można sobie pozwolić, będąc jednym z ludzi działających w cieniu.

Kobieta spojrzała na troje śpiących towarzyszy, rozważając, jak bardzo relacje w tej grupie różnią się od łączących członków gildii. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że tropicielka, półelf i ludzki czarodziej są jej

znacznie bliżsi niż ktokolwiek z Bractwa. Uśmiechnęła się na tę myśl i nieco spokojniejsza położyła się do łóżka. Przypomniawszy sobie, jak towarzysze niedawno uratowali jej życie, znacznie łatwiej było jej wyzbyć się obaw, które ją dręczyły od momentu przekroczenia scabardzkich bram. Uzmysłowała sobie, że na dobre porzuciła ścieżkę kradzieży i mordu, zerwała jakikolwiek kontakt z Bractwem. Wróciła do Scabard jedynie dlatego, że ścieżka jej nowej, jaśniejszej przyszłości wiodła właśnie tędy.

Dzięki tej myśli łatwiej było jej się uporać ze wspomnieniami zdarzeń z przeszłości. Mogła zasnąć spokojna, z poczuciem, że jest pośród przyjaciół.

Nazajutrz nie spieszyli się zbyt ze wstawaniem. Mieli czas do południa i chcieli do końca wykorzystać wolne chwile. Kiedy już zbliżała się umówiona pora, czworo podróżników udało się do domu maga. Tym razem drzwi otworzył sam Dewin. Mag, zauważywszy Culchie, spojrzał na kobietę z lekkim zdziwieniem, nie skomentował jednak jej obecności.

- No, to zaczynajmy - rzekł wesoło, zacierając dłonie. - Portal zamknie się, gdy przejdzie przez niego ostatnia osoba. Gotowi?

Kiedy wszyscy zgodnie skinęli głowami, Dewin stanął na dywanie na środku pokoju. Fotele zostały już wcześniej odsunięte nieco na bok, tak by utworzyć więcej miejsca do działania. Mężczyzna zwrócił się plecami do przyjaciół

i rozpoczął inkantację w nieznanym języku. Jedynie Adi zdawał sobie sprawę, że jest to język magii wykorzystywany do rzucania zaklęć, choć nie był w stanie rozpoznać całej inkantacji. Dewin wykonywał również gesty dłońmi w powietrzu, a po kilkunastu sekundach zaczął pojawiać się świetlisty portal. Nie dało się dostrzec, co jest po jego drugiej stronie, gdyż całe magiczne przejście zostało wypełnione światłem.

- Powodzenia w dalszej podróży. I przekazcie moje pozdrowienia Gridowi - rzucił Dewin na pożegnanie, a towarzysze po kolei weszli w magiczny teleport.

Niesamowicie jasne i rażące światło ogarnęło ich zewsząd na krótką chwilę, a następnie znaleźli się na otwartym terenie. Minęło kilkanaście sekund, nim w końcu ich oczy ponownie przywykły do naturalnego światła dnia. Przed nimi rozpościerały się potężne mury Orstlake, które okalały miasto. Zbliżając się do bramy, w której stało dwóch strażników, Culchie rozpoczęła rozmowę.

- No, to była szybka podróż - rzekła.

- Ano, teraz trzeba tylko porozmawiać z tym Sylvanossem i można ruszać do Wieży Wieków - uznał Adi, wskazując głową na strażników. - Lepiej od razu zapytać się ich, gdzie znajdziemy maga. Nie ma co tracić czasu na błąkanie się po mieście.

Podeszli pod bramę i zagadnęli jednego ze stojących tam ludzi, leniwie opierającego się o mur.

- Wybacz, gdzie znajdziemy maga o imieniu Sylvanoss?
- spytała Thalianna.

- Idźcie do centrum miasta i Wysokiej Wieży. Na pewno ją zobaczycie, w końcu sama nazwa mówi, że jest wysoka. Tam popytajcie o tego waszego maga, panienko elfko - odparł mężczyzna, nie zwracając większej uwagi na podróżników.

Odchodząc bez słowa, wkroczyli na ulice Orstlake. Było południe, toteż ruch w mieście był ogromny. Tłumy mieszkańców, kupców i podróżników nieustannie przelewały się przez brukowane ulice. Większość osób znała Orstlake i wielu z nich miało okazję odwiedzić je kilkakrotnie w swoim życiu. Przyjaciele, otoczeni z każdej strony przez osoby zajęte własnymi sprawami i problemami, powolnie przedzierali się do centrum miasta. Ich przechadzce towarzyszył typowy miejski zgiełk, którego głównym źródłem były place targowe i porozstawiane na nich stragany.

W końcu po kilkunastu minutach dostrzegli wysoką spiczastą budowlę, połączoną z niższymi budynkami, z których większość również miała strzelisty kształt. Całość wyglądała jak skupisko stalagmitów z jedną dominującą kolumną, która górowała nad pozostałymi. Od razu domyślili się, iż musi to być rezydencja magów zwana po prostu Wysoką Wieżą. Towarzysze szybko przepchali się do solidnych zdobionych drzwi i spojrzeli po sobie nieco skonsternowani.

- Hm, mamy zapukać czy zwyczajnie wejść do środka? - mruknęła Thalianna, bezradnie spoglądając na kompanów.

- A co za różnica? I tak będziemy musieli tam wejść - odparła Culchie, po czym bez namysłu nacisnęła klamkę i pchnęła drzwi.

Wrota otworzyły się bez problemu, a towarzyszył temu melodyjny dźwięk dzwoneczków. Kiedy przyjaciele przekroczyli próg, dzwoneczki zaczepione u góry drzwi zadźwięczały ponownie. Podróżnicy stali w krótkim korytarzu, jednak nim zdążyli chociażby pobieżnie rozejrzeć się po pomieszczeniu, pojawił się przed nimi młody chłopak, mający nie więcej niż dwadzieścia lat. Uśmiechnął się lekko i rzekł:

- Witajcie. W czym mogę pomóc?

- Ponoć jest to miejsce, gdzie możemy znaleźć maga Sylvanossa. Mamy do niego sprawę - wyjaśniła stojąca z przodu grupy Culchie.

- Tak, mistrz Sylvanoss jest u siebie - odparł szybko chłopak. - Proszę za mną, zaprowadzę państwa do niego.

Młodzieniec ruszył korytarzem, mijając drzwi po obu stronach, a potem krętymi schodami na wyższy poziom wieży, aż dotarł do jedynych drzwi na piętrze. Zastukał w nie dwukrotnie, uchylił lekko i wsunął do środka głowę, zapowiadając gości. Gdy się wycofał, wskazał ręką na wejście, dając nowoprzybyłym znak, by weszli do pokoju.

Pomieszczenie było przeciętnej wielkości, ale ilość rozmaitych przedmiotów znajdujących się w jego wnętrzu sprawiała, że zdawało się dość ciasne. Udało im się dostrzec kawałek wolnej przestrzeni, w miejscu gdzie drewniana podłoga była ubrudzona białą kredą. W pokoju

znajdowało się wiele regałów zavalonych grubymi tomami ksiąg oprawionych w skórę oraz pożółkłymi zwojami. Niemalże na środku pomieszczenia stał spory okrągły stół, zastawiony fiolkami, miksturami i innymi alchemicznymi przedmiotami. Natomiast nad stołem nachylał się mężczyzna, który czytał coś z zapisanych pergaminów. Gdy towarzysze zamknęli za sobą drzwi, człowiek podniósł znad lektury spojrzenie swych ciemnych, głęboko osadzonych oczu. Drapiąc się jedną ręką po krótko przystrzyżonej brązowej bródce, rzucił im niecierpliwie:

- Taak?

Mag nie wyglądał na typowego mieszkańca tych rejonów. Śniady, nieco złocisty kolor skóry sugerował, iż może on pochodzić z jednej z okolicznych wysp Wybrzeży Baymor. Mógł mieć około trzydziestu lat, a smukła twarz, duże oczy oraz prosty nos dodawały mu hardości. Już lekceważące zachowanie mężczyzny nie spodobało się grupie towarzyszy.

- Otrzymaliśmy od przyjaciela informację, że poszukujesz kogoś, kto dostarczy ci pewną księgę - wytłumaczyła Culchie dość chłodnym tonem, wbijając w maga kryształowo niebieskie oczy. - Jesteśmy zainteresowani tym zleceniem i chcielibyśmy usłyszeć nieco więcej informacji na jego temat.

Tym razem mężczyzna zostawił w spokoju swe zapiski i postąpił krok w bok, jednocześnie wprowadzając w ruch ciemne, szkarłatne szaty, które miał na sobie. Gdy złączył

dłonie i dotknął nimi koniuszka nosa, na palcu zabłyszczał pierścień.

- Tak, tak. Szukam chętnych do wykonania tej pracy - odparł Sylvanoss. - Sam bym wyruszył po tę księgę, ale jak widzicie, jestem niezmiernie zajęty. Zresztą zlokalizowanie jej było najtrudniejszą częścią zadania. Teraz wystarczy jedynie dostarczyć mi ją.

- Wiemy, że księga znajduje się gdzieś w Wieży Wieków - zaczęła Thalianna.

- Mhm. A konkretnie w lochach pod nią. Od wielu lat są opuszczone, więc musicie tylko dostać się do nich i poszukać księgi - wyjaśnił krótko mężczyzna.

- Dlaczego tak ci zależy na zdobyciu tej książki? - wtrąciła Culchie, przechylając głowę lekko na bok i przyglądając się magowi z zaciekawieniem.

- Powinno wam wystarczyć tyle, że interesuje mnie zawarta w niej wiedza. W końcu właśnie do tego służą książki, nieprawdaż? - Sylvanoss odparł cierpko, obrzucając kobietę spojrzeniem pełnym wyższości. - Jeśli chodzi o wynagrodzenie, to po dostarczeniu mi przedmiotu otrzymacie sto złotych monet. Dotarcie do biblioteki to kwestia kilku mil, a więc zapewne do jutra zdążycie już wrócić. A teraz idźcie, mam inne sprawy na głowie.

Po czym machnął na nich ręką, jednoznacznie dając im do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca. Nieco zmieszani opuścili pokój wyniosłego mężczyzny, niezwłocznie zeszli na dół i wyszli na zewnątrz.

- Temu magowi chyba się wydaje, że pozjadał wszelkie rozumy - skomentował ponuro Adi. - Mógłby okazać nieco więcej zainteresowania. W końcu to my idziemy po jakąś książkę, bo mu się nie chce dupy ruszyć!

- Powiem tak, jak to ujął Grid: ma pieniądze, no to go stać na wynajęcie kogoś, kto odwali za niego tę część roboty - odparł spokojnie półelf, wzruszając ramionami. - Nie ma co się denerwować.

- Uzupełnijmy zapasy na targu i ruszajmy - uznała elfka i poprowadziła towarzyszy w stronę straganów z jedzeniem.

Zakupiwszy trochę suszonych owoców w cukrze, kawałek sera oraz suszone pasy mięsa, ruszyli z powrotem ku bramie miejskiej, a stamtąd drogą wiodącą na południe. Pogoda była sprzyjająca, słońce wisiało wysoko na niebie, a przymarznięty śnieg skrzypiał pod grubymi podeszwami butów. Ponieważ opuścili tereny Doliny Harshdell, tutejszy klimat na Wybrzeżach Baymor był nieco łagodniejszy. Wędrówka okazała się dość spokojna, a po upływie około trzech godzin dostrzegli przed sobą wielką kamienną wieżę.

- Niezbyt okazała ta Wieża Wieków - skomentowała Culchie, gdy zbliżali się do budowli.

- Biblioteka rozciąga się jeszcze pod powierzchnią ziemi - wyjaśnił Adi, który miał więcej informacji na temat tego miejsca.

- Hm, to by sporo wyjaśniało - odparła kobieta.

Gdy znaleźli się przed solidnymi, okutymi żelazem drzwiami, użyli metalowej kołatki, a po chwili powitał ich starszy mężczyzna, wyglądający na uczonego.

- Witajcie w progach oświecenia - rzekł podstarzały i nieco wysuszony człowieczek. - Jeśli chcecie wejść do biblioteki, będziecie musieli tutaj zostawić cały oręż, który macie przy sobie.

- Niech i tak będzie - odparł Galandir i jako pierwszy odczepił od pasa miecze i wkroczywszy do wieży, złożył je we wskazanej skrzyni pod ścianą. Pozostali troje postąpili podobnie.

Uczony skinął głową z zadowoleniem, po czym poprowadził grupę korytarzem schodzącym do podziemi, gdzie znajdowała się właściwa część biblioteki.

- Rozejrzyjcie się. Jeśli będziecie czegoś potrzebować lub zechcecie szukać bardziej konkretnych informacji, to wróćcie na górę i udajcie się schodami w górę wieży. Tam na pewno znajdziecie kogoś, kto wam udzieli poszukiwanych informacji - wytłumaczył mężczyzna i skłoniwszy się lekko, oddalił się, pozostawiając towarzyszy samych sobie.

Pomieszczenie było ogromne, wręcz imponujące. Jednak bardziej oszołamiały alejki regałów pozastawianych równo ułożonymi tomami, zwojami, krótkimi kolekcjami pergaminów i mapami. Kiedy przyjaciele otrząsnęli się z zaskoczenia, Adi wyszeptał cicho:

- Tyle tutaj wiedzy...

Głos chłopaka poniósł się echem i odbił się od kamiennych ścian i sufitu. Podłoga została wykonana z jasnych kamiennych płyt, dlatego każdy krok niósł się

echem, wypełniając wielką salę. Zdawało się, że w pomieszczeniu znajdują się tylko oni.

- Owszem, ale nie zapominaj, po co tu jesteśmy - odparła Thali.

- Jak zamierzamy znaleźć to wejście do lochów? - spytała ludzka wojowniczką, rozglądając się bezradnie wkoło.

- Wiem, że lochy znajdują się dokładnie pod zachodnią częścią tej sali - podsunął czarodziej. - Może nie jest to zbyt wiele, ale możemy rozejrzeć się w tamtej części za jakimiś drzwiami. Mogą być zastawione regałem, skoro nikt nie wchodził do tych podziemi od tak dawna.

- No dobrze, to chodźmy. Chyba nic lepszego nie wymyślimy - uznał półelf i ruszył przodem.

- Och, świetnie. Zapowiada się niesamowita zabawa - mruknęła Culchie i westchnęła przeciągle.

Przez następne pół godziny obchodzili przeszukiwany rejon podziemnej biblioteki. W końcu znaleźli drzwi, które zapewne prowadziły do lochów, jednak pozostawały zamknięte. Po chwili zastanowienia czarodziej użył jednego ze swoich czarów ognia, by stopić stare zawiasy w drzwiach, a wówczas bez problemu je zdjęli. Towarzysze zagłębili się w tunel wiodący schodami w dół, a gdy światło z głównej sali przestało rozjaśniać im drogę, Adi stworzył magiczną kulę światła, która lewitowała tuż obok nich i oświetlała drogę. Im dalej szli, tym powietrze robiło się chłodniejsze. Początkowo korytarz wiodł nieustannie prosto, bez jakichkolwiek bocznych odgałęzień, toteż

podróznicy nie mieli zbyt wielkiego wyboru. Mijając jeden ciemny tunel, niemalże go przegapili. Gdy jednak zatrzymali się, by go zbadać, okazało się, iż jest zasypany gruzem i przejście nim jest niemożliwe. Dlatego ruszyli dalej jedyną możliwą drogą. Ściany zostały wyciosane dość surowo, ale korytarz był wystarczająco szeroki, by szło nim obok siebie trzech rostrych mężczyzn.

Grupa przez jakiś czas snuła się wciąż do przodu, niezbyt wiele rozmawiając ze sobą. Od panującej wkoło ciszy zaczynało im brzęczeć w uszach. Jednak nawet to nie stłumiło wyczulonych zmysłów elfki i udało jej się dosłyszeć nowy dźwięk. Jakby czyjeś ciche mamrotanie rozchodzące się po tunelach.

- Czekaście - szepnęła do towarzyszy, zatrzymując ich uniesieniem dłoni. - Słyszeliście to?

Kiedy pozostali troje zaprzeczyli, elfia kobieta dodała wciąż przyciszonym głosem:

- Słyszałam jakieś mamrotanie. Jedno jest pewne, nie jesteśmy tu sami.

- Adi, przyciemnij nieco kulę - zasugerował Galandir. - Zachowajmy ciszę i chodźmy dalej.

Ruszyli ponownie, jednak niepokojące głosy wcale nie cichły. Wręcz przeciwnie. Z każdą chwilą były coraz bardziej wyraźne, zupełnie jakby zbliżali się do ich źródła. Teraz już każdy mógł dosłyszeć szepty.

- Hej, spójrzcie tutaj. Ten tunel zdaje się uprzątnięty ze skał i śmieci. W ogóle jest jakby czystszy w porównaniu do tych, którymi szliśmy - zauważyła Culchie w pewnym

momencie. - Mam dziwne wrażenie, jakby był on... zamieszkały. Naprawdę dziwne.

Istotnie, od tego miejsca tunel był znacznie czystszy, przejścia nie zawały już tak liczne śmieci, papiery oraz odłamki skalne odłupane przez czas od kamiennych ścian podziemnych korytarzy. Ścieżka była momentami kręta, toteż każdy następny skręt krył wielką niewiadomą. Dochodząc do kolejnego takiego zakrętu, dostrzegli lekką poświatę. Zupełnie jakby paliła się tam świeca lub pochodnia. Kiedy wychylili się lekko, ich oczom ukazała się zgarbiona niewielka istota, pochylająca się nad czymś. W dłoniach trzymała jakiś przedmiot, pomrukując nieustannie. Nikły blask ledwo oświetlał ową istotę, jednak czworo towarzyszy szybko zdało sobie sprawę, iż znajduje się przed nimi nikt inny tylko drobny goblin. Dopiero po dłuższej obserwacji Thalianna dostrzegła, że w łapskach goblina połyskuje srebrna moneta, a stworzenie ścisnęła ją chciwie i gładzi jednym palcem niczym bezcenny skarb.

Stwór pochłonięty swym drogocennym przedmiotem zupełnie nie zdawał sobie sprawy z obecności intruzów. Towarzysze wykorzystali to, by dokładniej rozejrzeć się po legowisku goblina. Najistotniejszą obserwacją, jakiej dokonali, było to, że ów korytarz jest ślepy zaułkiem. Przejście zostało całkowicie zasypane gruzem, uniemożliwiając podróż dalej. Gdzieś pomiędzy kamieniami leżała sterta starych porwanych szmat i ubrań, najpewniej stanowiąca leże humanoida. Pomiedzy głazami i odłamkami skalnymi rozrzucona była cała masa przeróżnych

przedmiotów, niektóre miały jakąś wartość, inne były zupełnie bezużyteczne. Przewalał się tam pogięty talerz z brązu, srebrny widelec z jednym ocalałym zębem, zniekształcone stare kielichy, wielka sterta pogiętych kartek, niewielki stosik niechlujnie rzuconych książek oprawionych w skórę oraz inne drobiazgi. Nawet z tej odległości byli w stanie dostrzec błyszczące złote litery tłoczone na grubych grzbietach owych książek.

Kiedy przyjaciele postąpili krok do tyłu i spojrzeli po sobie, usłyszeli, jak goblin zerwał się gwałtownie z kamiennej posadzki. Jego żółte ślepia wpatrywały się w miejsce, w którym przed chwilą stali podróżnicy.

- Precz! Precz! Czego tu chcecie?! Niczego wam nie oddam! - skrzekliwy wrzask rozdarł wszechogarniającą ciszę, wypełniając całe lochy. Zaskakujące było, iż ów krzyk rozległ się we wspólnej mowie.

- Cholera, co teraz? - szepnęła ostro Thalianna. - Nie mamy broni, choć on też pewno żadnej nie ma.

- Chwila - przerwała Culchie, szepcząc szybko. - A jakby tak przekupić go złotem? Skoro tak wielbi jedną srebrną monetę, to za złotą zgodzi się na wszystko...

- Preeeeecz stąd! - rozbrzmiał kolejny szaleńczy krzyk.

- Dobra, no to wychodzimy. Najwyżej jakoś go objemy, jeśli złoto nie pomoże. W końcu to tylko jeden goblin. A w tym stosie może być nasza książka - uznał Galandir.

Postąpili kilka kroków naprzód i stanęli przed goblinem, który wytrzeszczał swe małe oczka.

- Spokojnie - rzuciła ostro Culchie. - Chcemy rozmawiać.

Kobieta nie była pewna, w jakim stopniu stwór znał wspólny język, dlatego starała się mówić prosto i zrozumiale.

- Widzę, że znasz ludzką mowę - zagadnęła wojowniczką.

- Znam. Czego chcecie?! - zaskrzeczał stwór. - Nie dostaniecie skarbu!

- Masz na myśli srebrną monetę? - spytała Culchie, wskazując palcem na monetę w dłoni goblina.

- Nie oddam jej! Precz! - zawył tamten, kurczowo ściskając swój skarb i tuląc dłoń do piersi.

- Nie chcemy jej - odparła, słysząc miarowe oddechy swych towarzyszy za plecami. - Chcemy przeszukać stertę za tobą. Stertę książek. Ty nas dopuścisz do niej, my weźmiemy, czego szukamy, a ty dostaniesz złotą monetę. Pomyśl tylko, błyszcząca sztuka złota dla ciebie. Chcesz ją?

Goblin długo się nie zastanawiał, jego chciwość okazała się na tyle potężna, że zaczął ochoczo potakiwać i wyciągnął wolną, otwartą dłoń przed siebie, powtarzając:

- Bierzcie, co chcecie. Ale najpierw moneta. Najpierw moneta. O tak, cała dla mnie, piękna i wspaniała. Dajcie mi ją. Już! Już!

Czarnowłosa wojowniczką wygrzebała z sakiewki sztukę złota i rzuciła ją w stronę chciwego stworzenia. Goblin próbował ją złapać w locie, jednak ta odbiła się od

jego niezdarnych łapsk i brzdęknęła o ziemię. Stwór padł na posadzkę i zaczął gładzić, gryźć i oglądać swój nowy skarb.

- Adi, Galandirze, idźcie przejrzeć te książki. My będziemy miały na oku zielonego - rzekła krótko Culchie, nie spuszczać z oczu małej obłąkanej chciwością istoty.

Prawdę powiedziawszy, kobiety nie musiały pilnować stworzenia, gdyż do reszty było zafascynowane i pochłonięte błyszczącą zdobyczą. Już nawet nie przywiązywało najmniejszej uwagi do intruzów przegrzebujących stertę ksiąg w jego legowisku.

- Hej, chyba znalazłem! - zawołał podekscytowanym głosem czarodziej, przecierając dłonią zakurzoną skórzaną oprawę grubej i starej księgi. Wykorzystując światło, które cały czas lewitowało tuż obok ich głów, chłopak odczytał na głos tytuł: - Wiedza planarna. No, jeśli to nie jest księga, której szukamy, to jestem brodatym trollem.

- Pozostałe książki raczej nas nie interesują - dodał półelf.

- Dobrze, no to wynośmy się już stąd - zasugerowała elfka i zaczęła wycofywać się z goblińskiego tunelu.

Jednak nim pozostali zdążyli dołączyć do swej towarzyszki lub chociaż wykonać jeden krok, księga w rękach Adiego zaczęła niepokojąco wibrować. Chłopak nie miał okazji, by uczynić cokolwiek, gdyż tom rozgrzał się i zaczęła pojawiać się przed nimi jakaś mgła, szybko przybierając materialny kształt. Sekundę później pomiędzy czworgiem przyjaciół stał potężny demon, a przynajmniej ich nikła wiedza w tym temacie pozwalała wnioskować, iż

może to być właśnie demon. Owe stworzenia, zwane tannarami, były dość znane w krainach Shadeheven. Czasem szaleni i źli magowie bądź skorumpowani obietnicą potęgi przyzywali te istoty, pragnąc wykorzystać ich moc. Niektóre z nich były małymi, mało inteligentnymi stworami, inne sprytnymi, śmiertelnie niebezpiecznymi i potężnymi stworzeniami chaosu, pochodzącymi z samych Otchłani Piekielnych. Tannar, który zmaterializował się pomiędzy towarzyszami, należał do grupy błyskotliwych i sprytnych demonów. Wielka, muskularna postać dotykała głową wykutego stropu, co uniemożliwiało jej całkowite wyprostowanie się. Szeroki w barkach, zajmował znaczną część tunelu. Posiadał dwie pary ramion, z czego jedna była zakończona dłońmi o długich i nieprzyjemnie wyglądających szponach, a druga miała na końcu ostre szczytce. W przypominającej psi łeb głowie tkwiły niesamowicie bystre, fioletowe oczy, a skóra na całym ciele miała rdzawy kolor. Istota była zwrócona przodem do Adiego, który wciąż dzierżył księgę z wyrazem osłupienia na twarzy.

Towarzysze zdali sobie sprawę, w jak niefortunnej sytuacji właśnie się znaleźli, jednak nie tracili nadziei. Stwór stał prawie nieruchomo, jedynie lekko poruszając ramionami.

- Magu, chcesz współpracować z istotą Otchłani Piekielnych? - usłyszeli niski głos, który jednak nie wydobył się z ust tannara. Podróżnicy zrozumieli, iż głos rozbrzmiał w głowie każdego z nich.

- Nie wzywałem cię tutaj, demonie - odparł niepewnie Adi, patrząc z obawą na istotę i próbując powstrzymać drżenie głosu.

- Dzięki mnie możesz zyskać moc, potęgę, o jakiej wielu jedynie marzy i której nie zdobędziesz bez mojej pomocy - kuśił tannar, wciąż używając telepatii do komunikacji.

- Nie chcę twojej potęgi - odpowiedział czarodziej, rzucając szybkie spojrzenie na stojącego z boku półelfa.

- Wracaj do Otchłani! - warknęła elfka, posyłając na boki krótkie spojrzenia. Nigdzie nie dostrzegła Culchie, wyglądało to tak, jakby kobieta zniknęła. A może uciekła, widząc nagły obrót sytuacji, i porzuciła swych przyjaciół, by ratować własną skórę?

Tropicielka rzuciła się do przodu, wykonała zgrabnie kilka przewrotów, dzięki którym pokonała odległość dzielącą ją od dwóch mężczyzn, i stanęła pomiędzy nimi.

- Pomyśl mądrze, magu. Te marne istoty nie pomogą ci osiągnąć władzy i potęgi. - Ciąg obietnic nie ustawał. - Z moją pomocą zdobędziesz to, o czym marzysz. A nawet więcej. Każdy mag, którego spotkasz, będzie ci zazdrościł, ale nie dorówna ci. Twe imię będzie znane wszędzie. Możesz to wszystko mieć...

- Koniec tego! - rzuciła Thali, wbijając swe spojrzenie w tannara. - Twoje obietnice niczego nie zmienią.

Chociaż kobieta wypowiedziała te słowa pewnym głosem, nie była całkowicie pewna, czy jest to prawda. Jej znajomość z czarodziejem oraz pozostałymi wciąż była dość krótka, jednak musiała prawdziwie wierzyć, że rzeczywiście

może zaufać ludzkiemu chłopakowi, a ten ich nie zdradzi dla obietnic demona. Ich siła leżała we wzajemnym zaufaniu i tym, że pomimo wszelkich przeciwności będą trzymać się razem.

Demon warknął gardłowo, kłapiąc przy tym ostrymi kłami wystającymi z pyska. Zamachnął się jedną z łap zakończonych szczypcami i wymierzył cios z boku w elfkę, która go rozdrażniła. Dzięki szybkiemu odskokowi kobieta uniknęła ataku, jednak ostrze szczypiec zahaczyło o półelfa stojącego nieopodal. Wojownik zareagował zbyt późno. Nie miał szans na jakąkolwiek próbę obrony, silny cios uderzył w niego, rozciął mu prawe ramię i odrzucił mężczyznę w tył. Luźne kamienie pod nogami jedynie pogorszyły sytuację półelfa, przez co stracił równowagę i wylądował twarzą na ziemi.

Towarzysze uznali, że jest już za późno na jakiegokolwiek negocjacje, gdyż tannar rozpoczął walkę, postępując krok w stronę przeciwniczki. Gdy istota wyciągała ramiona w jej kierunku, w lochu rozległ się cichy, gorączkowy szept młodego czarodzieja. Książka leżała u jego stóp, a on wykonywał gesty dłońmi i sekundę później dwa niewielkie ogniste pociski uderzyły w bok stwora i chociaż nie poczyniły większych, widocznych obrażeń, ich siła odepchnęła istotę Otchłani na bok, pod jedną ze ścian. Tannar ponownie zawarczał gniewnie i w ich głowach odezwał się ten sam niski głos, wywołujący ciarki na plecach:

- Nie stawiaj oporu, czarodzieju! Ofiary są konieczne, ale ty wciąż możesz mieć potęgę i życie.

Thalianna, widząc, co się przed chwilą wydarzyło i słysząc słowa demona, uśmiechnęła się lekko rada, że czarodziej nawet się nie zawahał, przeciwstawił się temu stworzeniu chaosu i jednocześnie opowiedział po stronie przyjaciół. Nie zamierzał ich zdradzić.

Dopiero teraz mały obłąkany goblin wbił spojrzenie swych żółtych ślepi w tannara, który stał tuż przed nim. Wcześniej był pochłonięty swą monetą do tego stopnia, że nawet nie zauważył pojawienia się nowego intruza. Pisał przeraźliwie:

- Nie dostaniesz skarbu!

Oczywiście jego wrzask przykuł uwagę demona, który bez chwili wahania szybkim ruchem szczypiec pochwycił małego goblina za szyję i uniósł stworzenie na wysokość swojej piersi. Przyglądał mu się chwilę, po czym błyskawicznie zacisnął szczypce i pozbawił goblina głowy. Łeb pacnął o posadzkę i potoczył się na bok, zostawiając krwawy ślad; w pobliżu stóp demona leżała pozostała część ciała, a drobna zielonoskóra dłoń wciąż była kurczowo zaciśnięta na złotej monecie.

- Skończysz tak samo, elfko - oznajmił telepatyczny głos.

Adi znajdował się w trakcie rzucania kolejnego zaklęcia, gdy tannar spokojnie podszedł do bezbronnej tropicielki i próbował ją pochwycić. Chociaż istota Otchłani miała cztery ramiona, elfka zwinnie umykała każdej łapie

swego przeciwnika, miarowo odskakując do tyłu. Jednak szczęście nie mogło jej dopisywać wiecznie - za nią znajdowała się już jedynie sterta kamieni i trochę dalej kątem oka dostrzegła leżącego oszołomionego półelfa. Był całkowicie wyłączony z walki.

Kolejny zamach istoty Otchłani okazał się skuteczny i demon w końcu zdołał pochwycić swą ofiarę. Ostre szczytce zraniły skórę na szyi kobiety, powodując lekkie krwawienie. Kiedy potężne ramię uniosło się do góry, elfka mogła poczuć wzmocniony uścisk na szyi, utrudniający jej każdy kolejny oddech.

W chwili pochwycenia kobiety czarodziej ukończył inkantację kolejnego czaru z ognistą kulą, jednak nie wypuścił jej, wiedząc, że taki atak mógł jedynie pogorszyć sytuację towarzyszkii, której powoli zaczynało brakować powietrza... Mężczyzna był bezradny, niewiele mógł uczynić i ta myśl nieznośnie ciążyła mu na sercu. Galandir był niemalże nieprzytomny i nie miał pojęcia, co się dzieje wokół. Culchie zniknęła bez śladu, gdy pojawił się demon, a Thalianna miała zaraz umrzeć...

I właśnie wtedy dostrzegł skradającą się postać, poruszającą się szybko i cicho przy lewej ścianie tunelu. Culchie! A jednak dziewczyna wcale nie uciekła! Przez szok wywołany nagłym pojawieniem się tannara chłopak nie miał zbyt wiele czasu, by zastanawiać się, czy ich ludzka towarzyszka rzeczywiście ich porzuciła czy też nie. Młodzieniec poczuł nagły przyływ nadziei i otuchy, jednak

powstrzymał uśmiech radości cisnący mu się na usta i pozostał nieruchomo, obserwując rozwój sytuacji.

W tym czasie kobieta, dzierżąc w dłoni swój sztylet, podkradła się do pleców demona i szybkim, mocnym ruchem zatopiła ostrze aż po rękojeść w miejscu, gdzie większość humanoidów posiadała serce. Seria zdarzeń, która nastąpiła, trwała nie dłużej niż mrugnięcie oka. Wojowniczką odskoczyła do tyłu, pozostawiając sztylet wbity w ciało istoty, i przyglądała się jej z dostrzegalnym strachem w oczach. Jednocześnie szczypce, które dusiły elfkę, rozwarły się i tropicielka upadła, mocno uderzając o kamienie i objając się boleśnie. Łapczywie zaczerpywała każdy kolejny oddech, przytykając dłonie do obolałego i poranionego gardła. Natomiast sam tannar znieruchomiał, a jego potężne ciało zaczęło drżeć i robić się niewyraźne, po czym rozpląnęło się w magiczną mgłę, z której się zmaterializował i w końcu zniknęło. Sztylet upadł z brzdękiem na kamienne podłoże, a czworo towarzyszy stało w całkowitym osłupieniu.

Culchie, szybko otrząsnąwszy się z zaskoczenia, podbiegła do rannej elfki i pomogła jej wstać. Szyja tropicielki była pokryta krwią, jednak cienkie, czerwone rozcięcia pod obu stronach były dość płytkie. Krew w końcu przestała się sączyć z ran.

- Uratowałaś mnie... - Thali zwróciła się do kobiety mocno ochrypniętym głosem, a migdałowe oczy były szeroko otwarte w wyrazie zdumienia. Jednak wolna dłoń

tropicielki podążyła w stronę ręki dziewczyny i uściśnęła ją z wdzięcznością.

- Jesteśmy drużyną - odparła jedynie tamta i odwzajemniła uścisk. - To chyba właśnie na tym polega? By jedno ratowało tyłek drugiemu, kiedy zajdzie taka potrzeba. Wy zrobiliście to samo dla mnie. Adi, co z Galandirem?

Podczas gdy Culchie pomagała elfce, chłopak podszedł do wojownika wciąż leżącego na kamieniach i sprawdził jego stan. Półelf wciąż był oszołomiony i chociaż nie miał żadnych poważnych ran na ciele, uderzenie głową w coś twardego i wstrząs sprawiły, iż był zdezorientowany - potrzebował trochę czasu, by dojść do siebie. Kiedy czarodziej pomagał mu wstać, rzucił do kobiet uspokajająco:

- Nie jest zbyt ranny, ma jedynie lekkie rozcięcie na ramieniu, ale chyba mocno uderzył się w głowę i to go skołowało. Thali, a co z tobą?

- Przeżyję - odparła ochryplym szeptem. Podczas swej wieloletniej egzystencji przeżyła już gorsze rzeczy niż spotkanie z demonem, gdy jednak tannar wyciskał z niej życie, była niemalże pewna, że tym razem nie wywinie się śmierci.

- Dobra, wynośmy się stąd - zarządziła czarnowłosa wojowniczką, odgarniając niesforny lok z twarzy i zatykając go za skórzaną przepaskę na głowie. - Może tym razem ja wezmę księgę, bo zdaje się, że ty, Adi, masz jakieś

niepokojące skłonności do wywoływania stworów prosto z Otchłani.

- To nie ja! - zaprzeczył ostro chłopak. - To tak samo z siebie.

- Ach, później będziemy się tym martwić. Ruszajmy.

- Culchie, Adi. Chcę was przeprosić... - wychrypiała już w drodze Thalianna, ściągając na siebie uwagę towarzyszy.

- Głupio mi, że w ogóle mogłam tak pomyśleć, ale... Ale kiedy demon zaczął ci składać te wszystkie obietnice, Adi, był taki moment, gdy pomyślałam, że odwrócisz się od nas i przystaniesz na jego propozycje...

- Owszem, chętnie bym się nauczył czegoś więcej na temat magii, którą władam, ale nie jestem aż tak chciwy. Błędy z przeszłości uczą. Nie chciałbym stracić was tylko dlatego, że zapragnąłem stać się potężnym czarodziejem. Nie jestem aż tak głupi, Thali - odparł spokojnie chłopak, posyłając elfce lekki uśmiech, jednak w jego oczach był dostrzegalny smutek.

- Culchie, ciebie też przepraszam - kontynuowała tropicielka przyciszonym, charczącym głosem. - Kiedy pojawił się ten demon, ty zniknęłaś gdzieś bez słowa. Myśl, że nas porzuciłaś w tak krytycznej chwili, sama pojawiła się w mojej głowie. Chociaż miałam moment, w którym pojawiło się chwilowe zwątpienie co do waszej lojalności, naprawdę pragnęłam wierzyć, że to tylko iluzja. Kłamstwo... Naprawdę mi przykro.

- Nic się nie stało. Zresztą nie ma o czym mówić. Co było, to było i należy już do przeszłości - rzuciła

niebieskooka, jak zawsze zachowując kamienny wyraz twarzy.

Przyjaciele kierowali się drogą powrotną przez opuszczone tunele do biblioteki. Wędrówka znowu się dłużyła, jednak w końcu dotarli do schodów prowadzących na górę. Nie chcąc zostawiać za sobą tak oczywistych śladów, umiejscowili drzwi we framudze. Niewiele to dało, ale przynajmniej wejście nie było aż tak widoczne na pierwszy rzut oka.

Culchie od razu po walce schowała swój sztylet do cholewki buta. To dzięki jej przyzwyczajeniu z poprzedniej profesji, by zawsze mieć przy sobie ostrze, przeżyli nieoczekiwane spotkanie z niebezpiecznym tannarem. Kobieta czuła się pewniej, będąc świadoma, że ostrze sztyletu spoczywa ukryte w bucie, a ona w każdej chwili może po nie sięgnąć.

Ponieważ nie dostrzegli nikogo w zasięgu wzroku, sami udali się na górę do wyjścia. Pod ścianą w skrzyni wciąż spoczywała ich broń, toteż zabrali ją i nie czekając dłużej, opuścili Wieżę Wieków. Kiedy oddalili się od biblioteki na odległość około jednej mili, tropicielka i wojownik czuli się już lepiej, choć zdobyte sińce i drobne rany miały się leczyć jeszcze przez długi czas. Jednak takie obrażenia nie stanowiły zbyt wielkiej przeszkody w podróżowaniu. Spoglądając w niebo, ocenili, iż pozostała im ponad godzina do zapadnięcia zmroku.

- Zamierzamy się zatrzymać gdzieś na noc czy idziemy dalej? - spytała Culchie, spoglądając wyczekująco na

przyjaciół. – Powrót do Orstlake zajmie około trzech godzin, no i wygodniej i bezpieczniej by się nam odpoczywało w karczmie.

– No to chodźmy – odparła Thali. – Myślę, że po dzisiejszym dniu każdy z nas zasługuje na chociaż jedną spokojną noc w ciepłym łóżku. Adi, jak zapadnie zmierzch, to wyczaruj jedną ze swoich kul, będzie nam się łatwiej podróżowało.

Przyjaciele podjęli dalszą podróż zdeterminowani, by dotrzeć do karczmy, gdzie będą mogli odpocząć...

Obudzili się późnym rankiem. Słońce zdążyło już wstać i jego promienie wpadały przez oszronione okno do karczemnego pokoju. Wydarzenia poprzedniego dnia zdawały się zaledwie nieprzyjemnym snem, jednak fioletowe sińce i krwawe szramy wyraźnie przypominały im, iż walka z istotą chaosu i wizyta w Wieży Wieków były jak najbardziej prawdziwe.

Zebrawszy swój ekwipunek, wypoczęci opuścili karczmę i udali się do siedziby magów. Oczywiście ponownie powtórzył się cały proces z młodzieńcem prowadzącym ich do komnaty Sylvanossa i zapowiadającym ich przybycie. Ludzki mag spojrzał na nich dość wyniośle, jak to najwyraźniej miał w zwyczaju, gdy weszli do jego komnaty i zamknęli za sobą drzwi. Culchie wyjęła z plecaka księgę i położyła ją na brzegu okrągłego stołu.

- Chyba o to chodziło? - spytała, ponownie przybierając chłodny ton.

Mężczyzna podszedł do tomu i przyjrzał mu się dokładniej, nie dotykając go. Następnie skierował się w stronę, gdzie była wolna przestrzeń, a na podłodze widniał wyrysowany kredą krąg z dziwnymi znakami wkoło.

- Mogłabyś mi podać księgę? - spytał Sylvanoss, ustawiając się w środku kręgu i spoglądając pytająco na kobietę.

- Nie mogłeś zabrać jej tam ze sobą? - warknęła wojowniczką, zezłoszczona zachowaniem maga i tym, że traktuje ją jak służącą.

- Nie jestem głupcem, by ryzykować dotykaniem takiej księgi poza kręgiem.

Kiedy nikt się nie odezwał, a miny towarzyszy wyraźnie wskazywały, że nie mają pojęcia, o co chodzi magowi, ten podjął na nowo:

- To jest księga planarna. Zawiera wiedzę na temat innych planów, znajdujących się poza tym, na którym my żyjemy. Czasem istnieje ryzyko, że kiedy mag dotknie takiego przedmiotu, nie znajdując się w specjalnym magicznym kręgu ochronnym, jakaś istota z któregoś z opisanych tu planów może objawić się, nawet jeśli nie była wzywana.

- Szlag by cię! - zawołał Adi, przerywając mu. - Kiedy trzymałem księgę, ta zaczęła drżeć w pewnym momencie i rozgrzała się, a potem pojawił się ten cholerny demon! Czy ty zdajesz sobie sprawę, że moi przyjaciele niemalże

tam zginęli, a demon chciał ze mną współpracować?! A to dlatego, że nic nie wspomniałeś na ten temat!

- A niech to... - mruknął Sylvanoss nieco zbity z tropu. - Gdybym wiedział, że jesteś magiem, młodzieńcze, na pewno bym was ostrzegł. Wybaczcie mi moją pomyłkę.

- Na szczęście Culchie zabiła go, jedynie dzięki temu jesteśmy tu dziś z księgą - wtrąciła tropicielka już swym normalnym, melodyjnym głosem.

- Zabiła? Och, nie, istot z Otchłani nie da się tak łatwo zabić - wyjaśnił mag. - Można je wygnać. Wtedy ich ciała znikają i wracają na ojczysty plan. Przez jakiś czas nie mogą opuścić swego planu. Dopiero po upływie tego czasu mogą zostać przyzwane ponownie.

Po uzyskanych wyjaśnieniach Culchie podała mężczyźnie odnalezioną księgę planarną. Po krótkiej chwili oglądania mag położył ją na drewnianej podłodze wewnątrz kręgu i podszedł do jednej z szafek pod ścianą.

- Proszę, to wasze wynagrodzenie, tak jak obiecałem. - Wręczył im ciężką, wypchaną i pobrzękującą sakiewkę. - Naprawdę przykro mi, że was nie ostrzegłem. Jeśli macie jeszcze jakąś prośbę, to mówcie. Chętnie uczynię, co będę mógł, by wam zadośćuczynić.

Towarzysze spojrzeli po sobie niepewnie nieco zaskoczeni zmianą zachowania Sylvanossa. Już nie traktował ich z taką obojętnością i wyższością. W końcu odezwał się Adi:

- Sylvanossie, dzięki znajomościom naszego przyjaciela, pewien mag przeteleportował nas ze Scabard aż pod mury

Orstlake. Czy mógłbyś zrobić to samo, odsyłając nas do któregoś z trzech miast Doliny Harshdell?

- Myślę, że to nie będzie stanowiło większego problemu. Jestem w stanie stworzyć przejście do Thornstead.

- Wspaniale - uznała Thali. - W takim razie taka jest nasza prośba.

- No dobrze, a więc jesteście już teraz gotowi na powrót?

- Tak - odparli zgodnie.

Sylvanoss wyczarował magiczny portal. Po szybkim pożegnaniu podróżnicy weszli po kolei w portal i już po kilkunastu sekundach stali na ośnieżonej ulicy Thornstead, tuż obok bramy miejskiej.

Ku swemu szczęściu i radości natrafili na wóz kupiecki, który miał niebawem zmierzać do Fallkrik. Zapłacili kupcowi, by zabrał ich ze sobą i w taki sposób dotarli do niewielkiego, spokojnego miasteczka już następnego dnia. Był późny wieczór, a ciemności otaczały ich z każdej strony. Bezzwłocznie udali się do dobrze znanej i jedynej gospody zwanej Gwiżdżącą Szubienicą, gdzie mieli nadzieję zastać swego przyjaciela, zjeść porządny posiłek oraz wypić trunek w dobrym towarzystwie.

Ponieważ półelfi bard często spędzał swój czas w tej karczmie, towarzysze od razu dostrzegli go siedzącego i rozmawiającego przy kontuarze z karczmarzem. Gdy drzwi za nimi trzasnęły, pozostawiając ziąb i śnieg na zewnątrz, bard również ich zauważył i uniósł rękę

w powitalnym goście. W piątkę zajęli wolny stolik, zamówili ciepły posiłek oraz wino i kiedy już napełnili swe brzuchy, opowiedzieli bardowi, co ich spotkało podczas tej wyprawy. Culchie położyła na stole sakiewkę, którą otrzymali od Sylvanossa.

- Co do wynagrodzenia - zaczęła, poklepując skórzany miasek - to trochę już wydaliśmy na zapłatę dla kupca, z którym tu przyjechaliśmy. Ale reszta...

- Nie, nie - przerwał jej Grid, unosząc ręce. - To wam się należy. Każda złota moneta.

- Skąd taka nagła zmiana, Gridzie? - zaśmiała się elfka, popijając trunek z kielicha.

- Miałem czas na przemyślenia - odparł. - Uznałem, że już najwyższy czas, by ruszyć dalej.

- Zamierzasz opuścić Fallkrik? Kolejna wyprawa czy tym razem na dobre? - spytał Adi z zainteresowaniem.

Półelfi bard spojrzał powoli na każdego i odparł ze smutnym uśmiechem:

- To nie ja udaję się w dalszą podróż, lecz wy, moi drodzy.

- Ale... - zaczął Galandir, jednak Grid kontynuował.

- Moja część zadania została już wykonana. Wskazałem wam drogę. Zaoferowałem wędrowną jako sposób na zmianę życia. Ja już nic więcej tutaj nie uczynię poza ofiarowaniem wam swej przyjaźni, ale wy musicie iść dalej. W końcu o to właśnie chodziło, prawda? Fallkrik jest jedynie krótkim przystankiem w długiej podróży, ale to nie jest wasze miejsce. Jeszcze wiele musicie się nauczyć.

Zrozumieć siebie i w końcu pogodzić się z tym, co wydarzyło się w waszej przeszłości i co was tu sprowadziło.

- Ale Gridzie... - zaczęła Culchie.

- Culchie, przez ten czas wspólnej podróży zbliżyliście się do siebie, prawda? Zaczęliście darzyć się zaufaniem, przyjaźnią. A to jest coś, co trzeba docenić i o co musicie dbać każdego dnia. Zazwyczaj to, co zdobywamy przez tak długi czas, łatwo jest stracić.

- To prawda - odezwał się Adi, ściągając na siebie uwagę pozostałych. - Grid wskazał nam drogę i to, co nas tam czeka. To jest dopiero początek podróży. Wszystko jeszcze przed nami.

- Jeśli kiedyś będziecie chcieli tu wrócić lub odwiedzić mnie, to z chęcią was przyjmę - zapewnił ich bard. - Jednak każdy musi odbyć swoją podróż, przyjaciele. No, wystarczy tego. Jutro też jest dzień. Tymczasem cieszymy się jeszcze winem, spokojem i dobrym towarzystwem. Gdy odzyskacie siły, nadejdzie czas pożegnań i decyzji.

I w takiej atmosferze minęło kilka następnych dni i tygodni, w czasie których przyjaciele zbierali siły i odwagę na podjęcie dalszej drogi i porzucenie bezpiecznej, wygodnej przystani, jaką stało się dla nich Fallkrik.

Gdy zima nieco złagodniała, nadszedł czas ich wielkiej wyprawy. Pożegnali się z Gridem i ruszyli we czworo w nieznane. Nie mieli pojęcia, dokąd mają się udać. Po prostu skierowali się przed siebie, gdzie ich stopy poniosą, gdyż tak naprawdę cel wędrówki nie był istotny. Liczyło się samo wędrowanie w towarzystwie oddanych przyjaciół.

Wiedzieli, że cokolwiek się stanie, stawią czoła wyzwaniu razem.

8. Przewaga liczebna

SŁOŃCE NIEUCHRONNIE CHYLIŁO SIĘ ku zachodowi, powoli znikając za czubkami gór Naert. Kilka mil od wierzchołka, na którym zatrzymała się grupa podróżników, znajdowała się wioska. Usytuowana była w niewielkiej dolinie, osaczona górami z lewej strony, natomiast z drugiej płynęła rwąca i ciężka do przeprawy rzeka Giron. Jedyną rozsądną decyzją była podróż na zachód, aż do Sulindal. Oczywiście w okolicy można było znaleźć jakąś niewielką wioskę liczącą nie więcej niż parę setek mieszkańców, jednak nie było ich zbyt wiele.

Narrow Waters – tak zwała się wioska, która przykuła uwagę wędrowców. Wszelkie poszlaki wskazywały, iż właśnie w tym miejscu znajduje się poszukiwany przez nich przedmiot. Niejaka Lady Sereene z Silvenmoor zwróciła się do nich z prośbą o odzyskanie naszyjnika, który był jej własnością. Ponieważ był to magiczny wisiorek, nie chciała, by dostał się w niepożądane ręce, które najpewniej wykorzystająby go do niecznych planów.

- Gdzież ona się podziewa?! - Podenerwowany młodzieniec przechadzał się w tę i z powrotem, cały czas wykręcając palce.

- Adi, uspokój się. I zostaw w końcu te palce! Jeszcze je sobie połamiesz i jaki będzie z ciebie pożytek? - odparł spokojnym głosem półelf o srebrzystych włosach i szarych oczach błyskających w ostatnich promieniach słońca. W porównaniu do swego towarzysza był całkowicie odprężony. Wyciągnięty na ziemi porośniętej trawą opierał się o swój plecak, a uśmiezek rozświetlał jego twarz.

- Galandir ma rację - odezwała się niebieskooka kobieta dość chłodnym tonem. - Zresztą Thalianna z nas wszystkich najlepiej wie, jak sobie radzić w takim terenie. Niebawem wróci ze zwiadu, a wtedy podejmiemy decyzję co dalej. Tymczasem rozkoszuj się chwilą odpoczynku, przyjacielu.

- Ha! Łatwo wam mówić! Ty, Galandirze, jesteś półelfem, więc takie czekanie niczego dla ciebie nie zmienia. A ty, Culchie... Ach, ty też jesteś jak cholerny elf, więc zdaje się, że cierpliwość leży w twojej naturze.

Odpowiedział mu tylko śmiech dwojga towarzyszy oraz ich szczere uśmiechy. Podczas gdy Adi na nowo chciał podjąć ciąg swych narzekań, kobieta o czarnych lokach i błyszczących niebieskich oczach zerwała się na równe nogi i chwyciła załadowaną kuszę.

- Óóóó. - Gestem wskazała, by reszta zachowała ciszę. - Ktoś idzie.

I nim zdążyli uczynić coś więcej, na polankę szybkim krokiem wkroczyła elfka, niemalże ciągnąc za sobą pojękującego humanoidalnego osobnika. Początkowo były to jedynie jęki, jednakże szybko zmieniły się w gardłowe dźwięki, w których niektórzy rozpoznali mowę goblinów. Szybki kopniak w zębra, wykonany przez elfkę, sprawił, że stwór jęknął przeciągle i zamilkł, kuląc się strachliwie.

- No nare... - Adi zaczął radośnie, jednak nie było mu dane dokończyć.

- Uwierzycie, że się z nim tak męczyłam przez całą drogę? - Thalianna westchnęła, puszczając więzy goblina, ale wciąż trzymała swój miecz na jego karku. - Wyjątkowo gadatliwy, szkoda tylko, że nie na temat, który nas interesuje.

- Thali, po co ci ten goblin? Zdaje się, że miałaś iść na zwiad pobliskiej wioski, a nie polować na zielonoskórych - wtrącił z przekąsem czarodziej.

- Otóż tak się składa, że te dwie rzeczy mają ze sobą wiele wspólnego. Tak jak ustaliliśmy, ruszyłam w okolice Narrow Waters, ale po drodze, bardzo niedaleko wioski, natknęłam się na kilkusobową grupkę goblinów. Nie wyglądało na to, by te tchórzliwe bestie przemykały z cienia w cień, jak to mają w zwyczaju. To był patrol sprawdzający okolice. Zresztą już wcześniej coś mi nie pasowało w tym miejscu. O tej porze w wiosce powinny jeszcze świecić się lampy, a jednak Narrow Waters było pogrążone w ciemności, nie licząc kilku niewielkich ognisk.

- A niech mnie, to nie brzmi zbyt obiecująco - Galandir mruknął posępnie, podnosząc się.

- Niestety masz rację. Szybko wyeliminowałam niewielki patrol i zabrałam tego tutaj ze sobą - głową wskazała pojękującego cicho na ziemi goblina. - Po drodze próbowałam coś z niego wyciągnąć, ale do tej pory dowiedziałam się tylko, że jest ich w okolicy więcej. Niestety nie znam konkretnej liczby ani nie wiem, gdzie dokładnie stacjonują. Jednak obstawiam, że w jakiś sposób oblegli Narrow Waters i tam znajdują się ich główne siły.

- Oblężenie? - głos Culchie wyrażał czyste powątpiewanie. - Ta wioska liczy kilkaset mieszkańców, dwustu, może nawet trzystu. Owszem, nie jest to zbyt wiele, ale pomyślcie racjonalnie. W jakiej sile gobliny musiałyby przybyć, by przejąć taką wioskę?

- No na pewno nie było to jedno plemię. Gobliny to wyjątkowo tchórzliwe stwory, nigdy by nie zaatakowały, nie mając przewagi liczebnej. Chyba że zostały do tego zmuszone i nie były w stanie wykręcić się od wykonania rozkazu. Mimo wszystko, ja bym obstawiał, że uznały Narrow Waters za łatwy łup i dogodną siedzibę. Jeśli wioska liczy do trzystu mieszkańców, to musiało być około czterech setek zielonoskórych. Wieśniacy na pewno próbowali się bronić, przynajmniej część z nich, więc gobliny musiały ponieść jakieś straty. - Galandir przerwał na chwilę, z zamyśleniem spoglądając na goblina, którego przyciągnęła elfka.

- Ale to wciąż nie wyjaśnia nam, ilu z nich przetrwało i siedzi tam teraz.

- Culchie ma rację. Thali, może udało ci się dowiedzieć czegoś więcej? - Adi skierował spojrzenie orzechowych oczu na elfkę, jednocześnie co jakiś czas poprawiając nerwowo swe luźne odzienie.

- Przykro mi, ale nie. Wybiłam wszystkich z patrolu, oprócz tego jednego, ale nie chciałam ryzykować podkradania się z nim bliżej. Sami rozumiecie. Zostawić go też nie mogłam, jeszcze by bestia zwała. Miałam nadzieję, że Galandir mi pomoże wyciągnąć z niego jakieś informacje. Galandirze?

- No cóż, chyba nie pozostaje nam nic innego.

- Ponieważ nie pomogę wam zbyt z bulgotaniem w tym śmiesznym języku, poszukam jakiegoś drewna na ognisko. Zdaje się, że trochę tutaj pokoczujemy. - Culchie uśmiechnęła się krzywo z niesmakiem. - Oblężenie... Ach, Adi, chodź. Ty tutaj też nie przydasz się w chwili obecnej. Może wreszcie zrobisz jakiś użytek z tych dłoni, hę?

- Bardzo zabawne, Culchie - odparł kwaśno chłopak. - Bez tych dłoni i magii, jaką potrafią czynić, już dawno byś leżała na ziemi, nie wiedząc, co masz przed sobą. Może i masz elfią cierpliwość, ale nie zauważyłem, by twój wzrok był równie elfi.

- Dobra, dobra, spokój już tam. Idźcie, tylko nie oddalajcie się zbyt daleko. - Thalianna pogoniła towarzyszy.
- No to do roboty.

Mówiąc to, pochyliła się i podniosła goblina do pozycji siedzącej. Thali i Galandir jako jedyni znali mowę gobliną dostatecznie dobrze, by móc działać. Podczas gdy para ludzi zajmowała się rozbijaniem obozu i rozpalaniem ogniska, pozostali dwoje starali się wydobyć więcej informacji od swego jeńca. Nie szczędzili gróźb i szturchnięć, jednak starali się nie pozbawiać stwora przytomności. Działając razem, po godzinnym i nużącym przesłuchaniu Galandir podniósł się z ziemi i rzucił towarzysze kawałek szmatki, by zakneblować goblina.

- Chyba nic więcej już z niego nie wyciągniemy - mruknął, kierując się w stronę pozostałych dwojga, czekających przy niewielkim ognisku.

Thalianna zostawiła zielonoskórego zakneblowanego i związanego tak, że nie miał najmniejszych szans na ucieczkę i dołączyła do pozostałych.

- Cholera by wzięła to paskudztwo - warknęła poirytowana.

- No i? Czego się dowiedzieliście? - Culchie spytała dość zaintrygowana, spoglądając z oczekiwaniem na towarzyszy.

- Wiemy na pewno, że gobliny nie działały z własnej woli. Ten tutaj mówił coś o szamanach, którzy wykonywali jakieś magiczne rytuały, a po nich nawet ci, którzy nie chcieli najechać na wioskę, nagle zmienili zdanie - tropicielka zaczęła tłumaczyć powoli.

- Owszem - dodał Galandir. - Jednak my nie jesteśmy zbyt przekonani, by goblinscy szamani byli na tyle potężni,

żeby dokonać czegoś takiego na większą skalę. Podejrzewam, że ci szamani swymi magicznymi sztukami mogli jakoś przypadkiem odnaleźć połączenie z tym magicznym naszyjnikiem w wiosce. Wiemy, że ten naszyjnik w niepowołanych rękach może przynieść wiele zła. Na bardziej inteligentną rasę wpływa znacznie mniej. Jak pamiętacie, ma tylko niewielki wpływ na decyzje osoby, przeciwko której jest używany. Ale zdaje się, że nawet z takiej odległości mógł dosięgnąć i zatruć słabe umysły goblinów, więc postanowiły przejąć wioskę i znaleźć tam to, co je tak przyciągało.

- Chwila - wtrącił Adi. - Czyli w jakiś sposób ten naszyjnik ściągnął do wioski hordę goblinów? A dowiedzieliście się, ilu ich tam może być?

- Tak, dobrze zrozumiałeś, Adi - odparła elfka niezbyt uradowana. - Naszyjnik zadziałał jak gigantyczny magnes. Swoją drogą, ciekawe, czy Lady Sereene miała pojęcie o takich właściwościach swej błyskotki. Ale wracając do pytania, obstawiamy, że w Narrow Waters może być wciąż ponad setka goblinów, może nawet około stu pięćdziesięciu. Część zginęła, część gdzieś rozpiezchła się tuż po walce. Wiemy, że jest to zbiorowisko wielu plemion zebranych w jednym celu: by się wzbogacić. Ale ciężko określić, ilu osobników może liczyć poszczególne plemię.

- Nawet jeśli tak jest, to nie sądzicie, że półtorej setki na nas czworo, to nieco za dużo? - zakpiła Culchie, przypominając towarzyszom o przewadze liczebnej wroga i sprowadzając ich z powrotem na ziemię.

- Dlatego musimy działać roztropnie - odrzekł półelf. - Wciąż mamy przewagę zaskoczenia i jeśli obmyślimy odpowiedni plan, może nam się udać wykonać zadanie bez długiej walki z tą hordą. Chociaż i tak trzeba będzie zawiadomić najbliższy garnizon o tutejszych kłopotach.

- No więc, jakieś pomysły? - Adi nie był ani trochę uradowany na myśl, że mają niebawem wkroczyć do wioski pełnej zielonoskórych. - Jakiegokolwiek?

- Można by wysłać kogoś z nas po posiłki do Sulindal albo Silvenmoor, chociaż to i tak w najlepszym przypadku kilka dni wędrówki, dniem i nocą.

- Nie, Galandirze - zaproponowała Culchie, kręcąc głową. - To nie ma sensu. Rozdzielanie się w tych terenach jest zbyt niebezpieczne. Poza tym przez ten czas pozostali i tak musieliby czekać.

- Hmm, ona ma trochę racji - dodała elfka.

- Ależ oczywiście, że mam. Nawet nieco więcej niż trochę - parsknęła niebieskooka kobieta.

- Oj, daj już spokój - mruknęła Thalianna i na nowo podjęła: - Tutaj musimy działać sami. Widzę dwie opcje. W pierwszej dostajemy się do Narrow Waters po cichu i dyskretnie przeszukujemy wioskę, aż znajdziemy naszyjnik, a potem szybko wynosimy się z tego miejsca. Natomiast druga opcja przewiduje narobienie wielkiego hałasu - tutaj, Adi, twoje płonące kule byłyby bardzo przydatne. Przy odrobinie szczęścia może komuś z nas udałoby się dostać do środka w tym zgiełku. Wtedy ci

z zewnątrz musieliby odwracać uwagę zielonoskórych. No ale kłopot w tym, że jest ich wielu. Zbyt wielu.

- Oba plany wymagają odrobiny szczęścia, a na to już nie mamy wpływu - jęknął młody czarodziej, wykręcając palce.

Podczas gdy podróżnicy pogrążyli się w rozmyślaniach, szukając najlepszego rozwiązania, w obozowisku zapanowała niemalże niezmacona cisza, w której co jakiś czas były słyszalne pojękiwania i gardłowe warkoty goblina, tłumione przez knebel, oraz trzask palącego się drewna w ognisku. Noc była już późna, na niebie zdążyły pojawić się gwiazdy, jednak w większości było ono przykryte gęstymi i ciemnymi chmurami.

Po dłuższym czasie ciszę przerwał niepewny głos czarodzieja:

- Myślę, że nikt nie wpadnie już na lepszy pomysł niż zakradnięcie się do wioski po zmroku. W końcu zielonoskórzy też muszą sypiać, no nie? A jeśli coś pójdzie nie tak, mogę wyczarować kilka swych kul ognistych, żeby wywołać dostateczne zamieszanie i stworzyć nam szansę na ucieczkę. No i dostanie się do wioski też nie stanowi zbyt wielkiego problemu, nie jest otoczona nawet najprostszą palisadą.

- Myślę, że to rzeczywiście najlepsze rozwiązanie - dodał półelfi wojownik. - Mnie również nie przychodzi do głowy lepszy pomysł. Thalianno? Culchie? Co wy na to?

Kobiety zgodnie skinęły głowami, po czym elfka zadała kluczowe pytanie:

- Kiedy zamierzamy wyruszyć?

- Jeśli jesteś w stanie poprowadzić nas niezauważalnie w nocy, to proponowałabym wyruszyć natychmiast - odparła ludzka kobieta o czarnych włosach podtrzymywanych cienką skórzaną opaską. - Im szybciej, tym lepiej.

- Hm, do świtu zostało jeszcze mnóstwo czasu - ocenił półelf, zerkając w ciemne niebo. - No to zbierajmy się, nie ma co zwlekać.

I szybko zaczęli zbierać swój obóz, który był dość skromny, gdyż zwykli sypiać pod gołym niebem. Zasypali ognisko i uznawszy, że na nic już nie przyda im się pojmany goblin, Culchie szybkim ruchem sztyletu pozbawiła stworzenie życia i wyruszyli w ciemności, ku Narrow Waters, prowadzeni przez doświadczoną elfią tropicielkę.

Jak do tej pory dopisywało im szczęście i nie napotkali na żadne przeszkody. Jednakże nim ostatecznie udało im się dotrzeć pod samą wioskę, dwukrotnie wpadli na niewielkie, kilkusobowe oddziały goblinów kręcące się po okolicy. Szybko rozprawiwszy się z wrogiem, ruszyli dalej.

Narrow Waters rozświetlało jedynie kilka niewielkich ognisk, które skupiały wokół siebie dziesiątki drobnych humanoidalnych sylwetek. Większość z nich leżała nieruchomo - spali lub byli zajęci sobą i nie przywiązywali zbyt wielkiej uwagi do otoczenia. Zrobili się nieostrożni.

„Jakby gobliny kiedykolwiek były ostrożne i czujne” – uznał w myślach Adi, rad z zaistniałej sytuacji.

Dogasające ogniska nie dawały zbyt wiele światła, co tylko ułatwiało czwórce towarzyszy ukrywanie się w ciemnościach. Prowadząca grupę Thalianna pierwsza przemknęła w cieniach i przypadła do ściany najbliższego budynku, pokazując, by pozostali uczynili podobnie. Co jakiś czas musieli zatrzymywać się na dłużej, pozwalając przejść obok pojedynczemu stworowi czy niewielkiej grupce. Póki mogli, nie chcieli informować wroga o swojej obecności.

Zauważyli, że wioska nie została bardzo zniszczona. Owszem, w wielu domach drzwi zostały wyrwane z zawiasów, a okna powybijane, przez co wokół leżało mnóstwo szklanych odłamków, ale budynki stały w całości. Uliczki zostały skropione krwią pierwotnych mieszkańców Narrow Waters. Zdawało się, że zielonoskórzy nie oszczędzili nikogo. Zarówno starcy, jak i dzieci leżeli wciąż na uliczkach w bezładnych pozycjach, zabici i zmasakrowani prymitywną bronią goblinów.

Ku zaskoczeniu i radości przyjaciół gobliny najwyraźniej uznały, że nocowanie w ludzkich budynkach nie jest najlepszym pomysłem, toteż podróżnicy nie mieli większych trudności z dostaniem się po kolei do większych domostw i starannym przeszukaniu ich wnętrza. Były to głównie proste izby, dlatego nie zajmowało im to zbyt wiele czasu.

Gdy dotarli do największego budynku, zapewne należącego do zarządcy Narrow Waters, dostrzegli zabitego

młodego mężczyznę leżącego w samym przejściu. Chłopak nie miał więcej niż dwadzieścia wiosen. Tuż obok domu znajdowało się jedno z goblinskich ognisk, więc wejście od frontu było niemożliwe, jeśli wciąż chcieli pozostać niezauważeni.

Zebrawszy się na tyłach domu, przyparciu do ściany, zerkając nerwowo, czy nie ma w pobliżu grupki patrolujących okolicę, zaczęli obmyślać, jak najłatwiej dostać się do środka.

- Wejście od frontu odpada - szepnęła Thalianna, nachylając się w stronę przyjaciół. - Innego wejścia nie znalazłam. A szyby, jak na złość, nie są zbite. Może najwyższy czas, by nieco rozbudzić to mrowisko?

- Jeszcze nawet nie zlokalizowaliśmy tego cholernego naszyjnika - syknęła Culchie, protestując.

- Czekajcie, mam pewien pomysł - szepnął Adi, zerkając na przyjaciół. Pytające spojrzenia towarzyszy skłoniły go do podjęcia dalszych wyjaśnień: - Mógłbym spróbować użyć jednego ze swych zaklęć ognia, żeby wypalić dostatecznie duży otwór w tej drewnianej ścianie i wtedy moglibyśmy dostać się do środka.

Po szybkim namyśle pozostali uznali, iż jest to najlepsze rozwiązanie, toteż znaleźli dogodny kawałek ściany i młody czarodziej zaczął snuć zaklęcie, przywołując żywioł ognia. Akcja ciągnęła się przez kilka długich, pełnych napięcia minut. Gdy poczerniały fragment drewna wyglądał, jakby sam miał lada chwila runąć, pozostawiając po sobie jedynie otwór, z lewej strony powolnym krokiem nadchodziło dwóch

stworów. Byłoby kontynuował swe zaklęcie bez przeszkód, kobiety zajęły pozycje w cieniu, gotując łuk oraz kuszę. Miały tylko jedną szansę, jedno trafienie, by całkowicie unieszkodliwić wroga i nie wszczynać alarmu. Nie było to łatwe zadanie. Musiały tak wymierzyć czas, by śmiertelny cios padł w momencie, gdy stwory będą dochodziły do czarodzieja, a jednocześnie chwilowo znikną z pola widzenia najbliższej grupy innych zielonoskórych.

Żółte ślepie błyskały co chwila w ciemnościach, gdy stwory zbliżyły się do domu zarządcy. W dłoniach dzierżyły krótkie prymitywne dzidy, jednak niosły je opuszczone, niemalże ciągnąc czubkami po ziemi. Nic nie wskazywało na to, by któryś z nich zauważył intruzów. Wciąż powoli wlokąc się, rozmawiali po cichu w swym gardłowym, czasem skrzekliwym języku. Zupełnie nie zwracając uwagi na otoczenie, byli już w odległości kilku jardów od ukrytych kobiet. Jeszcze parę kroków dzieliło ich od zniknięcia z pola widzenia najbliższej grupy zebranej przy ognisku.

Gdy tylko nastąpiła wyczekiwana chwila, dwa śmiercionośne pociski poleciały prosto w swe cele. Strzała wypuszczona z elfiego łuku trafiła w oko najbliższego goblina, przebijając się przez mózg i wychodząc z drugiej strony czaszki. Natomiast bełt wystrzelony przez ludzką kobietę pomknął w stronę drugiego stwora i celnie trafił w serce, co również powaliło istotę na ziemię. Zielonoskórzy, nie spodziewając się zasadzki, byli łatwym łupem dla wprawnych wojowników.

Odczekawszy kilka sekund w napięciu, czy upadające bezwładnie ciała nie przyciągnęły uwagi innych wrogów, Thalianna wskazała towarzysze, by odciągnęły pod ścianę trupy. Gdy kobiety wykonały już swe zadanie i dołączyły do pozostałych towarzyszy, zauważyły, że półelf pomaga Adiemu wyciągnąć kolisty kształt ze ściany. Czarodziej dzięki swym czarom wypalił w drewnie otwór na około dwie stopy. Ostrożnie odstawivszy na bok niepotrzebny już fragment, chłopak uśmiechnął się do swych towarzyszek, szczerząc zęby i wręcz z teatralnym gestem ukłonił się i wskazał ręką otwór.

- No więc, kto pierwszy? - wyszeptał podekscytowany.

- Dobrze, teraz ja poprowadzę - odparł półelfi wojownik i nie zwlekając ani chwili dłużej, zniknął w ciemności za wypalonym wejściem. Reszta ruszyła za nim.

Jednak nim wszyscy znaleźli się w środku, zdążyli usłyszeć niewielkie poruszenie dochodzące z drugiej izby. Gdy półelf znalazł się w środku, dosłyszał przyciszoną pospieszną rozmowę składającą się raczej z pojedynczych gardłowych i chrapliwych dźwięków. Wszystko wskazywało na to, że istoty wyklócały się o coś, jednak nie chciały być usłyszane przez pozostałych współplemieńców. Gdy stwory zaczęły się szamotać, najwyraźniej próbując sobie coś odebrać, Galandir zdążył już podkraść się do uchylonych drzwi drugiej izby, dzierżąc w dłoniach smukłe ostrza.

Gdy pozostali dołączyli do niego, w milczeniu wskazał głową na drzwi obok siebie i wyciągnął trzy długie palce. Biorąc głęboki oddech, elfka wraz z półelfim towarzyszem

ruszyli przodem, cichcem wkroczyli do drugiego pokoju, błyskawicznie odnaleźli przeciwników w półmroku i zagłębili swe ostrza w ich ciałach. Nim którykolwiek ze stworów zdążył wydobyć z siebie głos, wszyscy troje leżeli martwi na podłodze.

- Adi! - syknął półelf. - Mógłbyś tutaj trochę przyświecić. Te stwory wyklócały się o coś...

Czarodziej rzucił szybko zaklęcie, które utworzyło delikatną pomarańczową kulę światła unoszącą się nad jego wyciągniętą do przodu dłonią. Światło było bardzo nikłe, jednak bystrym elfim oczom pozwalało rozejrzeć się dokładniej po pomieszczeniu.

Jeden z goblinów nie zdążył się nawet podnieść z ciała, na którym się usadowił. Gdy tylko odsunęli go na bok, ujrzeli martwego starszego mężczyznę leżącego twarzą do podłogi. Na jego szyi widoczny był delikatny srebrny łańcuszek, natomiast to, co znajdowało się na końcu owego łańcuszka, wciąż tkwiło w zaciśniętej i martwej już łapie goblina.

- Patrzcie - Thalianna wskazała wisiołek i pochyliła się, by rozewrzeć humanoidalną dłoń. - Zdaje się, że właśnie tego szukamy.

Mówiąc to, wydobyła naszyjnik i trzymała go teraz luźno w smukłych palcach, pokazując towarzyszom. Był to pozornie zwyczajny wisiołek: łańcuszek, a na jego końcu kamień w kształcie migdała o mlecznobiałej barwie, przetykany cienkimi srebrzystymi liniami. Dla goblinów oczywiście stanowił niezwykłą błyskotkę. Nawet nie znając

jego prawdziwej wartości, nie chciałyby się nim dzielić ze współplemieńcami.

- Dobra, to wynośmy się stąd - mruknęła pospiesznie Culchie, nerwowo rozglądając się wkoło. - Jeszcze nie czas na świętowanie.

Zgasiwszy magiczną kulę, Adi ruszył pierwszy do wypalonego wyjścia. Gdy już wszyscy opuścili dom i mieli ponownie przekraść się przez wioskę, Culchie - wychodząc jako ostatnia - potknęła się o ciało jednego z zabitych goblinów leżących pod ścianą i poślizgnęła na jego rozlanej wkoło posoce. Upadając, wydała z siebie zduszone sapnięcie, które na ich nieszczęście przyciągnęło uwagę jednego z goblinów przy ognisku. Stwór, zbyt tchórzliwy, by sprawdzić niepokojące odgłosy samemu, przebudził najbliższych towarzyszy i grupka licząca niemalże tuzin zielonoskórych, dzierżących swe piki lub powykrzywiane krótkie miecze, zaczęła szybko się kierować w stronę, gdzie ukrywało się czworo przyjaciół.

Teraz już wiedzieli, że walka ich nie ominie. Mieli jedynie nadzieję, iż nie będzie to trwało zbyt długo. Sami mogli pokonać wiele tych tchórzliwych istot, ale nie mieli szans zabić wszystkich, było ich po prostu zbyt wiele. Stojąc wciąż za tym samym budynkiem, ustawili się w okręgu plecami do siebie i czekali.

Gdy tylko stwory zauważyły intruzów w obozie, rzuciły się w ich stronę, wykrzykując coś w swym języku. Galandir wprawił swoje ostrza w śmiercionośny taniec i, współpracując z Thalianną, zaczęli pokładać pierwszych

przeciwników, odcinać słabe czubki ich dzid i odtrącać wykrzywione ostrza na boki. Raz za razem smukłe miecze zanurzały się w nieosłoniętych goblinських ciałach. Culchie oraz Adi szybko dołączyli do swych towarzyszy, jednakże każde działało oddzielnie. Czarodziej co jakiś czas posiłkował się zaklęciami, wprowadzając tym głupekowate stworzenia w osłupienie. Natomiast niebieskooka kobieta, zwinnie wywijając krótkim mieczem oraz sztyletem, przemykała z miejsca na miejsce i nim przeciwnik zdążył się zorientować, jej ostrze przeszywało go na wylot.

Walka nie trwała zbyt długo, choć była dość intensywna. Kolejną uporczywą rzeczą było to, że nie mogli powstrzymać hałasu, jaki zwykle towarzyszył pojedyńkom, a ten przyciągał uwagę kolejnych stworów, które schodziły się szybko na miejsce walki i zastępowały poległych. Stos goblinських trupów był coraz większy, ale to nie zrażało pozostałych, którzy ochoczo rzucali się na czworo przeciwników.

- Musimy sobie utorować drogę! - krzyknął Adi do pozostałych.

- Biegnijcie w stronę wzgórza! - zawołał Galandir, w ostatniej chwili unikając ciosu pałką.

Powoli zaczynali już odczuwać zmęczenie, musieli walczyć z własnymi ciałami, by nie poddać się wyczerpaniu, toteż zgodnie z poleceniem półelfa zaczęli przebijać sobie drogę poza krąg zielonoskórych. Elfka ruszyła przodem, gdyż znała drogę najlepiej. Teraz nie miało już znaczenia, czy zachowają ciszę czy nie, gdyż i tak większość stworów

w wiosce zdążyła się przebudzić. Tuż za kobietą ruszyli czarodziej i Culchie, natomiast pochód zamykał Galandir, skutecznie spowalniając pościg. Stwory wciąż były nieco otumanione, gdyż ledwo co zostały wyrwane ze snu i rzuciły się w wir walki, a to dawało uciekinierom niewielką przewagę, za którą byli bardzo wdzięczni.

Istoty okazały się wyjątkowo uparte, co nie leżało w ich naturze i pościg trwał znacznie dłużej, niż którykolwiek z towarzyszy mógł sądzić. Gdy dotarli do wierzchołka wzgórza, na którym rozbili obóz, wciąż goniła ich licząca około tuzina grupa humanoidów. Pomimo wyczerpania długodystansowym biegiem i wcześniejszymi zdarzeniami postanowili stawić czoła przeciwnikom w miejscu, które znali nieco lepiej.

Galandir z Thalianną ponownie zajęli pozycje z przodu. Gdy gobliny dogoniły grupkę i rzuciły się bezmyślnie na tych, którzy stali najbliżej, jeden z nich został trafiony z kuszy prosto w czoło, a sekundę później Adi zawołał głośno:

- Padnijcie!

Wszyscy już doskonale wiedzieli, co to oznacza, toteż posłusznie rzucili się na ziemię, nie zważając na szarżujące ku nim stwory. W momencie gdy wszyscy troje padli na ziemię, z dłoni czarodzieja wyleciał ognisty pocisk rosnący z niesamowitą szybkością. Kiedy gobliny znajdowały się jedynie kilka jardów od nich, magiczna kula ognia uderzyła w sam środek grupy, roztrącając część z nich na boki, a część paląc żywcem. Istoty nawet nie zdążyły

zareagować, nie miały najmniejszej szansy na odwrót. Uderzeniu towarzyszył jasny błysk, który oślepił stworzenia na kilka sekund.

Troje przyjaciół zerwało się na równe nogi, gdy tylko usłyszeli, że wybuch dobiegł końca. Teraz musieli jedynie szybko dobić tych, których eksplozja odrzuciła na bok oszołomionych i rannych. W większości zielonoskórzy nawet nie zdążyli się podnieść i rozejrzeć wkoło, gdy ostrza ich przeciwników w pośpiechu dokończyły robotę czarodzieja. Wszyscy czworo, zdyszani i zmęczeni, lekko posiniaczeni lub też z drobnymi ranami, padli na ziemię, łapiąc oddech. Po kilku minutach, gdy ich serca ponownie zaczęły bić w miarowym tempie, ciszę przerwała elfka:

- Najważniejsze, że mamy to, po co tu przybyliśmy. - Uśmiechając się radośnie, podniosła do góry zaginiony naszyjnik Lady Sereene. - No i wyszliśmy z tego cało.

- Tak, masz rację - odparł Galandir również z uśmiechem na twarzy. - Teraz musimy tylko wrócić do Silvenmoor, ale to nie zajmie nam wiele czasu.

Ciesząc się zwycięstwem, które odnieśli, każdy z nich pograżył się we własnych myślach w czasie oczyszczania broni z goblinńskiej krwi. W pewnym momencie wzrok Adiego powędrował ponownie na trupy humanoidów leżące nieopodal i jego mina sposepniała. Z westchnieniem podniósł się i rzekł:

- Trochę martwi mnie fakt, że gobliny zebrały się tak licznie i postanowiły zaatakować. Nie leży to w ich naturze. Czy to była sprawka tego naszyjnika czy też nie, nie

wygląda to najlepiej. Oby nie wróżyło ciężkich wojennych czasów. Miejmy nadzieję, że nie stoi za tym nic większego.

- Chwilowo nie możemy nic na to poradzić, przyjacielu - odparł pocieszająco półelf. - Poinformujemy kapitana straży w Silvenmoor o naszych podejrzeniach, ale nie do nas należy walka z goblinскими zastępami. My możemy jedynie pomóc w niej, ale to wyznaczona armia musi udać się w pościg za zielonoskórami. Ale jeśli takie są plany przyszłości, to stawimy czoła i temu, walcząc o to, co dobre.

Galandir szybkim krokiem podszedł do towarzysza i kładąc mu dłoń na ramieniu, pocieszająco dodał:

- Tymczasem nie zamartwiaj się o to. Być może za naszego życia takie czasy nie nadejdą, któż to wie. Lepiej ruszajmy. Nie byłoby zbyt rozsądne, by zostawać tutaj na dłużej. Poza tym nocowanie pośród zwęglonych trupów nie wydaje się nazbyt przyjemną perspektywą.

- Tak, ruszajmy - przytaknęła Thalianna.

I nie czekając dłużej, ruszyli w drogę, chcąc oddalić się od tego miejsca. Powoli było widać pierwsze oznaki nadchodzącego świtu, niebo zaczynało się przejaśniać, oznajmiając nadejście kolejnego dnia. A każdy kolejny dzień niósł ze sobą nowe wyzwania oraz przygody. Nowe niebezpieczeństwa.

I tak przyjaciele ruszyli drogą powrotną do Silvenmoor.

9. Relikt przeszłości

PO WIELU DNIACH PRZEPRAWY przez dzikie tereny tundry w tych jakże niesprzyjających warunkach, smagani lodowatym deszczem i ostrym wiatrem, wreszcie dotarli do miasta Scabard. Co prawda nie było to tak piękne i przyjazne miejsce jak Silvenmoor lub chociażby Orstlake, ale zawsze była to miłsza perspektywa niż spędzenie kolejnej nocy w dzikiej i zimnej tundrze.

Szybko przemierzając ulice, rozglądali się za jakąś w miarę spokojną karczmą, w której mogliby się zatrzymać. Nawet teraz deszcz padał gęsto, nie dając chwili wytchnienia strudzonym wędrowcom. Na dodatek słońce nie pojawiało się już od kilku dni, schowane za grubymi i ciemnymi chmurami, co jedynie pogarszało ich już i tak ponure nastroje.

Adi, Thalianna, Culchie i Galandir wreszcie zawędrowali w uboższe rejony Scabard, gdzie natknęli się na podniszczony szyld karczmy, z którego mogli odczytać nazwę „Pod Kapturem”. Nie zwlekając ani chwili dłużej, szybko weszli do środka.

Wewnątrz nie panował typowy hałas, jakiego można było się spodziewać w gospodzie. Owszem, ludzie byli zbici w grupki i rozmawiali ze sobą, jednak mówili przyciszonymi głosami, toteż zamiast ogólnego zgiełku panował tutaj zaledwie lekki szmer rozmów, dźwięk postukujących kubków, czasem przyciszone śmiechy. Poza tym szczegółem karczma, jak każda inna, była wypełniona dymem unoszącym się z fajek i wirującym powolnie w stronę sufitu. Zapach przygotowywanego jadła oraz ciepło wesoło trzaskającego ognia w kominku rozchodziły się po całym pomieszczeniu.

Tawerna znajdowała się w piętrowym budynku. Cały parter zajmowała sala ze stołami, a gdy towarzysze skierowali spojrzenia ku górze, ujrzeli schody prowadzące na piętro, gdzie znajdował się swego rodzaju taras otoczony drewnianą barierką. Również i tam rozstawiono stoliki, a z góry można było spoglądać prosto na parter karczmy. Wnętrze zostało wykonane głównie z drewna, co tworzyło przyjemną atmosferę. Przy drzwiach wejściowych znajdowały się dwa osłonięte frankami okna, które nie wpuszczały zbyt wiele światła do środka. Gdzeniegdzie wisiały palące się latarnie lub świeczniki przypięte do ścian, dające niewiele światła. Dzięki niłemu oświetleniu wnątrze sprawiało wrażenie tajemniczości i było pogrążone w przyjemnym półmroku.

Niektórzy ludzie oraz przedstawiciele innych ras, których dostrzegli wędrowcy, siedzieli samotnie przy swoich stolikach nieniekpokojeni przez niechcianych

awanturników. Wielu z nich skrywało twarze pod głębokimi kapturami, nie chcąc ujawniać swojej tożsamości. Najprawdopodobniej był to dość częsty widok w owym miejscu i również stąd wzięła się nazwa gospody.

Otrzeprawszy przemoczone i zabrudzone błotem płaszcze, przyjaciele skierowali się do jednego z wolnych stolików stojących z boku po prawej, w pobliżu okna. Na zewnątrz zdążył już zapaść zmierzch, co jedynie pogłębiało panujący w karczmie półmrok. Gdy tylko usadowili się przy prostokątnym stole otoczonym prostymi drewnianymi krzesłami, szybkim krokiem zbliżyła się do nich młoda dziewczyna z obsługi. Miała na sobie prosty strój z fartuchem, natomiast jej uroda była przeciętna, chociaż być może niektórzy uznaliby ją za całkiem atrakcyjną. Posyłając lekki, dość niepewny uśmiech, szczególnie w stronę Adiego, zapytała zwyczajnie:

- Co dla was?

- Na początek na pewno jakiś ciepły posiłek dla wszystkich czworga - odparła elfka, odrzucając na plecy czarne, proste włosy, pomiędzy którymi widniało kilka cienko zaplecionych warkoczy.

- I wino - dodał Adi z uśmiechem.

Dziewczyna skinęła głową i oddaliła się do kontuaru. Gdy tylko znalazła się poza zasięgiem słuchu, Culchie parsknęła i z krzywym, powątpiewającym uśmieszkiem mruknęła:

- Adi, dałbyś sobie spokój. Wiesz przecież, że i tak nic z tego nie wyjdzie. A nawet jeśli, to nie sądzę, by dzikie

tundry i opustoszałe trakty były miejscem dla takiej dziewczuchy. A ty chyba nie planujesz osiedlenia się w jednym miejscu na stałe, co?

- Wiesz co, Culchie? Mogłabyś sobie odpuścić chociaż raz - zripostował oburzony młodzieniec. - To, że ty najchętniej wpakowałabyś każdemu mężczyźnie, który się do ciebie uśmiechnie, kilka bełtów w brzuch, nie znaczy wcale, że wszyscy muszą się tak zachowywać! Twoje nieudolne próby odwiedzenia mnie od spróbowania tylko zwiększają chęć podjęcia wyzwania.

- Rób, co chcesz - odburknęła kobieta. - Tylko potem nie jęcz, ja cię ostrzegałam.

Thalianna i Galandir przysłuchiwali się w milczeniu małej sprzeczce towarzyszy, próbując powstrzymać uśmiechy, które cisnęły im się na usta. W pewnym momencie, nie mogąc już dłużej wytrzymać, wybuchnęli perlistym śmiechem. Nie przywiązywali zbyt wielkiej wagi do takich sporów, gdyż tych dwoje sprzeczało się cały czas. Mogłoby się zdawać, że wywołują małe kłótnie o wszystko. I chociaż nie prowadziły one do niczego sensownego, również nie psuły relacji pomiędzy przyjaciółmi. Ot, starcia dwóch całkiem odmiennych charakterów, niczym ogień i woda, które w połączeniu wytwarzały obłoki pary. Zachowanie dwojga ludzi można było porównać do relacji pomiędzy bratem a siostrą - wykorzystywali każdą okazję, by się posprzeczać, ale gdy drugiemu coś groziło, byli gotowi rzucić się z pomocą.

Chociaż podróżowali razem od kilku lat, wciąż niektóre aspekty osobowości towarzyszy pozostawały dla nich nieznane. Mimo wszystko ufali sobie bezgranicznie i byli gotowi poświęcić swe życie, by uratować kompana. Połączył ich wspólny plan na przyszłość: życie na szlaku i w ciągłej podróży. Podejmowanie nowych wyzwań i stawianie czoła niebezpieczeństwom nie było dla nich nowością. Każdego dnia musieli sobie z tym radzić. Jednak to był ich wybór, który, jak się zdawało, przynosił im radość i przypominał, że są wciąż żywi i powinni doceniać każdy wschód słońca, oznajmiający nadejście nowego dnia, cenić to, co dostają od życia.

Po kilkunastu minutach, gdy zdążyli odzyskać dawny humor, ta sama dziewczyna zbliżyła się do ich stolika, niosąc gorące posiłki oraz dzban wina z czterema kielichami, po czym oddaliła się do innych klientów, nie zapominając rzucić po drodze przelotnego spojrzenia swych ciemnych brązowych oczu w stronę młodego czarodzieja.

Jedzenie było dość proste, składało się z kaszy i sosu, gdzieś tam można było znaleźć kawałek nieco twardego mięsa i sporo rozlatujących się duszonych warzyw. Zapewne w zamyśle kucharza miał być to gulasz. I chociaż jadło nie było zbyt wyszukane, to na pewno należało do sycących.

Jedząc i popijając niespiesznie, czworo towarzyszy zapomniało na chwilę o trudach podróży i cieszyło się perspektywą kilkudniowego odpoczynku w karczmie.

Minuty mijały niespiesznie, kolejny dzban wina został zamówiony i powoli opróżniony, głównie przez Adiego.

W pewnym momencie zbliżyła się do nich dziewczyna, która ich obsługiwała i cicho chrząkając, położyła na brzegu stołu zwitek papieru, po czym dodała przyciszonym głosem:

- To od tego mężczyzny, który siedzi na piętrze.

I gdy tylko towarzysze skinęli głowami nieco zaskoczeni, dziewczyna karczemna wróciła do wykonywania swoich obowiązków. Culchie jako pierwsza chwyciła za złożony kawałek pergaminu i uniosła spojrzenie w górę. Gdy tylko zlokalizowała zakapturzoną postać siedzącą w samym rogu tarasu, spojrzała na wiadomość i odczytała jej treść towarzyszom:

Odnoszę wrażenie, że jesteście odpowiednimi osobami do pewnego zadania. Jeśli jesteście zainteresowani, możemy omówić szczegóły. Niech jedno z was przyłączy się do mnie. Chwilowo nie chcę zwracać na siebie zbyt wiele uwagi, a potem zobaczymy. Wiecie, co macie robić.

- No to jak? - zaczęła Culchie, odsuwając krzesło od stołu z zamiarem wstania. - Chyba warto dowiedzieć się czegoś więcej?

- Owszem - odparł Galandir, jednocześnie kładąc rękę na jej ramieniu i zatrzymując ją. - Ale chyba lepiej będzie, jeśli to ja tam pójdę. Jak tylko dowiem się, o co mu

konkretnie chodzi, wróć, by przekazać wam jakieś szczegóły.

Czarnowłosa kobieta uśmiechnęła się jedynie i pokazała półelfowi język, a następnie strząsnęła ze swego ramienia jego dłoń i szybkim krokiem skierowała się ku schodom. Półelf pokiwał jedynie głową, widząc zachowanie przyjaciółki i westchnął przeciągle. Skinął głową w stronę Thalianny, na której twarzy malowało się rozbawienie, i ruszył za niebieskooką.

Jako że elfy były nieco bardziej odporne na działanie alkoholu, toteż jedynie on i Thali wciąż mieli umysły nie do końca zaćmione przez wino. Po zachowaniu Culchie i Adiego było widać, iż trochę przedobrzyli z trunkiem. Galandir miał jedynie nadzieję, że jego towarzyszka nie narobi sobie kłopotów przy tym nieznanym.

Gdy zbliżył się do wskazanego stolika, zobaczył, że kobieta siedzi naprzeciwko zakapturzonej postaci i uparcie wpatruje się w zacienioną twarz. Półelf dosiadł się bez słowa.

- Chyba wyraźnie napisałem, żeby przyszła tylko jedna osoba. No, ale trudno - z przekąsem odezwał się dość melodyjny głos.

- Wybacz, ale jak chciałeś rozmawiać z kimś, komu jeszcze język nie płacze się od wina, to proszę, rozmawiaj ze mną - odparł Galandir, kierując swe słowa również do kobiety i spoglądając na nią karcącym wzrokiem. Ta jedynie zerknęła na niego i odpowiedziała mu szerokim uśmiechem.

- Hm, tak - mruknął tamten, bawiąc się swym kielichem. - Twoja towarzyszka zdaje się być bardzo zainteresowana moją osobą - dodał, przekrzywił nieco głowę i posłał uśmiech w stronę Culchie, błyskając przy tym jasnymi zębami.

- Nawet o tym nie myśl - ostrzegł go półelf. - Dla dobra nas wszystkich lepiej nie próbuj z nią zadzierać. Wierz mi, jak tylko wytrzeźwieje, to każde z was będzie żałować tego spotkania.

- Galandirze, zamknij się, proszę - rzuciła Culchie w stronę półelfa, lekko chichocząc i próbując przybrać słodki głosik. - Nie widzisz, że rozmawiamy tutaj na poważne tematy?

- Cóż, skoro tak mówisz. W końcu to ty z nią wędrujesz, więc wiesz lepiej - odparł mu mężczyzna, rozbawiony zachowaniem kobiety.

- Owszem. A teraz, jeśli pozwolisz, chętnie bym wrócił do omawiania konkretów. - Wojownik postukał palcem w pergamin, który kobieta przyciskała dłonią do blatu stołu. - Może wytłumaczysz mi, o co ci w ogóle chodzi? O jakim zadaniu mowa?

- Oczywiście. Może zaczniemy od tego, że nazywam się Aesdil, a wy wyglądacie mi na dokładnie takich osobników, jakich potrzebuję do wykonania pewnego zlecenia. Zapewne chciałbyś wiedzieć, dlaczego sam tego nie zrobię. Mogłeś też pomyśleć, że takie zadanie może wskazywać na chęć pozbycia się kogoś w cichy sposób. - Mężczyzna lekko uniósł smukłą dłoń. - Ale spokojnie. Nic z tych rzeczy.

- Ooch - westchnęła przeciągle Culchie, opierając łokcie na drewnianym blacie, ziewnęła i ułożyła głowę na rękach, zamykając oczy.

Galandir spojrział z niedowierzeniem na swą przyjaciółkę, która najwyraźniej uznała, że najwyższy czas na drzemkę. Pokręcił głową i ponownie skupił całą uwagę na nieznanym.

- Wybacz - mruknął. - Zbyt długo sobie nie porozmawiała. No, ale wracając do tematu. O jakiego typu zadanie ci chodzi, Aesdilu?

- Chodzi o odzyskanie pewnego przedmiotu, który ma dla mnie wielką wartość, ale został mi skradziony jakiś czas temu. Osoba, która go obecnie posiada, znajduje się w mieście. Chcę, byście zakradli się niezauważeni do jego mieszkania i odzyskali moją własność. Jeśli wykonacie zadanie, oczywiście zapłacę sprawiedliwą sumę za wasz trud. Jednak zależy mi, by było ono wykonane szybko, nie mogę tutaj siedzieć zbyt długo. Jeśli się zgodzicie, daję wam dwa dni na odzyskanie przedmiotu.

- Brzmi dość uczciwie. - Galandir skinął głową w lekkim zamyśleniu. - Jednak chciałbym poznać historię z tym związaną. Sam rozumiesz, nie można ufać każdemu słowu wypowiedzianemu przez nieznanego.

- Oczywiście, tak też sądziłem. Dobrze. - Zakapturzony mężczyzna odsunął od siebie kielich. - Zdaje się, że twoi towarzysze niezwykle się niecierpliwią, by poznać szczegóły - dodał z cierpkim uśmiechem, zerkając szybko na dół, w stronę stołu, przy którym siedziało dwoje przyjaciół.

Elfka, bawiąc się swym kielichem, co jakiś czas wpatrywała się w ciemność za oknem, jednocześnie próbując uspokoić swego towarzysza. Chłopak, który wyraźnie wypił zbyt dużo wina, nieustannie zerkał w ich stronę, nawet nie próbując tego ukryć.

- Hm - półelf chrząknął, próbując nie roześmiać się. - Wybacz. Tych dwoje chyba wypilo nieco za dużo.

- Proponuję, żebyś poszedł po resztę i byście dołączyli do mnie w moim pokoju. Tam będziemy mogli omówić wszystko dokładnie, bez ryzyka bycia podsłuchanym przez ciekawskie uszy - powiedział i podniósł się od stołu, a odchodząc, rzucił jeszcze: - Będę na was czekać.

Galadir został przy stole sam ze śpiącą Culchie. Spojrzał jeszcze za odchodzącym nieznajomym, który udał się korytarzem prowadzącym do wynajmowanych pokoi. Półelf również wstał i z westchnieniem szturchnął kobietę.

- Ej! To nie czas i miejsce na takie drzemki - rzucił, pomagając jej wstać. - Lepiej by było, gdybyś jednak została z resztą na dole. No, ale teraz pobudka!

- Oj, dałbyś trochę pospać - mruknęła dziewczyna, ziewając. - Za dużo wina...

Oboje wrócili na dół. Gdy tylko zbliżyli się do stolika, Adi zasypał ich nieustannym ciągiem pytań:

- No i? No i? - pytał.

- Oj, cicho już! - syknęła Thalianna, rozdrażniona jego ciągłą paplaniną. Widocznie musiał zachowywać się tak przez cały czas, aż wreszcie elfka nie wytrzymała

z uciszaniem go. – Daj im dojsć do głosu, bo inaczej niczego się nie dowiemy.

– Nam? – spytał rozbawiony półelf. – Culchie nie była zbyt rozmowna. W pewnym momencie po prostu położyła się spać na blacie stołu.

I tak też Galandir wyjaśnił im pokrótce, o co chodziło Aesdilowi, dodając, że muszą udać się na górę, by spokojnie wysłuchać całej historii. Zapłaciwszy za posiłek i za pokój, który wynajęli na najbliższą noc, poprowadził ich drewnianymi schodami na górę. Jak się okazało, nieznajomy stał w drzwiach pokoju, opierając się plecami o framugę. Dopiero teraz, widząc go całego, dostrzegli, że jest odziany w ciemnozieloną tunikę oraz czarne spodnie, których nogawki zostały wetknięte w wysokie skórzane buty, idealne do długiej podróży. Również jego płaszcz był w głębokim, ciemnym odcieniu zieleni, a kaptur wciąż skrywał twarz. Chociaż ubrania nie były nowe, na pewno prezentowały się znacznie lepiej niż ubłocone i znoszone odzienie przyjaciół.

Pomieszczenie wyglądało jak typowy karczemny pokój. Dość prosto umeblowany, z jednym oknem naprzeciwko drzwi oraz kominkiem, w którym palił się niewielki ogień, tworząc przy tym jeszcze bardziej tajemniczą atmosferę. Mężczyzna zamknął drzwi na klucz i odczekał chwilę, aż każdy usadowi się wygodnie, a sam stanął przy oknie.

– Jak już zapewne wiecie, nazywam się Aesdil Virr – zaczął, zdejmując kaptur i odsłaniając swą twarz o nieco elfich rysach. Teraz mogli wyraźnie dostrzec, iż jest

półelfem. – Wybaczcie mi tę tajemniczość, ale nie powinno mnie tutaj być, dlatego nie ujawniam swej tożsamości. Gdyby ktoś mnie rozpoznał i wieść doszłaby do straży lub rady kapitanów, zapewne szybko wysłano by kogoś za mną i pozbawiono mnie życia. Wiąże się z tym inna historia, ale w skrócie mówiąc, zostałem wygnany ze Scabard jakiś czas temu pod groźbą śmierci za zadzieranie z radą sprawującą władzę. Dlatego też, by pozostać anonimowym, potrzebuję kogoś takiego jak wy do pomocy.

– A ten przedmiot, o którym wspominał Galandir? Ten, który został ci skradziony? O co dokładnie chodzi? – spytała zaintrygowana Thalianna, wpatrując się oczami zielonymi niczym leśny mech w tajemniczego półelfa.

– Hm. Przedmiotem, o którym mowa, jest pierścień. Zwyczajna srebrna obrączka opleciona cienkimi srebrnymi zdobieniami w kształcie pnączy. Jest to jedyna pamiątka, jaka mi została po kobiecie, którą niegdyś kochałem. – Aesdil spojrzał prosto w oczy Thaliannie, po czym zwrócił się bezpośrednio do niej. – Na pewno rozumiesz, jak to jest, gdy dane ci jest przeżyć kilkakrotnie osobę, którą darzysz miłością. W tych trudnych czasach ludzie nie żyją zbyt długo, a ona była właśnie ludzką kobietą. Ta obrączka należała do niej, a kiedy nadszedł jej czas, oddała mi ją, bym nie zapomniał o uczuciu, jakie nas łączyło.

– Przykro mi – odparła elfka, szczerze współczując półelfowi. – Spróbujemy zrobić wszystko, by ją dla ciebie odzyskać.

- To jest klątwa naszej rasy - mruknął posepnie Galandir. - Żyjemy zbyt długo, by móc połączyć się spokojnie z jakimś człowiekiem, jednocześnie nie będąc w stanie uniknąć bólu rozłąki, gdy ta osoba odchodzi. A z drugiej strony połączenie się z przedstawicielem elfiej rasy wiąże się z bólem dla drugiej strony, która spokojnie może przeżyć setki lat więcej niż my.

Dwoje ludzi, którzy już nieco otrzeźwieli, siedziało w ciszy, przysłuchując się rozmowie pozostałych. Oni mogli jedynie próbować sobie wyobrazić, o czym mówi ta trójka, jednak nigdy nie będą w stanie pojąć bólu długowieczności.

- Należę do jednej z gildii w Orstlake - podjął na nowo Aesdil po chwili ciszy. - Pierścień został mi skradziony przez innego z jej członków, jest to niziołek imieniem Milo Dinoco. Sporo czasu zajęło mi zlokalizowanie go, skubaniec zapadł się pod ziemię na jakiś czas tuż po tym, jak opuścił Orstlake.

- Gildia? - zainteresowała się Culchie.

- Owszem, gildia najemników - odparł półelf, uśmiechając się lekko do kobiety. - Chociaż czasem zajmujemy się też nieco bardziej delikatnymi zleceniami. No, ale jeśli chodzi o niziołka, to jak już wspomniałem Galandirowi, jego dom znajduje się tutaj, w Scabard. Chcę, byście się do niego zakradli i odzyskali moją własność. Prawdę mówiąc, nie interesuje mnie zbytnio, czy odbierzecie mu coś jeszcze czy nie. Wasz wybór. Jeśli uda wam się zwrócić mi ten pierścień, możecie być pewni, że wynagrodzę was sprawiedliwie. Ach, zależy mi na czasie.

Chciałbym, byście wykonali zadanie w ciągu dwóch dni. Jeszcze tyle czasu będę w tej karczmie, dłużej nie chcę ryzykować. Jeśli nie macie pytań, to proponowałbym, byście udali się na spoczynek. Nie wyglądacie na zbyt wypoczętych... i czystych – dodał z uśmiechem na koniec.

- Cóż, skoro wszystko ustalone. – Thalianna podniosła się. – Pozostało jeszcze tylko dowiedzieć się, gdzie stoi dom halflinga.

- Tak... Moje domysły i zdobyte informacje wskazują, że zamieszkał w domu jakiegoś bogatego człowieka. Dotrzecie tam, idąc główną ulicą. Na jej końcu, pod murem, rozciągają się dwa rzędy domów, w lewo i w prawo. Dom, który sobie wybrał, jest pierwszym budynkiem po prawej. Uważajcie na strażę. To jedna z bogatszych dzielnic w Scabard, więc żołnierze kręcą się tam dość często.

- No dobrze – rzuciła elfka i podeszła do drzwi. – Na nas już czas.

Pożegnawszy się z półelfem, przyjaciele w milczeniu udali się na spoczynek do wynajętego pokoju. Przynajmniej jedną noc spędzą w ciepłych łóżkach.

Nazajutrz pierwszą część dnia poświęcili na odpoczynek. Dopiero późnym popołudniem przyjrzeni się dokładniej miejscu, do którego mieli się udać. Poczekali, aż zapadnie zmrok, i ruszyli do domu halflinga. Ulice o tej porze były już puste, chociaż czasem można było zauważyć jakiegoś mieszkańca kręcącego się po okolicy. Latarnie uliczne paliły

się, rzucając nikłe światło na drogę. Co jakiś czas faktycznie dostrzegali patrole strażników.

Culchie poprowadziła swych towarzyszy. Jeśli chodziło o zakradanie się w terenie zabudowanym, ludzka kobieta miała największe doświadczenie. No i całkiem nieźle znała scabardzkie ulice. Dzięki wcześniejszemu rozpoznaniu w okolicy, teraz mogła bezbłędnie obierać dogodne, ciemne drogi, którymi przemykali w ciszy, niezauważeni. Nie chcieli, by ktokolwiek ich dostrzegł.

Podążając drogą, która okazała się nieco dłuższa niż główna ulica, w końcu stanęli przed wskazanym domem. Jeszcze gdzieś w pobliskich mieszkaniach paliły się światła, jednak w większości okien było już ciemno. Również w domu niziołka zgaszono światła. Zatem były dwie opcje: albo Milo Dinoco poszedł już spać, albo nie ma go jeszcze w mieszkaniu.

Culchie, rzucając szybkie spojrzenie na drzwi oraz okna, skomentowała szeptem:

- Na ogół takie domy nie mają zbyt dobrze chronionych okien.

- Tak, może i nie ma w nich krat, ale jeśli chcesz któreś z nich wybić, chyba nie jest to najlepszy i cichy pomysł - odszepnął Adi.

- Nie bądź głupi - syknęła kobieta.

- W takim razie co proponujesz? - wtrącił Galandir.

- Wątpię, bym sięgnęła do okna na piętrze, nawet jeśli ktoś mi pomoże, ale mogę spróbować otworzyć jedno z okien na dole - rzekła, przyglądając się dokładniej

pobliskiemu oknu. - Mogę się założyć, że jest zamknięte jedynie na haczyk. Jeśli dacie mi chwilę...

- To do roboty - odparła Thalianna, wzruszając lekko ramionami.

Zbliżyli się do okna. Nie mieli zbyt dużego wyboru, dwa pozostałe osadzone były tuż obok solidnych drewnianych drzwi, a nie chcieli być zauważeni, więc wybrali okno z boku, z prawej strony. Czarnowłosa kobieta wyciągnęła z plecaka kawałek wygiętego drutu, dość cienkiego i niezbyt długiego, oraz rzemyk z boku swej czerwonej tuniki i zaczęła ostrożnie manipulować przy oknie, w miejscu gdzie powinien być haczyk. Po około minucie okno było otwarte na zewnątrz. Uchylając je mocniej, tak by mogli wejść po cichu do środka, rzuciła krótko z uśmiechem wyższości:

- A nie mówiłam?

Przyjaciele po kolei weszli do środka, zamykając za sobą okno na haczyk. Uliczne latarnie dawały odrobinę światła, dzięki czemu nie wpadali na żadne przedmioty. Jednak, by ułatwić sobie zadanie, Adi wyczarował jedną ze swoich świecących, lewitujących kul i wtedy rozejrzeli się dokładniej po pomieszczeniu, w którym stali. Jak się okazało, była to wielka izba służąca wszystkiemu po trosze. W miejscu, gdzie stali, znajdowała się kuchnia, co stwierdzili po sporym stole oraz piecu w rogu. Gdyby postawić tutaj kilka ścian, kawałek dalej mógłby znajdować się hol, prowadzący wprost od drzwi aż do schodów na górę. Natomiast jeszcze dalej, na drugim końcu

pomieszczenia, stało pojedyncze biurko zarzucone masą pergaminów, zwojów oraz ksiązek. Ścianę za biurkiem przysłaniała niezliczona liczba szafek, również wypełnionych papierami i książkami.

Przejrzawszy pobieżnie niektóre zapiski, uznali, że nie mogą im się przydać w jakikolwiek sposób. Typowe zapiski prowadzone przez skrupulatnych kupców i handlarzy. W części kuchennej znaleźli również klapę, jak się okazało, prowadzącą do piwniczki. Pomieszczenie było naprawdę małe, a ogrom rzeczy tam upchniętych sprawiał, że było jeszcze ciasniej. Piwnica czy też składzik wypełniony był sporą ilością rupieci, takich jak puste gliniane dzbany czy worki płócienne. Gdzieś tam znajdowali zwój liny, świece, pochodnie oraz całą masę innych przedmiotów, których nie używa się na co dzień, gdy mieszka się w mieście. Część jednej ze ścian zastawiona była słojami z przetworami oraz innym jedzeniem w sporych ilościach, jak suszone płaty mięsa zwisające z haków, duże kawały sera, bochenki chleba, który wyglądał na zaskakująco świeży. Prawdopodobnie ta część piwnicy musiała być często uzupełniana, co nie dziwiło, skoro właścicielem domu był niziołek, a przedstawiciele tej rasy lubili zjeść porządny posiłek kilka razy dziennie.

Nie znajdując niczego przydatnego, ruszyli po cichu na górę, prowadzeni przez unoszącą się kulę światła. Jak do tej pory nie usłyszeli, by ktoś zauważył ich obecność, toteż nieco się uspokoili, równocześnie podejrzewając, iż halflinga rzeczywiście nie ma w domu. Jednak wciąż

pozostawali czujni i ostrożni, wyczuleni na wszelkie niepokojące odgłosy.

Gdy tylko zakradli się na górę, trafili do długiego holu ciągnącego się przez całą długość domu. Na jego końcu, dokładnie naprzeciwko nich, było jedno z okien. Od razu rzuciło im się w oczy, że na piętrze znajduje się kilka pokoi, a nie jedna sala jak na dole. Z prawej strony dostrzegli pojedyncze wejście, natomiast po lewej były dwa. Wszystkie drzwi były zamknięte, jednak jak się okazało, nie miały nawet zamków, toteż szybko zakradli się do pokoju po prawej stronie holu. Nasłuchiwali odgłosów śpiącego domownika, ale nie usłyszeli nic takiego, dlatego nabrali jeszcze większej pewności i wrócili do poszukiwań.

Pomieszczenie, które zamierzali przeszukać, zajmowało niemalże połowę powierzchni piętra. Szybko zorientowali się, iż jest to biblioteczka i to całkiem okazałych rozmiarów. Pod ścianami poustawiane były rzędy regałów wypełnionych przeróżnymi tomami. Widocznie brakowało miejsca na wiele z nich, gdyż część ksiąg była bezładnie poupychana na innych. Wiele z nich było oprawionych w skórę i wyglądało na dość stare i podniszczone. Jednak udało im się też dostrzec nowsze tomy, z połyskującymi pozłacanymi napisami. Zbiór dotyczył głównie geografii Shadeheven, historii różnych krain, były też specjalistyczne książki kupieckie czy zwyczajne powieści.

- *Wokół Silvenmoor, Przez Shadeheven i z powrotem, Dolina Śmierci, Kraniec Górski, Spis transakcji w Orstlake, Jak sprzedawać z zyskiem, Cztery fortece, U progu bram...*

- przeczytał po kolei Adi, przejeżdżając palcem po skórzanych grzbietach książek. - Całkiem niezła kolekcja. Chociaż nie sądzę, by należała do niziołka. Jakim cudem mógłby dorobić się czegoś takiego zaraz po ucieczce z tej gildii najemników? Chyba że przy okazji opróżnił im cały skarbiec i przytachał go ze sobą aż tutaj.

- Całkiem możliwe - mruknęła elfka w odpowiedzi. - Już zdążyliśmy się przekonać, że ten halfling to niezły krętacz.

- Hej, patrzcie, co znalazłam - przerwała im Culchie, przywołując do siebie wszystkich troje.

Niebieskooka kobieta stała tuż przy drzwiach. Obok niej znajdowały się niewielki stoliczek i miękki skórzany fotel. Dziewczyna trzymała w dłoniach małą otwartą szkatułkę, wyściełaną czerwonym aksamitem. W jej wnętrzu spoczywał złoty wisiorek - kulka wielkości monety, a wokół niej cienka obręcz, którą dało się dowolnie okręcać.

- Hm, chyba nikt się nie obrazi, jak sobie to weźmiemy? Można dostać za niego całkiem niezłą sumkę - mruknęła zadowolona i schowała wisiorek do plecaka, odkładając pudełeczko na miejsce.

- Chodźmy dalej, tutaj nie ma już niczego oprócz książek - rzucił przyciszonym głosem Galandir i skierował się do kolejnego pokoju. Pierwszego po lewej.

- Żeby było szybciej, proponuję rozdzielić się przy sprawdzaniu dwóch ostatnich pokoi - zaproponowała elfka, przyciągając do siebie czarodzieja. - Adi, pójdziesz ze mną do pierwszego pokoju, a wy weźmiecie drugi.

Adi wyczarował nową kulę światła, tak by każda grupa miała własną. Jak się okazało, pomieszczenie na końcu holu było sporych rozmiarów sypialnią z kilkoma łózkami. Wyglądało na to, że nikt tutaj dawno nie nocował, chociaż w pokoju nie dostrzegli żadnego kurzu, panował porządek.

Czarodziej i elfka również trafili do sypialni, jednak tutaj stało tylko jedno zarzucone stertą poduszek łóżko. Na środku leżał gruby i miękki dywan w wielu odcieniach brązu. Meble były bogato zdobione i rzeźbione. Tuż za sporym łóżkiem znajdowało się okno wychodzące na bok domu.

Thalianna od razu skierowała się w stronę biurka stojącego pod ścianą, niedaleko wejścia. W odróżnieniu do poprzedniego w tym biurku znajdowało się kilka szuflad, a blat nie był zarzucony stertą papierów. Właściwie leżała tam zaledwie jedna książka, a obok kilka rozsypanych złotych i srebrnych monet. Połączone litery na okładce książki głosiły: *O bohaterskim Gringo - pogromcy trolli*, a spod spodu wystawały dwa kawałki pergaminu. Elfka wyciągnęła je i zaczęła szybko przeglądać. W pewnym momencie sapnęła zaskoczona i spojrzała na towarzysza.

- Zdaje się, że jeszcze o wielu rzeczach nie wiedzieliśmy. Aesdil Virr chyba również nie miał o nich pojęcia - wymamrotała. - Culchie! Galandirze! Chodźcie tutaj szybko - rzuciła ostrym szeptem w stronę korytarza.

- O co chodzi, Thali? - zapytał półelf, gdy tylko dołączyli do pozostałych.

- Zdaje się, że Milo Dinoco znalazł sobie towarzysza do współpracy - zaczął powoli Adi, który zdążył przeczytać już znaczną część jednego z pergaminów, zerkając przez ramię przyjaciółki.

- Owszem - potwierdziła elfka. - Jeden z listów zawiera informacje o tym, że Aesdil wyruszył za halflingiem, że Milo został ogłoszony zdrajcą gildii i wyznaczono nagrodę za pojmanie go. W drugim liście przyjaciel niziołka, mężczyzna o imieniu Felix Taklinn, informuje go o bieżących sprawach w gildii. Z treści wynika, że Felix dołączył do nich i wraz z Milo próbują doprowadzić do upadku zgromadzenia. Ale ponieważ halfling jest ścigany i nie może przebywać w Orstlake, znalazł sobie wspólnika i informatora, który przeniósł się do miasta. Niestety nie ma tu informacji, czy działają sami, czy też jest to większa grupa zdeterminowana w swym zadaniu.

- Musimy przekazać te listy Aesdilowi. Powinien o tym wiedzieć - uznał Galandir.

- A co z pierścieniem, po który tu przyszliśmy? Macie go? - wtrąciła Culchie.

- Na Otchłanie Piekielne... - mruknął cicho Adi, spoglądając do szuflad.

Podczas gdy wszyscy przysłuchiwali się streszczeniu listów, ciekawski chłopak zaczął przeglądać zawartość szuflad zamykanych niewielkimi kluczami. Towarzysze spojrzeli zdziwieni na niego, a następnie ku szufladom.

- Oho, jeśli to jest własność członków gildii i ten niziołek im to zwinął, to nie dziwię się, że ogłosili go

zdrajcą i próbują teraz dopaść – skomentowała z kwaśną miną ludzka kobieta.

Faktycznie, obie szuflady były wypełnione przeróżnymi rodzajami biżuterii, w większości dość ładnie wykonanymi przedmiotami. W górnej szufladzie, na samym wierzchu płataniny złotych i srebrnych łańcuszków dostrzegli poszukiwaną obrączkę. Czarodziej wyplątał ją spomiędzy pozostałych kosztowności.

- Chyba tego szukamy – uznał, uśmiechając się przy tym szeroko.

- No dobrze, ale co z resztą? – zapytała niebieskooka kobieta, jednak nim ktokolwiek zdążył jej odpowiedzieć, usłyszeli szczęknięcie otwieranego zamka i skrzypnięcie drzwi dochodzące z dołu.

- Cholera, że też musiał wrócić akurat teraz – syknęła Thalianna. – Jazda, musimy jakoś się stąd wydostać. Adi, zamknij te szuflady. Teraz już nic z tym nie zrobimy.

- Okno – szepnęła Culchie. – Wychodzi na bok domu, więc możemy przez nie wyjść.

- Ale nie mamy liny! – jęknął czarodziej, odkładając rzeczy na miejsce i zamykając po cichu drzwi do pokoju. Z dołu dochodziły odgłosy krzątania i hałasy pobrzękujących naczyń.

- Nie bądź śmieszny – odparła kobieta, kierując się w stronę okna i otworzyła je na oścież. – Jak się opuścisz na rękach, to zostaną ci zaledwie dwa jardy do ziemi. A teraz jazda, ja wyjdę ostatnia.

Elfka ruszyła pierwsza, zwinnie chwytając się framugi okna i zeskakując na dół, po czym zrobiła miejsce dla następnej osoby. Jednak w tym momencie pozostali usłyszeli na schodach kroki kogoś ciężko i niespiesznie zmierzającego na górę.

- Szybciej, szybciej! - ponaglała ich Culchie, jednocześnie nasłuchując.

Kiedy już mężczyźni pospiesznie wyszli przez okno i dziewczyna została w pokoju sama, usłyszała, jak czyjaś dłoń chwyta za gałkę w drzwiach i przekręca ją. Jednak Culchie nie zamierzała zostawiać otwartego okna, to mogło niepotrzebnie ściągnąć uwagę niziołka, który lada chwila miał wkroczyć do swej sypialni. Po cichu wskoczyła na parapet i w ostatniej chwili przymknęła za sobą okno. Co prawda nie zostało ono zamknięte do końca, ale nie było to dostrzegalne na pierwszy rzut oka. Kiedy światło z holu wlało się do pokoju i postać halflinga stanęła w wejściu, dziewczyna zwinnie i ostrożnie skierowała się w stronę okna wychodzącego z sypialni obok. Uczepiona rękami jedynie o brzeg stromego dachu, musiała szybko pokonać kilkanaście stóp do następnego parapetu, gdzie mogła znaleźć oparcie dla nóg. Jej towarzysze, schowani w cieniu na dole, przyglądali się poczynaniom kobiety z zaskoczonymi minami.

Jak do tej pory nie napotkała więcej przeszkód, toteż szybko dotarła do drugiego okna, gdzie mogła złapać oddech i kontynuować ucieczkę. Parapet był tutaj dostatecznie szeroki, by stanęła na nim bez

podtrzymywania się o dach. Uważając, by nie stracić równowagi, kucnęła powoli, twarzą wciąż zwrócona do okna, mocno chwyciła brzeg parapetu, opuściła się na dół i zwolniła uchwyt. Upadając na ziemię, zwinęła się w kłębek i by zamortyzować nieco siłę upadku, przeturlała się na bok.

Gdy już wszyscy bezpiecznie opuścili dom halflinga i ponownie zebrali się w cieniu, gotowi, by ruszyć w drogę powrotną do karczmy Pod Kapturem, wciąż zdumiony czarodziej zapytał:

- Culchie, co to miało być? Nie mogłaś wyjść zwyczajnie, jak my?

- Ekhem, Adi, nie sędzę, by nasze wyjście było można uznać za takie zwyczajne, ale faktycznie, Culchie, po co tak kombinowałaś? Nawet nie mogłaś mieć pewności, że krawędź dachu wytrzyma taki ciężar. To było niepotrzebne ryzyko.

- Niepotrzebnym ryzykiem byłoby zostawienie okna otwartego na oścież! - syknęła ostro w ich stronę. - Tak przynajmniej mamy sporo czasu na wyniesienie się stąd, nim halfling w ogóle zorientuje się, że coś jest nie tak.

I nie mówiąc ani słowa więcej, ruszyła drogą powrotną, prowadząc pozostałych troje całkiem inną drogą niż poprzednio. Ponownie ominęli po cichu strażę i przemknęli w cieniach, aż dotarli do tawerny. Gdy tylko weszli do środka, zaczęli się rozglądać za półelfem, który poprosił ich o pomoc. Niebieskooka kobieta pierwsza zauważyła go w tym samym miejscu, gdzie siedział wczoraj, i kiedy ich

spojrzenia spotkały się, lekko skinęła głową i poprowadziła towarzyszy na górę, do pokoju, który wynajęli na kolejną noc.

Czekając w pomieszczeniu z uchylonymi drzwiami na nadejście Aesdila, rozmawiali przyciszonymi głosami. Półelf zjawił się dość szybko.

- No i? - spytał wprost z wyczuwalnym podekscytowaniem.

- Znaleźliśmy obrączkę, tak jak prosiłeś - odparł Adi, wręczając półelfowi srebrny przedmiot.

- Ale jest coś, o czym powinieneś wiedzieć - dodała Thalianna, wyciągając w jego stronę dwa pergaminy zabrane z domu niziołka.

- Co to jest?

- Zdaje się, że gildię, do której należysz, czekają kłopoty - udzielił odpowiedzi Galandir.

- Niziołek, który cię okradł, najwidoczniej okradł również wielu innych członków. Od jakiegoś czasu współpracuje z człowiekiem o imieniu Felix Taklinn i wszystko wskazuje na to, że chcą doprowadzić do upadku gildii. Obawiamy się, że może ich być więcej. W przeszłości często zdarzało się, że takie spiski sięgały poza jedną gildię i jedno miasto - wyznała Thalianna, przyglądając się badawczo półelfowi.

Aesdil stał w milczeniu, czytając uważnie listy, które przekazała mu elfka. Jego pierwotne podekscytowanie powoli wygasło, zastąpione szczerym wyrazem zdumienia na jego smukłej twarzy.

- Na Otchłanie Piekielne - mruknął, zwracając swe spojrzenie na najemników. - To wiele zmienia. Jutro o świcie muszę wyruszyć do Orstlake, by przekazać te niepokojące wieści. Jestem naprawdę wdzięczny, że mi o tym powiedzieliście. Modłę się w duszy, by nie było za późno... Od wielu tygodni nie miałem żadnych wieści z gildii, byłem zbyt zajęty ściganiem tego cholernego niziołka, żeby w ogóle myśleć o takich sprawach. Ach, wasza zapłata - dodał, odczepiając jedną z sakiewek przy pasie i wręczając im ją.

- Chcemy ci pomóc - rzekła wprost elfka po chwili ciszy.
- Jeśli nie masz nic przeciwko, możemy wyruszyć z tobą nazajutrz.

- Naprawdę doceniam waszą ofertę, ale to jest zadanie, które muszę wykonać sam - odparł Aesdil. - I dziękuję wam za odzyskanie tego pierścienia, to wiele dla mnie znaczy. Co prawda nie chcę, byście mieszaali się w sprawy gildii bardziej, niż to było konieczne do tej pory, ale jeśli chcecie, możecie mi towarzyszyć w drodze do Orstlake. Przynajmniej przez ten czas nasze drogi będą połączone, a później... Któż wie? Jednak zawsze potrafię docenić dobre towarzystwo.

- Zatem wygląda na to, że niebawem ponownie ruszamy na szlak. Jednak pozostała nam jeszcze dzisiejsza noc. Proponuję, byśmy ją wykorzystali na radowanie się, gdyż nie sądzę, by taka okazja miała się powtórzyć szybko. Chodźmy na dół.

I wszyscy ruszyli na dół, by zjeść i wypić, ciesząc się ciepłem oraz towarzystwem półelfa, który chętnie do nich dołączył.

Być może nadciągały mroczne czasy dla gildii najemników w Orstlake, jednak nie było to zmartwieniem przyjaciół, a nowo poznanego Aesdila Virra. Może był to początek nowej przyjaźni, a może jedynie przelotna znajomość. Nie wiedzieli tego jeszcze, choć obecność półelfa wcale im nie przeszkadzała.

Chociaż przybyli do Scabard z zamiarem wypoczęcia przez kilka dni, los zdecydował inaczej i ponownie rzucił ich na szlak, z czego każde z nich w głębi serca było rade.

10. Kwestia uprzedzenia

DWOJE LUDZI, ELFKA I PÓŁELF właśnie przechadzali się skrajem lasu w poszukiwaniu dogodnego miejsca na obozowisko. Choć dopiero było południe, a wiosenne słońce wciąż wisiało wysoko na niebie, towarzysze zapragnęli zawczasu znaleźć miejsce na nocleg, a przez resztę dnia po prostu rozkoszować się cichym, spokojnym miejscem i piękną pogodą. Idąc brzegiem lasu, cały czas mieli liściastą puszcę po swej lewej stronie, a kilkadziesiąt jardów w bok, po prawej, zaczynały się strome, skaliste górskie zbocza. Pomiedzy lasem a górami rozpościerała się połać zieleni.

Gdyby nie ciekawość przyjaciół, najpewniej nigdy nie zawędrowaliby do tego spokojnego miejsca. Czarodziej właśnie sprzeczał się o coś ze swą ludzką kompanią, gdy tropicielka - idąc kilka kroków przed nimi - nagle zatrzymała się, uniosła lewą rękę w górę, a drugą sięgnęła do miecza przy pasie. Dwoje ludzi zajętych przekomarzaniem się nie zauważyło gwałtownej reakcji elfki i wpadli na nią, niemalże się przewracając. Galandir

minął ich i podszedł do przyjaciółki. W jego dłoniach już tkwiły smukłe ostrza, które potrafił wprawić w doskonały taniec śmierci.

- Co się dzieje, Thalianno? Co usłyszałaś? - szepnął.

- Ktoś nadchodzi - odparła. - Adi, Culchie! Spokój! Mamy towarzystwo, są gdzieś za nami. Szybko, ukryjmy się w zaroślach w głębi lasu.

Każdy dobył broni, by być zawczasu przygotowanym na walkę i zachowując się najciszej, jak potrafili, wycofali się w las, gdzie roślinność była bujniejsza. Culchie wspięła się na drzewo zwinnie niczym wiewiórka i zniknęła pomiędzy gałęziami. Natomiast pozostali troje znaleźli nieopodal gęste krzaki, w których zmieścili się bez problemu. Osłaniany przez zarośla byli niewidoczni dla kogoś, kto spojrzałby w ich stronę, a jednocześnie sami mieli dobry punkt obserwacyjny. Czekali w ukryciu, nasłuchując.

Odgłosy ciężkich kroków i podzwanie zbroi słyhać było coraz bliżej. Wyłapali również gardłowe, ostre dźwięki i warczące głosy. Kilka minut później dostrzegli oddział orków przechodzący po pasie zielonej trawy pomiędzy lasem a górskim zboczem. Oddział zachowywał się dość swobodnie i pewnie, co wskazywało, iż znają okoliczne tereny. Towarzysze naliczyli około piętnastu orków, co oznaczało, że stwory miały niemalże czterokrotną przewagę. Istoty maszerowały w zwartym szyku, prowadząc w środku grupkę księżycowych elfów. Było z nimi również małe, drobne elfie dziecko. Stwory, rozmawiając w swoim

języku pełnym ostrych i chrapliwych dźwięków, popychały spętanych jeńców.

Na ten widok Thalianna drgnęła zauważalnie, mocno zaciskając szczękę oraz dłoń na rękojeści miecza, aż zbieleły jej knykcie. Poczowała, jak smukła ręka półelfa spoczęła na jej ramieniu i lekko się zacisnęła, zupełnie jakby dawał jej ostrzeżenie, by nie zrobiła niczego głupiego. Jednak kobieta ledwo powstrzymywała gniew, który zaczął w niej wrzeć na widok pojmanych elfów. Oddział hałaśliwie przewędrował dalej, zapewne zmierzając do swej siedziby. Kilka minut później było słychać jedynie odległe dźwięki, a towarzysze ponownie byli sami, toteż w końcu opuścili ukrycie.

- Przeklęte istoty. Nie powinny mieć prawa, by stąpać po tej ziemi! - warknęła tropicielka gniewnie, wyrzucając z siebie całą złość.

- A tej co się stało? - spytała Culchie, zeskakując z drzewa i dołączając do pozostałych.

- Orkowie pojмали piątkę księżycowych elfów, w tym elfie dziecko. Sami widzieliście - wyjaśnił Galandir ze smutkiem w głosie. - Niezwykle smuci mnie to, jaki los czeka ich w orczych łapskach.

- Nie zostawię tego tak - syknęła Thali uparcie. - Musimy im pomóc! To są moi pobratymcy, a to, że pochodzą z innego klanu, niczego nie zmienia.

- Ale oni przecież mają nad nami czterokrotną przewagę! A tam, gdzie idą, jest ich zapewne jeszcze więcej. Nie damy im rady! - zaprotestował Adi.

- Czy twój genialny plan wyzwolenia tej piątki ma jakieś rozwiązanie, dzięki któremu byśmy mogli pokonać całą orczą horde, jednocześnie nie dając się zabić? Od kiedy to wbieganie w środek orczego plemienia, by ratować kogoś zupełnie obcego, stało się naszym głównym zadaniem? Nie jesteśmy żadnymi bohaterami - wtrąciła ludzka kobieta, zwracając się do elfki, a w jej głosie pobrzmiwała odrobina kpiny.

- Thali, oni mają rację - odparł cicho Galandir. - Rozumiem twój ból i smutek, ale nasza śmierć w żaden sposób nikomu nie pomoże.

- Nic nie rozumiesz! - odwarknęła elfka, trąc ramieniem półelfa i odchodząc od zebranych kilka kroków na bok. - Żadne z was nie zrozumie. Śmierć jest niezwykle łaskawym rozwiązaniem w porównaniu do niewoli. I to u takich plugawych istot, które bawi dręczenie jeńców. Orkowie, hobgobliny to jedno i to samo. Oni nie okażą tym elfom ani odrobiny litości, bo jej nie znają.

Kobieta wpatrywała się w dal. Zapadła cisza, pozostali spojrzeli po sobie, nagle pojmując, że ich towarzyszka wróciła myślami do dni, które tak ją zmieniły, do wspomnień, w których była więźniem hobgoblinów. Choć na jej twarzy nie dostrzegli innych uczuć niż gniew i determinacja, by pomóc pobratymcom, zdawali sobie sprawę, iż właśnie toczy wewnętrzną walkę, by zapanować nad sobą i nie dać się porwać emocjom, które wywoływały bolesne wspomnienia.

- No dobrze, więc jaki mamy plan? - Culchie przerwała ciszę. Zacięta mina elfki wyraźnie wskazywała, iż nie zamierza zostawić pojmanych elfów na pastwę losu, a niebieskooka nie chciała porzucić swej przyjaciółki z powodu sprzecznych opinii.

- Może byśmy najpierw znaleźli ich obozowisko czy siedzibę, gdzie przesiadują? - zaproponował czarodziej, pomimo początkowej niechęci.

- Thali, spokojnie. Spróbujemy jakoś im pomóc. Na pewno nie zostawimy cię z tym samej. Możesz na nas liczyć. - Galandir podszedł do towarzyszki, położył obie dłonie na jej ramionach i delikatnie obrócił ją tak, by ich oczy spotkały się. - Poprowadzisz nas po ich śladach?

Tropicielka nieco rozluźniła spięte mięśnie, uspokoiła się i skinęła głową. Wsparcie przyjaciół podniosło ją na duchu i po raz kolejny uświadomiło, iż naprawdę nie porzucą jej bez względu na wszystko. Thali zaczęła prowadzić przyjaciół w stronę, w którą niedawno poszedł orczy oddział. Ponieważ stwory zostawiały wyraźne ślady swych ciężkich buciorów, nawet podróżnik niezbyt wprawny w tropieniu mógł bez problemu za nimi podążyć. Ruszyli po śladach, cały czas idąc między puszczą a górami.

Po kilkunastu minutach wędrowki zatrzymali się, gdyż świeże, wyraźne odciski obutych stóp prowadziły do jaskini w górskim zboczu.

- Orkowie byli tacy pewni siebie, że nawet nie zwracali uwagi na otoczenie - mruknęła Culchie. - To tylko ułatwi nam dostanie się pomiędzy nich.

Thalianna jako pierwsza wkroczyła do krótkiego tunelu prowadzącego do jaskini. Kucnęła i przyłożyła ucho do chłodnej skały, wsłuchując się uważnie. Kamień niósł cichy dźwięk, wyraźnie wskazujący na to, że orkowie muszą mieć swą siedzibę trochę głębiej pod ziemią. Natomiast Adi wyczarował niewielką kulę nikłego światła, które bystrym oczom pozwalało na zbadanie jaskini.

Na pierwszy rzut oka zdawało się, iż w grocie nie ma żadnego tunelu poza tym, którym się tu dostali. Jednak ślady wskazywały, że orkowie weszli do jamy, a odległe głosy tylko upewniły tropicielkę, że jest tu gdzieś drugie przejście. Razem z towarzyszami zaczęła przeszukiwać jaskinię w półmroku i kilka minut później wszyscy czworo stali przed jeszcze ciemniejszym zagłębieniem, które w rzeczywistości było kamiennym wejściem do dalszego korytarza.

Po kolei zagłębiali się w mroczne przejście. Czarodziej przyciemnił magiczną kulę światła, by jej blask nie zdradził ich obecności. Poruszali się powoli, co jakiś czas Thalianna zatrzymywała się, przykładając ucho do skał i nasłuchiwała w skupieniu. Byli coraz bliżej. Teraz odgłosy, warczenie i brzęczenie było słyszalne również dla pozostałych.

- Adi, zgaś światło, bo nas zdradzi - szepnęła elfka.

Poruszanie się w całkowitych ciemnościach nie było łatwe, jednak mogli kierować się dochodzącym z przodu hałasem. Nagle ciemności ustąpiły miejsca światłu. Opuściwszy tunel, weszli do naturalnie wyżłobionej jaskini o gigantycznych rozmiarach. Widok, który im się ukazał, był

wręcz zaskakujący. Nieco w dole zostały wybudowane chatki, niektóre wykonano z drewna, inne wykuto z kamienia. Przed nimi znajdowała się niewielka podziemna osada oświetlona pochodniami. Gdzieś na uboczu dostrzegli drewnianą zagrodę z owcami.

Gdy ich początkowe zdumienie minęło, skryli się nieopodal wyjścia z tunelu. Starali się poruszać cicho i przybliżyć do niezwyklej siedziby, która leżała w zagłębieniu na środku ogromnej groty. Orcze postacie kręciły się w dole, zupełnie nie zdając sobie sprawy z obecności intruzów. Towarzysze nigdzie nie zdołali dostrzec elfich jeńców.

Kryjąc się za jedną z potężnych skał, Thalianna i Galandir poczuli nagłe szarpnięcie w tył, a następnie dyszenie tuż przy uszach i dotyk zimnego, ostrego metalu na szyjach. Dwoje ludzi słysząc i dostrzegając poruszenie, zerwało się gwałtownie, jednak po chwili czarodziej również został skutecznie unieruchomiony przez silne orcze ramiona. Stwory zaczęły warczeć w swym języku, ale Culchie nie była w stanie ich zrozumieć. Jedynie ton, jakim mówili orkowie, wskazywał, iż nie są zadowoleni z towarzystwa intruzów. Trzy istoty, które przystawiły ostrza do gardeł przyjaciół kobiety, spoglądały na nią złowrogo, natomiast ona ścisnęła w dłoniach swój sztylet oraz krótki miecz.

- Co oni mówią? - jęknęła, rzucając szybkie spojrzenie na elfkę, a następnie wodząc wzrokiem pomiędzy swymi kompanami a orkami.

Thalianna nie zareagowała, zastygła jedynie w całkowitym bezruchu. Jednak Galandir przemówił do orków w dziwnym, obcym języku, pełnym chrząknięć i ostrych dźwięków. Ponieważ znał język goblinów w pewnym stopniu, a mowa tych istot i orków była do siebie dość zbliżona, półelf miał nadzieję, iż w jakiś sposób zdołają się porozumieć.

- Rzuć broń! - warknął nagle ork trzymający Thaliannę. Wyglądało na to, że jednak znał wspólną mowę.

Culchie, szybko oceniwszy sytuację, uznała, że nie może narażać przyjaciół na jeszcze większe niebezpieczeństwo, dlatego posłuchała rozkazu i upuściła na ziemię oba ostrza. Po chwili wahania sięgnęła również po kuszę, którą miała na plecach, i dorzuciła ją do pozostałej broni. Orkowie wydali podobne rozkazy pozostałej trójce i chwilę potem przyjaciele stali zupełnie bezbronni. Istoty otoczyły ich z trzech stron. Najmniejszy z orków, ten, który przytrzymał wcześniej tropicielkę, rzucił coś szybko do swych pobratymców, a potem zwrócił się warkotliwie do pojmanych.

- Idźcie teraz do Hetvogha.

Czując ostrza broni na swych karkach, zostali poprowadzeni w dół jaskini, prosto do centrum orczej siedziby. Gdy wkroczyli w krąg, gdzie światło było jaśniejsze, mogli dokładniej przyjrzeć się swym przeciwnikom. Dwóch z nich było wysokimi istotami, przewyższającymi przeciętnego człowieka o głowę, ich potężne mięśnie pracowały przy każdym ruchu. Obaj mieli

krótkie czarne włosy, szarą skórę pokrywała cienka szczecina o podobnym kolorze, ich ślepia były żółte i przekrwione. Pożółkłe, wielkie i ostre kły wystawały z wydłużonych szczęk. Jeden z orków miał grubą, wyraźną bliznę przecinającą lewy policzek, biegnącą spod oka aż do krawędzi szczęki. Dwóch większych orków nosiło metalowe zbroje, pobrzękujące co jakiś czas, natomiast mniejszy, który wydawał rozkazy, ubrany był w zbroję z grubej, sztywnej skóry. Towarzysze zauważyli, że porusza się on z większą zręcznością i lekkością niż pozostali dwaj.

Cały czas milcząc, by nie sprowokować orków, szli posłusznie, aż w końcu zatrzymali się przed dużym drewnianym budynkiem. Wszyscy czworo zostali ostro wepchnięci do środka, a gardłowe warkoty zmusiły ich do przejścia na drugą stronę pomieszczenia. Pokój, w którym się znaleźli, był dość prosty. Na jego końcu stało solidne siedzisko przypominające tron, lecz w całości wykonane z drewna. Do ścian przymocowano pochodnie, które dobrze rozświetlały mrok. Natomiast na środku sali stało kilka długich stołów i dwa rzędy ław poustawianych po obu stronach każdego. Wyglądało to jak jakieś miejsce spotkań orków, być może swego rodzaju sala obrad.

Kiedy podeszli do siedziska, na którym spoczywał potężny ork, dostrzegli, że tron wyłożony jest zwierzęcymi futrami, które leżały również wokół stóp orka. Przyjaciele domyślili się, że stoją przed przywódcą orczej watahy. Po szybkiej wymianie zdań między stworami ork podniósł się i wbił żółte ślepia w intruzów. Przywódca był równie wysoki

jak dwóch orków, którzy ich pochwycili, potężne mięśnie zafalowały pod skórą, gdy się poruszył. Drewno pod jego ciężkimi butami zaskrzypiało, a on wyszczerzył swe ostre, nierówne kły w grymasie.

- Kolejne plugawe elfy - warknął we wspólnej mowie, co zaskoczyło podróżników.

Ork, widząc ich zdumione miny, zaśmiał się gardłowo i donośnie.

- Tak, tak. Ja dobrze rozumiem ludzki język. Ja nie mówię najlepiej, ale dobrze rozumiem. - Rzeczywiście, ork mówił całkiem zrozumiale, choć czasem pobrzmiwały ostre dźwięki w wymawianych przez niego słowach. - A teraz mówcie, po cholere tu przyszliście?!

- Złapaliście w niewolę grupę elfów - wyrzuciła z siebie gniewnie Thalianna. - Mordercy! Nic dziwnego, że wszyscy was nienawidzą. Jedyne, czego pragniecie, to zabijanie i rozlew krwi!

- Thali... - Culchie syknęła ostrzegawczo do towarzyszek, próbując ją powstrzymać przed wypowiedzeniem dalszych słów.

Ork postąpił kilka kroków do przodu, stanął przed tropicielką i spojrzął na nią z góry.

- Klan Dru-hovr nie morduje - odparł spokojnie, a elfka mogła poczuć smród wydobywający się z paszczy stworza. - Elfy muszą umrzeć. To są mordercy. Wyrznęli wielu moich podwładnych. Zabili Valtozgha, mojego syna!

- Widocznie zasłużyliście na takie traktowanie - odparowała tropicielka, nic sobie nie robiąc

z wcześniejszych ostrzeżeń Culchie.

- Nie wiesz, co znaczy „Dru-hovr”, elfie, hę? - spytał wciąż spokojny ork, tym razem posyłając spojrzenie całej czwórce. - „Dru-hovr” znaczy „zmiana” w języku mego ludu. Klan Dru-hovr nie morduje, bo porzucił zwyczaje swego ludu.

- Wy nie jesteście do tego zdolni - wtrącił cicho Galandir, ściągając na siebie uwagę wielkiego orka.

- Byłbyś zaskoczony, mieszańcu - odwarknął stwór. - Ja, Hetvogh, wódz klanu Dru-hovr, sprowadziłem swych współplemieńców tutaj. Stworzyliśmy siedzibę w ukryciu. Inne plemiona wciąż mordują i grabią, my nie. Chcemy się oczyścić ze złej sławy, ale cholerne księżycowe elfy ciągle nas napadają i zabijają. Nie rozumieją. Co my im zrobiliśmy? My! Nie inne plemiona, ale my. Żyjemy tutaj w ukryciu przed światem. Elfy wymordowały moich, a teraz za to odpowiedzą. Śmiercią.

Gdy czworo przyjaciół usłyszało krótką przemowę Hetvogha, ciężko im było uwierzyć w jego słowa. Cofnęli się o parę kroków, patrząc na potężnego orka z nieco innej perspektywy.

- Więc pragniesz śmierci tych elfów z konkretnych powodów, a nie dlatego, że są elfami, i wy, orkowie, lubicie przelewać elfią krew? - spytał Adi bez wahania.

- Nie pragnę tego. Zasłużyli na to - odparł spokojnie Hetvogh. - Nienawiść pomiędzy nami i elfami jest stara, pradawna. I niewłaściwa. Nie wszyscy są gotowi na zmiany czy na akceptację zmian. Klan Dru-hovr to zmiana.

Podczas gdy Thalianna zupełnie zamilkła skupiona na swych myślach, Culchie zwróciła się do orczego przywódcy:

- Hetvoghu, zdajesz sobie sprawę z tego, że świat nie jest gotowy na taką zmianę? Być może nigdy nie będzie. I chociaż wciąż ci nie ufam, to zdobyłeś mój szacunek, jeśli naprawdę wyzbyłeś się uprzedzeń rasowych i jeśli twe słowa są prawdziwe.

- To zaskakujące usłyszeć coś takiego, ludzka kobieto - rzekł Hetvogh, wracając na swe siedzisko z futrami. - Może to pokolenie klanu Dru-hovr niczego nie zmieni, ale może potomkowie naszych potomków zostaną w końcu zaakceptowani. Zwyczaje mojego ludu są surowe i nie zawsze właściwe, a uprzedzenia, nasze i wasze, tylko utrudniają wszystko. Ale to nie jest wasze zmartwienie. Wy nie wyrządziliście nam krzywdy, więc my nie skrzywdzimy was. Na dowód, że klan Dru-hovr naprawdę oznacza zmianę, będziecie mogli odejść wolno. Nie zaatakujemy was.

Adi i Culchie zerknęli na milczących elfkę i półelfa. Zdawało się, że orczy przywódca pozwala im odejść, a jednak Thali i wojownik wciąż uparcie pozostawali w bezruchu.

- A co z dzieckiem? Elfim dzieckiem? - spytał wreszcie Galandir, wypowiadając pytanie ostrym tonem i nieugięcie wbijając swe szare oczy w orka. - Ono niczemu nie zawiniło. Pozwól nam je zabrać ze sobą.

Orczy przywódca rozsiadł się wygodniej na tronie i oparł brodę na zaciśniętej pięści. Zapadła cisza, która

zdawała się ciągnąć w nieskończoność. W końcu Hetvogh zawołał coś po orczeniu do mniejszego stwora, który wciąż stał przy wejściu do pomieszczenia. Niewielki ork szybko opuścił salę i po krótkiej chwili wrócił, a za nim kroczyła orcza kobieta prowadząca przed sobą elfie dziecko. Hetvogh skinął masywną głową i kobieta podeszła do niego.

- To jest Shrugg Thrinnk Trugg, nasza szamanka - wyjaśnił przywódca.

Orczyca była dość drobnej postury, czarne, smoliste włosy zebrała ciasno na czubku głowy i zaczesła w długi warkocz. Żółte, przekrwione ślepia zerkały raz na towarzyszy, a raz na Hetvogha. Niewielkie kły ledwo wystawały z jej szczęki. Nosila kolorowe, czerwono-żółte szaty, które falowały wokół niej przy każdym, nawet najlżejszym ruchu. Nadgarstki miała wielokrotnie obwiązane cienkimi skórzanymi paskami, a z szyi zwisał naszyjnik zrobiony z wielu orczych kłów. Jedną ręką spoczywała na ramieniu drobnej elfiej dziewczynki, a w drugiej dzierżyła powykrzywiany, sękaty kij, na którym wyryto jakieś dziwne znaki, znane tylko szamance.

- Hetvoghu? - zawarczała orczyca donośnym, mocnym głosem, zupełnie nie pasującym do tak niewielkiego stworzenia.

Przywódca spojrzał po kolei na każdego obecnego w sali, również na małą elfkę, po czym zaczął wyjaśniać.

- Shrugg zajmie się małym elfem. Dziewczynka zostanie z nami. Nie zabijemy jej, ale będzie żyć tutaj, bez uprzedzeń rasowych. Jak dorośnie, będzie mogła odejść - jej wola. Ale

inne elfy muszą zginąć. Wiedziały, że mogą umrzeć, gdy zaczęły walkę z nami. Znały ryzyko.

Culchie, ku zaskoczeniu zebranych, powoli podeszła do dziewczynki, kucnęła obok niej i spojrzała w złotozielone oczy małej. Srebrne loki okalały jej niewielką twarzyczkę, a skośna grzywka częściowo przysłaniała oczy w kształcie migdałów. Jasna i delikatna skóra była gdzieś odrapana. Drobne, blade usta zadrżały. Kobieta uznała, że mała wygląda jak ludzkie dziecko w wieku ośmiu lat, choć zdawała sobie sprawę, że elfka może być starsza.

- Jak się nazywasz? - spytała ją łagodnie.

Po chwili wahania dziewczynka odparła cichym głosem:

- Jestem Myphea Avaritiae.

- Bądź silna, Mypheo Avaritiae. Naucz się żyć bez uprzedzeń i znajdź swoją drogę - rzekła Culchie, uśmiechając się przelotnie do dziecka, po czym wstała i wróciła do towarzyszy.

- Mam nadzieję, że nie kłamiesz, Hetvoghu. Czy możemy już odejść? - kobieta zwróciła się do orka.

- Tak, idźcie. Mudarh, Brugh i Deghen odprowadzą was do tunelu - uznał Hetvogh i skinął głową na trzech wojowników.

- Chodźcie - rzuciła Culchie do przyjaciół i pociągnęła lekko Thalianę za rękę, sama idąc przodem.

Trzech orków, którzy ich tu przyprowadzili, towarzyszyło im teraz do wyjścia. Bez oglądania się za siebie i bez zbędnych słów dotarli do miejsca, gdzie kazano

im porzucić broń. Podnieśli ją i odprowadzani spojrzeniami trzech wojowników zniknęli w ciemnościach tunelu.

Minęło kilka godzin, odkąd opuścili ukrytą siedzibę orczego klanu Dru-hovr i rozbili obozowisko na leśnej polance. Przez cały ten czas Thalianna była jakby nieobecna, niepokojąco milcząca. Kiedy Galandir rozmawiał z czarodziejem przy ognisku, Culchie odszukała elfkę, która siedziała na uboczu, i podeszła do niej.

- To musiało być dla ciebie dość wstrząsające - zagadnęła ludzka kobieta, siadając na kłodzie tuż obok przyjaciółki.

- Kierowały mną uprzedzenia, głęboko zakorzeniona nienawiść - mruknęła cicho tropicielka, wzdychając i kręcąc głową.

- Nic w tym dziwnego. Zostałaś wychowana na uprzedzeniach. Tak jak każdy z nas, Thalianno.

- Od razu uznałam, że ci orkowie są źli, a grupa elfów jest niewinna. Ale spójrz na mnie. Orkowie przynajmniej mogą usprawiedliwiać przed sobą swe czyny tym, że ich bóg właśnie tego od nich wymaga. A ja? Przelewałam krew niewinnych, dzieci, nie patrzyłam nawet, kogo zabijam, nie miałam żadnych wyrzutów sumienia. Nie mogę tego usprawiedliwić wymaganiami żadnego z bóstw, robiłam to dla kaprysu, zachowywałam się gorzej niż najpodlejszy z orków. Nie mnie oceniać, co jest dobrem, a co złem. Jakaż głupia byłam. Dopiero teraz to dostrzegam.

- Po prostu zbłądziłaś, ale znalazłaś w sobie siłę, by wrócić na właściwą ścieżkę. Tak samo jak i ja. Byłam złodziejką i płatnym mordercą, ale porzuciłam dawne zwyczaje. Dru-hovr, zmiana. - Culchie zaśmiała się lekko. - Każdy z nas ma w sobie zarówno dobro, jak i zło. Musimy nauczyć się je równoważyć. A to, w którą stronę się skierujemy, zależy tylko od nas. Wielu ludzi, elfów czy przedstawicieli innych ras jest podłymi istotami, przepełnionymi niegodziwością i chciwością. Ale i wśród niegodziwych orków albo goblinów znajdują się wyjątki, które kierują się dobrem. Jednak nie powinniśmy zapominać, że mimo wszystko orkowie i im podobni są niebezpiecznymi istotami. To również kwestia tego, co nam podpowiada instynkt przetrwania, Thalianno.

- Chyba masz rację, Culchie - oparła tropicielka, przypominając sobie życie w Berkeep i dwie wyjątkowe osoby tam poznane, które pochodziły z podłych ras. - Kiedy stałaś się taka mądra, co?

- Po prostu uświadomiłam sobie, że to, co widzimy, nie zawsze musi być takie, jak nam się zdaje. Pozory mylą. I czasem trzeba być gotowym na zmiany, umieć je zaakceptować - odparła ze śmiechem wojowniczką. - Być może Hetvogh zapoczątkuje coś zupełnie nowego, a my w końcu nauczymy się oceniać, biorąc pod uwagę rozsądek, a nie zakorzenione uprzedzenia. No dobrze, chodź już. Adi i Galandir czekają przy ognisku i na pewno się ucieszą, że znowu się odzywasz.

Kobiety wróciły do obozu, gdzie w krótkim czasie dołączyły do rozmowy towarzyszy. Po spożytym posiłku i odrobinie odpoczynku każdemu poprawił się humor.

Byli zadowoleni, że sprawy z orczym przywódcą tak się potoczyły. To spotkanie dało im wiele do myślenia. Musieli zweryfikować swe dotychczasowe poglądy, przemyśleć jeszcze raz ogrom spraw, które do tej pory zdawały się dla nich tak oczywiste. Grupa księżycowych elfów nie potrafiła pozbyć się uprzedzeń i nienawiści, w której zostali wychowani. Ostatecznie musieli zapłacić za to życiem, a to skłoniło czworo przyjaciół do przemyślenia, czy zachowanie i nienawiść, jaką darzą niektóre rasy, jest właściwa i uzasadniona...

11. Klątwa Zethar

CZY WY TEŻ MACIE WRAŻENIE, że nie powinniśmy tutaj przyjeżdżać? - mruknęła Culchie do swych towarzyszy w momencie, gdy ich konie wkraczały do wioski.

- Spokojnie, będziemy ostrożni - odparł Galandir, zatrzymując swego konia i rozglądając się po placu.

- Jeśli faktycznie to jest zwyczajna zaraza, to szybko wyjedziemy - dodała zielonooka elfka. - Ale jak będziemy tak stać tutaj, to nigdy się nie dowiemy.

Przyjaciele zeskoczyli z wierzchowców, zabrali z juków swój ekwipunek i zaprowadzili konie za uzdy w stronę niewielkiej stajni. Przywiązawszy lejce do solidnie zbitej drewnianej poprzeczki, rozejrzeli się po okolicznych budynkach i ludziach kręcących się tu i ówdzie.

- A może najpierw byśmy sprawdzili karczmę? Może mają tam coś dobrego do jedzenia, bo zdążyłem zgłodnieć przez te dwa dni podróży.

- Adi! - wykrzyknęli chórem pozostali, rzucając ganiące spojrzenia na chłopaka.

- No co? Tak tylko mówię... - mruknął czarodziej rozczarowanym głosem. - Jak nie chcecie, to nie. W takim razie gdzie idziemy?

- Na pewno nie do karczmy - odparła z przekąsem Culchie, rzucając złośliwy uśmiech towarzyszowi.

- Ej, wystarczy już - przerwała Thalianna, nie mając najmniejszej ochoty na wysłuchiwanie kolejnej kłótni tych dwojga. - Chyba najrozsądniej będzie, jak znajdziemy tutejszego zarządcę.

Grupa skierowała się w stronę centrum wioski, gdzie znajdował się placyk ze studnią na środku oraz niewielkimi straganami porozstawianymi wkoło, na których można było znaleźć jakieś warzywa, mięso oraz chleb. Wioska nie była otoczona żadną palisadą, podobnie jak większość takich osad. Budynki zbudowano zarówno z drewna, jak i z kamienia. Znaczna ich część miała zaledwie parter, jedynie kilka domów było piętrowych. Gdzieniegdzie przed którymś mieszkaniem dostrzegli niewielki ogródek, w którym rosły kwiaty albo pachnące zioła. Główna droga biegnąca przez wioskę była mocno udeptana, a dziesiątki stóp przemierzające ją kilka razy dziennie skutecznie uniemożliwiały pojawienie się na niej trawy.

Wioska leżała na dość dobrym terenie. Nie był kamienisty, a ziemia wkoło zdawała się żyzna i odpowiednia pod uprawy. Osadę otaczały drzewa oraz zarośla, choć niezbyt liczne. W pobliżu nie było gęstego i dużego lasu, jedynie rzadko porośnięty zagajnik.

Przybysze po drodze zapytali o zarządcę i szybko zostali skierowani do odpowiedniego domu. Budynek był piętrowy, być może miał nawet poddasze, ale nie wyglądał zbyt bogato. Zapukali do drzwi i po chwili zostali powitani surowym spojrzeniem barczystego mężczyzny, który pojawił się w progu.

- Taa? - mruknął, przyglądając się uważnie przybyszom i dostrzegając, iż na pewno nie są mieszkańcami wioski. Gdyby byli, on wiedziałby o tym najlepiej.

- Czy ty jesteś zarządcą tej osady? - spytała uprzejmie Thali, zupełnie nie przejmując się nieprzyjemnym wyrazem twarzy mężczyzny.

- Tak, Varec Kitto, zarządca Zethar - odparł człowiek, drapiąc się po krótko przyciętej bródce. - Nie jesteście tutejsi. Czego chcecie? Jestem dość zajęty.

- Po co od razu z taką złością? - wtrącił Adi.

- Słuchaj, chłopcze. - Mężczyzna westchnął, przecierając swe szare oczy, które wyglądały na zmęczone. - Albo zaczniecie mówić, czego ode mnie chcecie, albo idźcie sobie. To nie jest najlepszy czas, a wioska ma swoje problemy.

- My właśnie w tej sprawie - wyjaśnił półelf. - Słyszeliśmy pogłoski, że w Zethar panuje dziwna choroba, która zabija ludzi. Chcieliśmy dowiedzieć się czegoś więcej w tej kwestii.

- W takim razie... - mężczyzna o imieniu Varec odsunął się, otwierając szerzej drzwi i wskazując przybyszom, by

weszli do środka - nie będziemy tak rozmawiać w progu. Może wy coś pomożecie.

Kiedy znaleźli się w środku, zarządca poprowadził ich prosto do niewielkiego saloniku. W tym czasie zdążyli się przekonać, że dom nie jest zbyt wystawny czy bogaty, choć na pewno lepiej wyposażony niż mieszkanie przeciętnego wieśniaka. Gdy już dotarli do salonu, mężczyzna jakby zawahał się na chwilę, po czym skierował się w stronę kuchni, rzucając do gości:

- Siadajcie, siadajcie.

Wrócił po chwili z tacą zastawioną kielichami wykonanymi z jakiegoś metalu - choć nikt nie sądził, by były one srebrne - oraz z butelką wina. Postawiwszy tacę na stole, rozlał trunek do czterech kielichów i podał je gościom. Ponieważ w pomieszczeniu znajdował się tylko jeden fotel oraz trzy drewniane krzesła wokół stołu, Varec poczekał, aż każdy zajmie siedzenie. Gdy Culchie jako jedyna wciąż stała, nie wyrażając najmniejszego zainteresowania siedzeniem i dreptała powoli wkoło, mężczyzna zajął wolne krzesło i ponownie wydał z siebie długie westchnienie pełne troski i zmęczenia.

Po stosownym przedstawieniu się oraz wymianie kilku uprzejmości, Varec przeszedł do sedna sprawy.

- Ta choroba to jest dziwna sprawa, nie przypomina żadnej zarazy. Nie ma jak jej leczyć, bo nie ma żadnych objawów. Nic. A ludzie umierają... Tak, tak.

- No ale w takim razie na czym dokładnie polega ta choroba? - spytała Thalianna, popijając łyk wina.

- Ano ludzie zaczynają wariować, a po paru dniach umierają. Nasza zielarka, Ailla Dia, może wam dać więcej szczegółów. Chyba prowadziła jakieś zapiski.

- A kiedy to wszystko się zaczęło? - zagadnął Galandir.
- Kiedy zauważono, że coś jest nie tak?

- Hmm... - Varec wyraźnie zamyślił się. Na jego twarzy pojawił się wyraz bezbrzeżnego smutku, a szare oczy zaszklily się. - Ano... To zależy, jak liczyć.

- Co masz na myśli? - podchwyciła Culchie, wciąż przechadzając się po pokoju, i skierowała uważne spojrzenie na zarządcę.

- Moja córka, Cari, straciła zmysły i od tego czasu nie jest sobą. Jakoś tak, kiedy Cari już oszalała, to pojawiła się pierwsza ofiara śmiertelna. A potem kolejna i kolejna. Zawsze jedna na raz.

- A więc sądzisz, że twoja córka postradała zmysły i wtedy wszystko się zaczęło, czy też może jej przypadek jest zupełnie oddzielną sprawą? - Thalianna spytała spokojnie, starając się, by jej słowa brzmiały łagodnie.

- Ja... - Varec zająknął się. - Ja nie mam pojęcia. Ona zachowuje się tak samo jak wszyscy ci, którzy potem umarli. Tyle że ona wciąż żyje, a ja każdego dnia obawiam się, że może sobie coś zrobić.

- Moglibyśmy porozmawiać z Cari? - Adi podniósł się z krzesła, odstawiając kielich na tacę.

- Jeśli chcecie... Ale nie sądzę, byście z niej wyciągnęli coś nowego - mruknął posepnie zarządca, również powoli się podnosząc. - Jak już mówiłem, pogadajcie z zielarką,

ona może wam więcej powiedzieć. Może z waszą pomocą jakoś uda nam się to powstrzymać.

- No cóż. W takim razie chodźmy do Cari - rzuciła Culchie i opróżniła kielich jednym łykiem.

- Tędy - wskazał mężczyzna i poprowadził towarzyszy schodami na górę. Skręcił do drugiego pokoju po lewej. Zapukał w drzwi, uchylił je lekko, wsunął głowę do środka i powiedział:

- Cari, kochanie, masz gości. - Kiedy wycofał się, by przepuścić przybyszy, rzucił do nich na odchodne: - Jakby coś, to będę w salonie na dole.

Niewielki pokoik był dość skąpo umeblowany. Toaletka, mała komoda i szafka z poustawianymi na niej drobiazgami. Na łóżku siedziała młoda dziewczyna, która podniosła spojrzenie na przybyszy, jednak nic nie powiedziała, nic nie zrobiła. Po prostu tam siedziała, ubrana w jasną, beżową sukienkę o prostym kroju, z długimi rękawami. Kręcone, brązowe loki opadały swobodnie na ramiona. Dziewczyna wyglądała na dwadzieścia lat, natomiast jej czekoladowe oczy wpatrzone w gości były przepelnione nieprzyjemną pustką.

- Cari, przyszliśmy porozmawiać - zaczęła ostrożnie elfka, przyglądając się dziewczynie i badając jej reakcję.

- Twój ojciec nam powiedział, co ci się stało - dodał łagodnie Galandir, nie będąc pewny, czy dziewczyna zrozumiała jego słowa. - Cari?

Dziewczyna, słysząc swe imię, zerknęła na srebrzystowłosego elfa.

- Powiesz nam, co ci się dokładnie przytrafiło? - wtrącił Adi, podchodząc parę kroków bliżej.

- Spirala - zaczęła młoda kobieta, odzywając się dość cicho, a jej głos był bardzo delikatny. - Ona... kręci się, kręci i kręci. Wciąga. Tak, spirala.

Kiedy zapadła cisza, a córka zarządcy opuściła głowę i zaczęła wpatrywać się w swe dłonie, towarzysze spojrzeli po sobie niepewni, co mają zrobić.

- Cari? - spytała cicho Thalianna z wahaniem w głosie.

- Ile kurczaków może gonić owcę? - odezwała się nagle Cari, ponownie podnosząc wzrok na gości. - Ona mnie wciąga... I kręci się, kręci. Nie pozwala odejść, choć ja jej nie mam... Już nie szepcze do mnie. Ale kręci się, kręci i wciąga. Ich również. Oni wiedzą. Ale nie powiedzą... Nie, nie.

- Czy ona wciąż mówi o owcy i kurczakach? - zapytał półgłosem wyraźnie zmieszany Adi. - Nic z tego nie rozumiem.

- To nie ma sensu - jęknęła Culchie, wążąc słowa dziewczyny. - Chodźmy już stąd. Nic tu po nas.

Kiedy odwrócili się bez słowa gotowi do wyjścia, usłyszeli, jak dziewczyna powtarza raz po razie, nucąc cichutko:

- A spirala kręci się, kręci i mnie wciąga. Trzyma i nie puszcza, a ja chcę odejść. Spirala kręci się, kręci...

I tak cały czas. Przyjaciele szybko opuścili pokój, zamykając za sobą drzwi i zeszli na dół do saloniku, gdzie czekał na nich Varec Kitto.

- Biedna dziewczyna - mruknął cicho Galandir, szczerze współczując córce zarządcy.

- I jak? Dowiedzieliście się czegoś? - spytał obojętnie mężczyzna.

- Nie jesteśmy pewni. Jej słowa nie układają się w nic sensownego - odparła elfka.

- Na waszym miejscu nie dopatrywałbym się żadnego głębszego sensu w tym, co mówi - podsumował z westchnieniem Varec.

- W takim razie my już pójdziemy. Spróbujemy porozmawiać z zielarką i dowiedzieć się czegoś od niej - rzekła Culchie, pożegnała się szybko z zarządcą Zethar i dała pozostałym znak, by ruszyli za nią.

Gdy już opuścili piętrowy dom, skierowali się na poszukiwanie siedziby kobiety, którą wskazał im Varec. Nie było to zbyt trudne z uwagi na spory ogród ziołowy przed domem zielarki. Podeszli do drzwi i zapukali. Adi mruknął:

- Może od niej dowiemy się czegoś więcej. Czegoś, co ma choć odrobinę sensu.

Drzwi uchyliły się i wyjrzała zza nich rudowłosa kobieta w wieku Adiego i Culchie. Całą jej twarz pokrywały piegi, a oczy miała intensywnie zielone. Jedną ręką poprawiała długie, proste włosy, zatykając niesforny kosmyk za ucho.

- Och, niech zgadnę. To wy jesteście tymi nowymi, co to dopiero do wioski przybyli, heh? - wypaliła od razu, mnąc w wolnej dłoni skrawek przybrudzonej niebieskiej sukienki.
- Wieści szybko się rozchodzą.

- Owszem, a ty zapewne jesteś tutejszą zielarką, tak? - odparła sucho Culchie, niezbyt zachwycona bezpośredniością dziewczyny, jednocześnie krzyżując ręce na piersi.

- Tak, jestem Ailla Dia. A tak w ogóle to po coście tu przyszli?

- Varec Kitto powiedział nam, że masz jakieś informacje na temat ostatnich śmierci i choroby odpowiedzialnej za to - wyjaśniła Thalianna.

- Eeee... No tak. Mam zapiski na ten temat.

- A moglibyśmy na nie rzucić okiem? - wtrącił Adi, uśmiechając się lekko do kobiety.

- Szukamy odpowiedzi albo chociaż jakichś wskazówek, które przybliżyłyby nas do rozwiązania tej sprawy z zarazą - poinformował kobietę Galandir.

- No dobrze, w takim razie wejdźcie.

Rudowłosa kobieta poprowadziła ich od razu do kuchni, w której unosił się intensywny zapach najróżniejszych ziół. Rośliny wisiały pod sufitem, inne leżały na szafkach. Stół, który kiedyś zapewne służył do jedzenia, był zavalony całą masą świeżych, pachnących roślin. Część z nich została już posiekana, a obok leżał nóż. Zapewne kiedy zapukali do drzwi, kobieta była zajęta krojeniem ziół.

Ailla podeszła do jednej z szuflad i po chwili grzebania wyciągnęła garść zapisanych kartek.

- Tutaj jest spisane wszystko na temat ofiar - rzekła. - Jak do tej pory pięcioro umarło. Dzisiaj rano znaleziono Vicka, też martwego. Znajdziecie tam opis jego śmierci.

Tym, co najbardziej zaskoczyło czworo przyjaciół, był spis podsumowujący dotychczasowe sposoby śmierci. Culchie przeczytała szeptem, zerkając na papier zza ramienia Galandira.

- Nort - próba odcięcia głowy piłą. Umarł z wykrwawienia. Kir - przebity na wylot trzonkiem złamanej miotły. Trzonek przytrzymał go pomiędzy szafkami, wisiał kilka stóp nad ziemią. Umarł z wykrwawienia. Lummie - ciało częściowo spalone. Kobieta znaleziono tkwiącą głową i ramionami w piecu. Brennie - próba zjedzenia odłamków szkła z wybitej szyby. Kobieta znaleziono z kawałkiem szkła wystającym z przebitego gardła...

- I Vick. Biedak próbował powbijać sobie młotkiem kilka widelców w głowę. I niestety udało mu się. Znaleźliśmy go martwego z trzema widelcami wbitymi w czaszkę - dodała smutno Ailla.

- Uh, to dość... hm, nietypowe rodzaje śmierci - uznała Thali.

- Aillo, co jeszcze możesz nam powiedzieć na temat tej choroby czy może raczej klątwy? - spytał półelf, zerkając na młodą kobietę opierającą się o stół.

- Cóż, jakby tak się przyjrzeć każdej śmierci i ofierze, to da się zauważyć pewien powtarzający się wzór - odparła powoli.

- Kontynuuj - zachęcił ją czarodziej.

- Dostrzegłam trzy etapy choroby. W pierwszym chory zaczyna zachowywać się dziwnie, inaczej niż zwykle. To

może trwać kilka godzin, ale nie ma widocznych żadnych dolegliwości fizycznych, dlatego łatwo to przeoczyć.

- A co z kolejnymi etapami? - zapytała tropicielka.

- Drugi etap trwa najdłużej. Ludzie popadają w obłąd. Początkowo jest on w miarę słaby, ale z upływem dni jest coraz gorzej. No i trzeci, ostatni etap to śmierć. Na ogół jest dość nietypowa, jak już sami zauważyliście.

- Ile czasu trwa ta część z obłąkaniem? - zaciekała się Culchie.

- Hm, jakoś tak ze dwa dni - odparła rudowłosa po krótkim namyśle. - Ale nikt nie był przy nich, byli zostawieni sami sobie. Może jakby ktoś ich pilnował, to by wytrzymali nieco dłużej.

- Czy dostrzegłaś coś jeszcze? Może coś, co się powtarzało przy każdej ofierze? - drażył dalej półelf, chcąc dowiedzieć się czegoś więcej.

- Każde z nich majaczyło coś o spirali. Poczekajcie chwilkę. - Zielarka ponownie podeszła do jednej z szuflad i zaczęła w niej szukać kolejnej kartki. Gdy znalazła właściwą, dodała: - Dla mnie to nie miało najmniejszego sensu i uznałam to za brednie, ale każde z nich ciągle powtarzało coś o spirali, która się kręci i ich trzyma. Mówili, że nie chce puścić, wciąga i szepcze do nich. Ale to jakieś bzdury są.

- Chwila - wtrącił nagle ożywiony Adi. - Przecież Cari Kitto, córka Vareca, też w kółko powtarzała o spirali i o tym, że ją wciąga i nie może odejść. A ja myślałem, że to było wciąż o tych kurczakach i owcy...

Gdy Ailla spojrzała pytająco na pozostałych gości, nie bardzo pojmując ostatnie słowa chłopaka, elfka wyjaśniła jej z ponurym uśmiechem na twarzy:

- Cari wcześniej wspominała coś o kurczakach goniących owcę, a potem znowu zaczęła mówić o tej spirali. Biedna dziewczyna.

- A może ty, Aillo, wiesz, co jej się właściwie przytrafiło?
- zapytał półelf.

- Chyba nikt nie jest pewien - odparła przyciszonym głosem kobieta, opuszczając głowę i wbijając spojrzenie w stół. - To wygląda jak początek tej choroby. Najpierw dziewczyna była jakaś dziwna, aż nagle zupełnie postradała zmysły. Czasem da się z nią porozmawiać, ale na ogół wygaduje tylko te brednie.

- Chwila - przerwała jej Culchie. - Jeśli to jest to samo, co zabiło pozostałych, to jakim cudem ona wciąż żyje? Od jak dawna Cari tak się zachowuje?

- Ano już dobre dwa tygodnie - odparła po namyśle Ailla. - Wszystko zaczęło się po tym, jak córka zarządcy zachorowała. Jej obłąkanie jest dość łagodne w porównaniu do tego u innych ofiar, ale na tyle mocne, by zniszczyć dziewczynie dalsze życie.

- Czyli Cari była pierwszą ofiarą? - podsumował czarodziej.

- Na to wygląda.

- No dobrze. Dziękujemy za wszelkie informacje - rzekła tropicielka. - Na nas już chyba pora.

Kiedy grupa zbierała się do wyjścia, usłyszeli za sobą zduszone sapnięcie zielarki.

- Poczekajcie chwilkę - rzuciła do nich, pobiegła pospiesznie do swej niewielkiej sypialni i wróciła z małą skrzyneczką.

- Co to jest? - Adi przyjrzał się z zaciekawieniem drewnianemu pudełku, a po chwili jego wyraz twarzy uległ nagłej zmianie. Szybko jednak zapanował nad swą reakcją, tak że nikt z obecnych tego nie dostrzegł. Elementy układanki powoli zaczęły się układać w całość.

Dziewczyna otworzyła pojemnik i wyciągnęła z niego przedmiot. Była to złota moneta. A może złoty krążek wielkości monety? Z obu stron ozdobiona została spiralnym wzorem. Podała ją Galandirowi, tłumacząc szybko:

- Znalazłam to przy ostatniej ofierze. Mam wrażenie, że widywałam ją też wcześniej u innych osób, które umarły. Chociaż nie mam całkowitej pewności. Nie wiem, czy to ma jakiś związek z chorobą, ale pomyślałam, że może wy na coś wpadniecie. A teraz idźcie - dodała na koniec nieco ostrzejszym głosem.

Bez dalszych słów opuścili dom rudowłosej zielarki i gdy znaleźli się kilka jardów od budynku, Adi zatrzymał ich.

- Czekaście - rzucił krótko, zbierając ich wokół siebie.

- Co tym razem, Adi? - spytała zirytowana Culchie z nutą kpiny w głosie. - Znowu jesteś głodny i chcesz nas zaciągnąć do karczmy? To ci się nie uda i tym...

- Zamknij się! - syknął urażony czarodziej. - To jest ważne, więc może posłuchaj uważnie i chociaż raz daruj sobie te uwagi. Ta moneta ze spiralą... Kiedy Ailla przyniosła szkatułkę z nią i stanęła blisko mnie, od razu wyczułem magię. To jest jakiś magiczny przedmiot.

Wszyscy spojrzeli na swego magicznie uzdolnionego przyjaciela, jednak ten wywnioskował z ich min, że jeszcze nie rozumieją, o co mu chodzi.

- I co z tego? - rzuciła ludzka kobieta, mrużąc kryształowo niebieskie oczy. - Na świecie jest pełno takich przedmiotów.

- Wy dalej nie pojmujecie - westchnął młodzieniec. - Każda ofiara, nawet Cari, mówiła o spirali i tak dalej. A teraz przyjrzyjcie się dokładnie złotemu krążkowi i powiedzcie, co na nim widzicie?

- No spiralę - odparła Thalianna, przyglądając się przedmiotowi, który Galandir okręcał w smukłych palcach.

- Właśnie - potwierdził rzeczowo chłopak. - A co, jeśli to wcale nie były majaczenia obłąkanych? Co, jeśli ten krążek faktycznie jest powiązany z chorobą albo raczej klątwą?

- No dobrze... Mów dalej, Adi - zachęcił go półelf, uważnie przysłuchując się wszystkiemu.

- Nie powiem, że jestem tego całkowicie pewien, ale śmiem przypuszczać, że wszyscy mówili o tym krążku ze spiralnym wzorem - zaczął wyjaśniać czarodziej. - Kiedyś mój mistrz, Eloret Blyth, opowiadał mi o takich zaklętych przedmiotach, które potrafią wpływać na wolę. Zresztą

przypomnijcie sobie naszyjnik Lady Sereene z Silvenmoor!
Nie pamiętacie już?

- Owszem, tamten naszyjnik dość zauważalnie wpływał na umysły goblinów - dodała elfka.

- Zatem według ciebie ta moneta wprowadziła tutaj tyle zamieszania? - wywnioskowała Culchie.

- Dokładnie! - odparł chłopak. - Wróćmy do domu Cari. Jeśli dziewczyna zobaczy krążek, to może powie nam coś nowego?

- Chyba warto spróbować - przytaknął półelf, chowając przedmiot do sakiewki przy pasie. - Poza tym wiele wskazuje, że to wszystko zaczęło się od niej. Ciekawe, jaki miała w tym udział...

- Dobrze, ale posłuchajcie - przerwała Thali. - Myślę, że najpierw moglibyśmy jednak coś zjeść. Cari i tak nigdzie nie ucieknie, a nam przydałaby się chwila odpoczynku po podróży. Chodźmy do karczmy.

Gdy wszyscy, bardziej lub mniej ochoczo, uznali, że jest to dobry pomysł, przyjaciele skierowali się do miejscowej tawerny. Nie zwracając najmniejszej uwagi na zatarty szyld z nazwą, weszli do środka i zamówili ciepły posiłek oraz napitek. Choć na chwilę mogli zapomnieć o zagadce wioski Zethar, która ich tu przywiodła, i cieszyć się dobrym jedzeniem oraz kuflem piwa. Czas upływał im dość szybko, wprawiając ich w przyjemny nastrój. Słońce zdążyło minąć już zenit i toczyło powolną wędrówkę ku horyzontowi. Chociaż było już późne popołudnie, na zewnątrz wciąż pozostawało jasno. Uznając, że już najwyższy czas na

powrót do zagadki, opuścili karczmę – zwłaszcza czarodziej miał dość posępną minę, gdyż nie pozwolono mu zostać dłużej w tawernie i spędzić reszty dnia przy kolejnym kuflu ciemnego piwa, albo i kilku.

- Chodźmy do zarządcy – mruknął Adi i puścił wszystkich przodem, sam idąc na tyłach.

Po krótkiej chwili ponownie stali pod drzwiami domu Vareca, tłumacząc mężczyźnie, że chcieliby jeszcze raz porozmawiać z jego córką. Sytuacja powtórzyła się, barczysty człowiek poprowadził ich na górę i zostawił samych z dziewczyną.

Półelf sięgnął do sakiewki, wygrzebał z niej złoty krążek i pokazując go dziewczynie, spytał:

- Cari, rozpoznajesz to?

Chwila ciszy. Córka zarządcy w końcu skinęła energicznie głową, wprowadzając w ruch swe brązowe loki. Przytknęła palec wskazujący do ust i szepnęła „ćśśś!”, tym razem już nie patrząc na przedmiot, ale na gości.

- A spirala kręci się, kręci i mnie wciąga. Trzyma i nie puszcza – Adi powtórzył słowa, które wypowiedziała wkoło ostatnim razem, gdy opuszczali jej pokój. Chłopak uważnie obserwował reakcję młodej kobiety. Zdawała się rozumieć więcej niż ostatnio.

Cari ponownie skinęła głową, po raz kolejny przytykając palec do ust i nakazując zachowanie ciszy.

- Czy to twoja moneta? – spytała w końcu elfka.

Ponowne skinięcie głową.

- Ona słyszy. I mówi - wyszeptała, zerkając z ukosa na złoty przedmiot.

- Na ognie piekielne, Cari! - warknął nagle Galandir głosem pełnym gniewu i cisnął złotym krążkiem w dziewczynę. Moneta odbiła się od jej ramienia i wylądowała obok niej na łóżku. Jednak dziewczyna w żaden sposób nie zareagowała na gwałtowny wybuch półelfa.

- Galandirze! - syknęła Thalianna, doskoczyła do przyjaciela i odciągnęła go parę kroków do tyłu. Jego porywcza reakcja niesamowicie zaskoczyła pozostałych towarzyszy. - Chcesz ją wystraszyć?

- Nie widzisz, że ona nam się nie przyda? Jest tak durna, że ledwo składa zdanie! Zupełnie bezużyteczna, a my tracimy tutaj czas. W ogóle to nie jest nasze zmartwienie - odwarknął półelf, mrużąc szare oczy i wyszarpnął ramię z uścisku kobiety.

- Co w ciebie wstąpiło? - spytała ostro Culchie, nie rozumiejąc zachowania swego przyjaciela.

- Galandirze, uspokój się - dodała łagodnie tropicielka, jednak już nie zbliżała się do mężczyzny. - Nie możemy tak zostawić tych ludzi. Teraz to jest również nasza sprawa. Ale ty może poczekaj na dole z ojcem Cari, dobrze?

- Jak chcesz - rzucił gniewnie, zabrał z łóżka monetę i szybko poszedł na dół.

- Co go ugryzło? - mruknęła Culchie, zerkając na pozostałych. Cari wciąż siedziała na łóżku i przyglądała się im. Kiedy zerknęli na nią, odezwała się ponownie.

- Spirala kręci się, kręci. Wciąga i trzyma. Ona szepcze do niego.

- Cari, skąd wzięłaś tę monetę ze spiralą? - Adi skierował całą swą uwagę na nią.

- Och, znalazłam - westchnęła lekko. - Taka ładna, błyszcząca. Mówiła do mnie i mnie prosiła.

- Prosiła cię? O co cię prosiła? - wypytywał coraz bardziej zaniepokojony czarodziej.

- Krew. Chciała krwi. Mojej krwi. Dałam jej ją, ale ona mnie wciągała. Kręciła się. Wciąż mnie nie puszcza. Nie mogę odejść. Trzyma mnie. Tak, spirala. Spirala, ona szepcze.

Kobiety spojrzały na towarzysza, na którego twarzy malowało się zrozumienie wymieszane z niepokojem. Widząc ich pytające spojrzenia, wyjaśnił szybko:

- Wiele takich magicznych przedmiotów i czarów wymaga krwi, by działać. Wygląda na to, że Cari nieświadomie uaktywniła monetę, która zaczęła zatruwać umysły mieszkańców Zethar.

- Ale w końcu zgubiłaś monetę ze spiralą, tak? - tropicielka spytała dziewczynę.

- Nie, nie, nie - odparła tamta, energicznie machając głową na boki. - Dałam ją. Chciała iść. Położyłam ją u pana Norta. Potem już jej nie miałam. Zostawiła mnie, ale wciąż szepcze.

- Ach, a więc tak było. Ona podrzuciła monetę Nortowi, a ten przekazał ją dalej, a potem następny dawał ją kolejnej

osobie, aż wreszcie Ailla ją znalazła - podsumowała Culchie.

- Moneta wpływała na ich umysły, każąc im robić różne rzeczy, nawet zabić się - mruknął Adi, zaczynając rozumieć coraz więcej z zagadki Zethar.

- Ale jak to zatrzymać, czarodzieju? - spytała Thali, rzucając krótkie spojrzenie na brązowowłosą dziewczynę.

- Nie tutaj - odparł chłopak, również zerkając na Cari. - Chodźmy na dół po Galandira. Wtedy wytłumaczę.

Córka zarządcy odprowadziła ich milczącym spojrzeniem swych czekoladowych oczu. Kiedy zeszli na dół, zobaczyli, że ich towarzysz stoi w korytarzu, opierając się plecami o ścianę. Zarządca Zethar czekał w fotelu w salonie. Pożegnali się z mężczyzną i szybko opuścili dom. Gdy oddalili się nieco, wszyscy spojrzeli badawczo na półelfa, jednak ten nic nie powiedział.

- Jak byliśmy w pokoju Cari, to zacząłem się zastanawiać nad zatrzymaniem tej klątwy - zaczął Adi. - Nigdy nie zajmowałem się czymś takim, być może mój mistrz wiedziałby, jak unieszkodliwić magiczny artefakt, ale pomyślałem, że można go zniszczyć w ogniu. W magicznym ogniu.

- Sądzisz, że to powstrzyma działanie klątwy? - spytała Culchie.

- Pewności nie mam, ale co mamy do stracenia?

- Chwila - przerwał nagle półelf. - Zamierzacie zniszczyć monetę?

- Galandirze, nie teraz... - Tropicielka nie zdążyła skończyć, gdyż podbiegła do nich młoda dziewczyna w wieku Cari.

- Ailla zwariowała! - wykrzyknęła przestraszona, łapczywie nabierając powietrza w płuca.

- Spokojnie - Adi podszedł do dziewczyny i położył dłonie na jej ramionach, by ją uspokoić. - Jak się nazywasz?

- Glenn, proszę pana - odparła szybko jasnowłosa dziewczyna, wciąż ciężko dysząc po biegu. Jej wygląd był zupełnie niewyróżniający się, wręcz przeciętny.

- Dobrze, Glenn, teraz powiedz, co się dokładnie stało - polecił jej czarodziej, opuszczając ręce i uważnie słuchając relacji.

- Poszłam do Ailli poprosić o trochę ziół, ale jak weszłam do jej domu i zapytałam, czy mi je da, to ona w ogóle nie zwracała na mnie uwagi - wyjaśniła szybko wieśniaczka. - Stała w kuchni i gapiła się w stół. I ciągle coś gadała o spirali i że coś ją trzyma. Ale sama widziałam, że nic jej nie trzymało! Przysięgam!

- Uspokój się, Glenn - odparła Thali. - Idź do domu, my się tym zajmiemy.

Młoda kobieta pokiwała głową i posłusznie się oddaliła.

- Monetą zajmiemy się za chwilę. Najpierw sprawdzimy lepiej, co z zielarką - rzucił czarodziej i zaczął pospiesznie prowadzić pozostałych w stronę właściwego budynku.

Powoli zbliżał się wieczór, niebo zaczynało już ciemnieć. Kiedy zapukali do drzwi domu zielarki i nikt nie otworzył,

sami weszli do środka. Zastali rudowłosą kobietę przy stole kuchennym, tak jak opowiedziała im Glenn.

- Aillo? - rzuciła niepewnie Culchie.

Kobieta nie zwróciła na nich najmniejszej uwagi, wciąż przerzucając zioła z miejsca na miejsce i szepcząc coś pod nosem. Zachowywała się zupełnie jak Cari Kitto.

- Musimy kogoś tutaj zawołać, żeby pilnował ją, dopóki czegoś nie wymyślimy - zaproponowała elfka. - Chodźcie, na dworze na pewno kogoś znajdziemy.

Opuściwszy chatkę, zawołali pierwszą osobę, którą zobaczyli. Była to kobieta w średnim wieku. Szybko wyjaśnili jej, żeby została z zielarką i jej doglądała.

- Dobra, sprawdźmy, czy zniszczenie złotego krążka coś da - rzekł Adi. - Chodźmy lepiej na obrzeża wioski, gdzie nic nie stoi.

Ruszyli całą grupą, opuścili centrum wioski i oddalili się kawałek, tak by najbliższe zabudowania znajdowały się kilkanaście jardów od nich.

- Galandirze, połóż monetę na ziemi. Odsuńcie się - poinstruował wszystkich Adi.

Gdy wykonali jego polecenia, czarodziej zaczął szeptać jakieś słowa w magicznym języku i po chwili spod jego palców wyłoniły się pomarańczowe i czerwone jężory ognia, które łapczywie sięgnęły ku przedmiotowi na ziemi. Magiczny ogień rozświetlił okolicę, rzucając wokół pomarańczową poświatę oraz tworząc tańczące cienie. Po kilku sekundach zaczął rozchodzić się zapach przypalanej trawy i podgrzewanej ziemi, pojawił się też dym, który

powędrował ku ciemniejącemu niebu. Adi przytrzymał ognisty czar jeszcze kilkanaście sekund, po czym wypowiedział jakieś słowo i ogień nagle zniknął.

Oślepieni tak intensywnym światłem widzieli teraz jedynie ciemność. Jednak po chwili ich wzrok ponownie przyzwyczaił się do zmroku, a wtedy podeszli do poczerńniętego okręgu na ziemi. W środku widniała jasna plama. Gdy czarodziej wyciągnął rękę w tym kierunku, poczuł ciepło niesamowicie rozgrzanego metalu. Przykrył stopiony i teraz już zniekształcony krążek garścią ziemi.

- Przydałoby się to jakoś ukryć - rzuciła sucho Culchie, sceptycznie przyglądając się wypalonemu kręgowi trawy.

- Dobry pomysł - uznał młodzieniec i tym razem manipulując żywiołem ziemi, sprawił, że poczerńnięty krąg ponownie zazielenił się świeżą trawą.

- Od razu lepiej - dodała czarnowłosa kobieta, klepiąc towarzysza po ramieniu.

- Wracajmy. Jutro się przekonamy, czy przyniosło to jakieś efekty - rzekła posepnie elfka. - Robi się późno, a każdemu z nas przydałaby się odrobina snu.

Thalianna rzuciła uważne spojrzenie w stronę milczącego półelfa.

- Galandirze? Nic ci nie jest? - spytała zatroskana.

Półelf cofnął się i rzucił cichą odpowiedź:

- Nie. Chodźmy.

I bez słowa, nie czekając na resztę towarzyszy, ruszył do wioski. Wymieniając niespokojne i zatroskane spojrzenia, pozostali dogonili przyjaciela i w milczeniu

dotarli do karczmy, w której wynajęli pokój na noc. Wciąż nie wiedzieli, czy udało im się uwolnić Zethar od klątwy, jednak bez dalszych dyskusji udali się na zasłużony spoczynek.

Szybko zapadli w głęboki sen, który trwał nieprzerwanie przez kilka następnych godzin. Jednak nie było im dane spędzić spokojnie całej pory nocnej w karczemnych łózkach. Gdy przyjaciele wciąż byli pogrążeni we śnie, jedna osoba wcale nie spała.

Galandir siedział na swoim łóżku, miał w ręce kawałek pościeli, co chwilę puszczał ją i ponownie zaciskał pięść na materiale. Wpatrywał się w ciemność przed sobą i mamrotał po cichu:

- Dlaczego? Przestań, nic nie mów... Nie... Powiedziałem ci, zamknij się! Nie, nie. Idź sobie!

Nagle podniesiony i ostry syk półelfa wyrwał ze snu jego towarzyszkę. Culchie błyskawicznie zerwała się z łóżka i sięgnęła do leżącej na ziemi broni. Gdy usłyszała niepokojące szepty, jej zmysły stanęły w stanie najwyższej gotowości, mięśnie napięły się gotowe do szybkiej reakcji. Kiedy zorientowała się, że to półelf, zapytała:

- Galandirze, co ty wyprawiasz?

Gdy nie otrzymała odpowiedzi, podeszła do wojownika i lekko szarpiąc go za ramię, ponowiła pytanie:

- Galandirze?!

Znowu nic. Wciąż mamrotał, jakby z kimś rozmawiał. To wcale nie spodobało się czarnowłosej kobiecie, która poczuła, jak nieprzyjemny dreszcz przechodzi jej po

plecach. Nie czekając ani chwili dłużej, zbudziła elfkę i czarodzieja i powiedziała, że ich przyjaciel dziwnie się zachowuje.

- Galandirze? - zawołał cicho Adi, zerkając na wojownika, gdy tropicielka zapaliła już świecę.

- Na ognie piekielne! - syknął czarodziej, gdy jedyną odpowiedzią, jaką otrzymał od półelfa, było ciągle powtarzanie słów, które nie miały najmniejszego sensu.

- On zachowuje się jak Cari i Ailla - zauważyła z przerażeniem Culchie. - Adi?

- Ale jakim cudem?

- Nie wiem, Thali... - odparł młodzieniec słabym głosem. - Już wcześniej zachowywał się niepokojąco. Wtedy jak nakrzyczał na Cari, pamiętacie?

- Owszem, ale to nie może być prawda! To oznacza, że zniszczenie tego przeklętego krążka niczego nie zmieniło - jęknęła elfka, zerkając na półelfa, który wciąż nie zwracał na nich uwagi.

- Cholera, co my teraz zrobimy? - spytała niepewnie Culchie. - Ailla Dia mówiła, że ten etap klątwy trwa około dwóch dni i kończy się śmiercią. Nie możemy pozwolić, by coś złego stało się Galandirowi!

W jej głosie wyraźnie pobrzmiwał strach, a na twarzy malowała się troska. Choć ta kobieta zwykle nie uzewnętrzniała swych uczuć, nawet w towarzystwie przyjaciół, teraz najwidoczniej przestała panować nad swą powściągliwością. Usiadła ciężko na brzegu jednego z łóżek i zakryła twarz dłońmi. Wszyscy martwili się stanem ich

półelfiego przyjaciela oraz jego losem. W milczeniu rozważali wszelkie opcje, które mogłyby im w jakiś sposób pomóc. W końcu, po upływie kilkunastu minut, tropicielka klasnęła w dłonie.

- Wiem! - sapnęła. - Że też wcześniej nie pomyślałam!

- Co jest, Thali? - spytał Adi, ożywiony nagłym wybuchem kobiety.

- Być może znam kogoś, kto mógłby pomóc Galandirowi - odparła szybko. - To jest kapłanka, może jakoś zdoła zdjąć z niego klątwę. Musimy natychmiast wyruszyć, by dotrzeć do Orstlake, nim...

- Nim skończy nam się czas - dokończyła za nią ponuro Culchie.

- Jeśli zaraz wyruszymy i pogonimy konie, to uda nam się dojechać na miejsce w półtora dnia.

- To nasza jedyna nadzieja - szepnął Adi i pomógł kobietom pakować ich skromny ekwipunek.

Już po chwili byli gotowi i prowadzili schodami na dół swego towarzysza. Kiedy opuścili karczmę i skierowali się w stronę stajni, powstało nagłe poruszenie. Pojawiły się światła świeczek i latarni, ludzie zaczęli wybiegać ze swych domostw, ktoś podniósł krzyk, który rozniósł się po całej wiosce.

- Co się stało?! - syknęła Thalianna, trzymając za ramię półelfa.

Złapali pierwszą osobę, która mijała ich w pośpiechu.

- Co się dzieje? Skąd to zamieszanie? - Culchie spytała młodego chłopaka, prawdopodobnie w jej wieku.

- Jak to co? Podobno znaleźli zielarkę. Martwą - odparł pośpiesznie.

- Na ognie piekielne! - skwitował czarodziej, po czym zwrócił się do chłopaka. - Mam dla ciebie ważne zadanie. Znajdź zarządcę Vareca i przekaz mu, że musieliśmy natychmiast wyruszyć w drogę powrotną. Rozumiesz?

- Tak, już biegnę.

I młodzik po chwili zniknął wśród ludzi. Natomiast oni, nie mogąc już nic począć w sprawie śmierci zielarki, ruszyli ku stajni. Źródło klątwy, które zatruwało umysły wieśniaków, zostało zniszczone w magicznym ogniu, toteż nie powinno już wpływać na ich wolę, jednak szkody zostały poczynione i niektórych z nich nie dało się już odwrócić. Pośpiesznie przytroczyli ekwipunek do juków i nie zwlekając ani minuty dłużej, pogonili konie w stronę Orstlake.

Światła z wioski Zethar szybko znikały w oddali, a oni pędzili do swego celu. Niebo było upstrzone gwiazdami, dzięki którym mogli utrzymać odpowiedni kierunek i nie zboczyć ze ścieżki. Koń Galandira galopował u boku wierzchowca elfki. Kobieta trzymała wodze obu koni, co jakiś czas zerkając z troską na swego przyjaciela.

Mieli mało czasu i nie byli pewni, czy uda im się ocalić towarzysza. Jednak to była ich jedyna nadzieja, toteż trzymali się jej kurczowo, nieustannie popędzając wierzchowce...

12. I co dalej?

WIDZĄC NADBIEGAJĄCYCH TOWARZYSZY, tropicielka pomachała w ich stronę w ponagającym geście. Dwoje ludzi szybko przebiegło dystans dzielący ich od elfki i już po chwili stali zbici w jedną grupkę. Thalianna już w drodze przedstawiła im dokładniej swój pomysł dostania się do Berkeep i odnalezienia tam kapłanki, którą znała z dawnych lat.

Pod mury Orstlake dotarli w ciągu półtora dnia. Wciąż był wczesny ranek, jednak to nie miało dla nich znaczenia. Zaraz mieli znaleźć się w tunelach, głęboko pod ziemią, gdzie nigdy nie świeciło słońce. Elfia kobieta odnalazła tajemne wejście do miasta, znajdujące się tuż obok wielkiego głazu. Z pochodnią w dłoni wczołgała się do ciemnej dziury i zapaliła łuczywo, by rozjaśnić mrok i umożliwić bezpieczną podróż do miasta.

Po chwili zmagania, jęków i popychania przez dziurę przeszedł Galandir, którego stan zdawał się pogarszać z każdą godziną. Plecaki podróżników łupnęły głucho o ziemię, a po nich pojawili się Adi i Culchie. Thali złapała

półelfa za dłoń i pociągnęła go, ruszając przed siebie. Nikt już nie wsłuchiwał się dokładnie w słowa mężczyzny, gdyż wszyscy troje doskonale zdawali sobie sprawę, iż nie mają one najmniejszego sensu.

Ponieważ tropicielka dobrze знаła drogę do Berkeep, mogła poprowadzić towarzyszy bez żadnego problemu. Szybkim krokiem przemierzali kręte korytarze, aż zupełnie stracili poczucie czasu. Elfce przytrafiało się to za każdym razem, gdy wędrowała długimi tunelami. W końcu dotarli do celu - korytarz otwierał się na wielkie podziemne miasto.

Thalianna uśmiechnęła się lekko na znajomy widok, jednak jej twarz szybko ponownie przybrała ponury wyraz. Wkroczywszy w uliczkę, gdzie niegdyś spotkana drowka posłała ją do karczmy znajomego elfa, skierowała swe kroki w kierunku tawerny Odmęty Chaosu. Znajdowała się ona bliżej niż siedziba Krun'hii, a kobieta nie chciała ciągać za sobą obłąkanego przyjaciela, który mógł ściągnąć na nich zbędną uwagę.

Pospieszając towarzyszy, zgasiła pochodnię i odrzuciła ją na bok. Słyszała, jak przyjaciele wymieniają między sobą ciche uwagi na temat Berkeep. Oni nigdy nie mieli okazji, by odwiedzić owo miasto, jednak u elfiej tropicielki powrót wywołał mieszane uczucia. Choć okoliczności, w jakich tu trafili, nie były wesołe, to Thalianna czuła pewnego rodzaju radość z możliwości spotkania dawnych przyjaciół oraz wizyty w tym niezwykłym miejscu. Mimo to wiele aspektów

miasta nie podobało się jej i wywoływało u niej negatywne odczucia.

Po kilkunastu minutach kobieta dostrzegła dobrze znaną karcznię. Bez wahania z rozmachem otworzyła drzwi i wciągnęła za sobą półelfa, który patrzył przed siebie pustym wzrokiem i mamrotał jakieś słowa, jakby się z kimś spierał. Wszyscy czworo weszli w głąb wielkiej sali. Po chwili w ich nozdrza uderzył przyprawiający o mdłości odór. Był to zapach taniej karczmy wymieszany ze smrodem wymiocin, dymu oraz tanim piwem, które popijało wiele osób. Thalianna uśmiechnęła się krzywo, z trudem powstrzymując nagłe protesty żołądka. Jej uśmiech poszerzył się jeszcze mocniej, gdy usłyszała za sobą gwałtowne reakcje swych ludzkich towarzyszy. Elfka skierowała się do kontuaru i dostrzegła mężczyznę, opierającego się plecami o drewniany filar. Feyn - właściciel karczmy - również ją zauważył. Uniósł dłoń w geście powitania, a jego młodą twarz rozświetlił wesoły uśmiech.

- Thali! - zawołał i z gracją przeskoczył przez szynkwias. Po kilku krokach chwycił tropicielkę w objęcia i mocno uściskał. - Co cię tu sprowadza?

- Feyn... - szepnęła cicho kobieta, kręcąc lekko głową, a jej twarz ponownie przybrała zatroskany wyraz. - Muszę znaleźć Krun'hię. Mój przyjaciel Galandir znalazł się pod wpływem klątwy i Krun'hia jest naszą jedyną nadzieją. Możesz zabrać moich towarzyszy na zaplecze? Nie chcę, by półelf przyciągał niepotrzebną uwagę...

- Dobrze, ale... - zaczął mężczyzna, uważnie spoglądając orzechowymi oczami na półelfa.

- Nie teraz, Feyn, proszę - rzuciła krótko Thalianna. - Muszę znaleźć drowkę. Culchie, pomóż Adiemu i idźcie z Feynem. Możecie mu zaufać.

Po czym wybiegła z karczmy, nie oglądając się za siebie. Szybkimi susami pędziła przez miasto, kierując się w stronę dzielnicy, gdzie drowia kapłanka miała swój dom w stalaktycie.

Po kilkunastu minutach biegu wreszcie dotarła na miejsce. Ciężko oddychając, załomotała w drzwi, które otworzyła drowia kobieta. Na widok gościa uśmiechnęła się, gdy jednak dostrzegła zaniepokojony wyraz twarzy tropicielki, szybko oceniła sytuację, a jej oczy natychmiast się zwęziły.

Zdyszana Thalianna bez słowa wpadła do środka. Dopiero gdy jej oddech się uspokoił, odezwała się.

- Miło znów cię widzieć, choć chciałabym, by okoliczności były bardziej sprzyjające - powitała przyjaciółkę i w kilku krótkich zdaniach wyjaśniła, po co przybyła.

Mroczna elfka zawołała małego kobolda o psim pysku i we troje udali się do karczmy Odmęty Chaosu. Po drodze Thali dokładniej wyjaśniła swym towarzyszom, co wie na temat klątwy, i opisała zachowanie Galandira.

Gdy wpadli do gospody, od razu dostrzegli Feyna, który stał przy kontuarze i wyraźnie ich wypatrywał. Gdy drzwi za nimi trzasnęły, elf zerknął w ich stronę i po chwili

zniknął w pomieszczeniu na zapleczu. Popędzili za nim, a gdy już znaleźli się wszyscy razem, powitali się zaledwie przelotnym spojrzeniem.

- A więc to jest ta kapłanka, o której wspominałaś? - Adi zwrócił się do tropicielki nieco zaskoczony, gdyż elfka nigdy nie wspominała, że kapłanką jest drowka.

Thali skinęła tylko głową, wciąż patrząc na przyjaciółkę o mahoniowej skórze.

- Kapłanko, możesz pomóc Galandirowi? - wtrąciła Culchie.

- Dajcie mi chwilę. Thali opowiedziała wszystko, co najistotniejsze, ale potrzebuję trochę czasu na zbadanie waszego przyjaciela - wyjaśniła drowka.

Krun'hia Tidell rozpoczęła swe czary, cicho nucąc jakieś słowa nad półelfem. Po upływie kilku długich minut przerwała i zwróciła się do małego kobolda w języku drowów, w którym widocznie woleli się porozumiewać. Choć Thalianna znała w pewnym stopniu ojczystą mowę mrocznej elfki, poczekała, aż ona sama przemówi i wszystko wyjaśni. Natomiast Galandir wciąż siedział na drewnianej skrzyni.

- Nie jestem w stanie pomóc waszemu przyjacielowi - zaczęła Krun'hia, wiedząc, że jej słowa nie będą łatwe dla towarzyszy półelfa. - Nawet moja moc kapłańska nie jest w stanie uleczyć Galandira. Przykro mi, ale jest już za późno. Nic nie da się zrobić...

- Ależ Thalianno! Przecież mówiłaś... - wykrzyknęła zrozpaczona Culchie, spoglądając na elfkę.

- Skąd mogłam wiedzieć?! - wrzasnęła w odpowiedzi tropicielka, również nie wierząc, że nie da się już niczego zrobić.

- Uspokójcie się! - ludzki czarodziej wtrącił się w rozmowę w nadziei, że to uciszy jego towarzyszki. - Wasza kłótnia nikomu nie pomoże.

Kiedy krzyki ustały, przyjaciele zebrali się w zbitą grupę i zaczęli wypytywać kapłankę, czy nie ma innego sposobu na ocalenie półelfa. W tej chwili byli zbyt przejęci słowami drowki, by obserwować chorego przyjaciela - jak to czynili dotychczas.

Kiedy grupa składająca się z pięciu różnych ras była pochłonięta dyskusją, obłąkany półelf podniósł się ze skrzyni i zaskakująco szybkim i sprawnym ruchem rzucił się do przodu, po drodze wyszarpując sztylet zza paska Culchie. Następnie zaatakował brązowowłosego elfa, który był zwrócony do niego plecami. Właściciel karczmy nie mógł dostrzec tego ataku, a tym bardziej zareagować na coś, czego zupełnie się nie spodziewał. Jednak Thalianna kątem oka dostrzegła nagły ruch półelfa oraz błysk ostrza w jego dłoni. Zareagowała instynktownie i błyskawicznie wyciągnęła swój miecz, by odbić ostrze sztyletu nieuchronnie zbliżające się do karku elfiego mężczyzny.

- Nie, Galandirze! - wrzasnęła wyraźnie zszokowana.

Na krótką chwilę całkowicie zapomniała o obłąkanym umyśle swego przyjaciela. Chociaż jej ostrze z głośnym zgrzytem powstrzymało śmiertelny cios, to miecz, który dzierżyła w dłoni, był ustawiony pod niefortunnym kątem,

tak że czubek broni został wymierzony w pierś półelfa. Jednak oszalały umysł Galandira zdawał się zupełnie ignorować ten fakt, a mężczyzna w dzikim szale miał tylko jeden cel: wykonać śmiertelny cios.

Pozostali stali w osłupieniu, przyglądając się scenie, która trwała nie dłużej niż kilka sekund. Żadna racjonalnie myśląca osoba nie kontynuowałaby ataku, jednak Galandir nie był już zdolny do racjonalnego myślenia. Wykonując szybki krok w stronę Feyna, by zadać cios, nadział się z impetem na wystawiony do przodu miecz tropicielki. Ostrze zanurzyło się gładko i wbiło głęboko w ciało półelfa, dokładnie pomiędzy żebra. Sztylet wyleciał mu z dłoni, a mężczyzna zachwiał się i upadł na drewnianą podłogę, lądując na kolanach i podpierając się dłońmi. Osuwając się, wyrwał rękojeść miecza z drżącej ręki elfki, która stała teraz z wyrazem niemego krzyku i przerażenia w szeroko rozwartych oczach.

- Nie! - Thalianna wrzasnęła zduszonym i zarazem drżącym głosem, jednocześnie rzuciła się w stronę towarzysza, klękła tuż obok i podtrzymała go, nim ten całkowicie osunął się na podłogę. Ostrożnie wyjęła z rany ostrze, które się w niego wbiło, i odrzuciła je na bok. - Galandirze...

Podniosła głowę, by rozejrzeć się po zebranych i dostrzegła niedowierzenie i strach malujące się na twarzach czarodzieja i czarnowłosej kobiety. Po chwili przyjaciele klęczeli przy niej. Zielone oczy Thalianny

zaszklify się i łzy spłynęły po jej policzkach, zostawiając srebrzyste ślady i lądując na tunice półelfa.

- Nie, nie... To nie tak miało być... - szeptała rozgorączkowanym, łamiącym się głosem, łkając cichutko i nie chcąc uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Cały czas trzymała półelfa w ramionach i mocno tuliła go do siebie, jakby to mogło zatrzymać ulatujące z niego życie.

Natomiast Galandira opuściła chęć zabijania. Choć rana nie zabiła go od razu, to niebawem miał się skończyć jego czas. Adi i Culchie również patrzyli zażwawionymi oczami to na Galandira, to na elfkę, nie rozumiejąc do końca, co się wydarzyło. Byli jedynie pewni, że ich przyjaciel umiera.

- Krun'hio... - wychrypiała tropicielka, błagalnie patrząc na drowkę.

Kapłanka od razu zrozumiała, o co prosi elfka. Drowka była w stanie wyczytać to z błagalnego i zrozpaczonego wyrazu twarzy przyjaciółki. Podeszła do klęczącej kobiety, położyła mahoniową dłoń na jej ramieniu w pocieszającym geście i z ciężkim westchnieniem rzekła spokojnym, cichym głosem:

- Daj mu odejść, Thalianno. Mogę uleczyć rany jego ciała, lecz nie jestem w stanie uzdrowić umysłu. Nie skazuj go na dalsze męki. Dobrze wiesz, że stanowi zagrożenie zarówno dla samego siebie, jak i dla każdego w jego pobliżu. Daj mu odejść teraz.

Po chwili ciszy, która wypełniła pomieszczenie, odezwała się Culchie lekko zachrypniętym głosem.

Odchrząknęła i już nieco bardziej normalnym tonem powtórzyła:

- Ona ma rację, Thali. Galandir nie chciałby tego. Tak będzie lepiej...

Siedzieli tak przez kilkanaście minut, patrząc, jak życie uchodzi z półelfa wraz z krwią, która rozlała się po podłodze dookoła nich. Pozostali stali w milczeniu, nie chcąc przerywać ciszy i pozwalając pożegnać się przyjaciołom.

Półelf zdawał się nie dostrzegać tego, co działo się dookoła, zupełnie nie reagował na otoczenie. W końcu zamknął powieki osłabiony utratą krwi i resztką życia, jaka wciąż się w nim tliła, uleciała bezpowrotnie. Mógł się udać na wieczne spotkanie ze swymi dawno zamordowanymi rodzicami. Towarzysze nie byli w stanie powstrzymać gorzkich łez, które same cisnęły im się do oczu. Adi i Culchie w końcu zdołali jakoś opanować emocje na tyle, by wstać od nieruchomego już ciała mężczyzny, jednak Thalianna wciąż siedziała w kałuży krwi, która częściowo wsiąknęła w jej ubranie, i nieprzerwanie płakała, nie będąc w stanie powstrzymać szlochu. Poczwała, jak czyjeś silne i smukłe dłonie chwytają ją mocno, ale zarazem delikatnie i pomagają jej wstać, odciągając na bok, z dala od plamy szkarłatnej, krzepnącej krwi.

- Thalianno. - Feyn lekko potrząsnął ramionami elfki, by zwrócić na niego uwagę. Głos elfa był miękki, delikatny jak szept. Niósł odrobinę ukojenia w jej cierpieniu.

- Może to nie jest najlepsza chwila, ale co zrobimy z ciałem? - spytał Adi, a w jego tonie nie pobrzmiwała ani odrobina typowej dla niego wesołości, jedynie smutek.

- Nie mamy tutaj cmentarzysk. Rzadko ktoś przejmuje się czymś takim. Na ogół zwłoki lądują w rynsztokach albo ściekach. Czasem są spalane, jeśli ktoś chce urządzić godny pochówek umarłemu - wyjaśniła Krun'ha.

- W jednej z alejek za karczmą jest dostatecznie dużo miejsca. Niezbyt rozsądnie byłoby wędrować z ciałem po ulicach Berkeep - dodał Feyn, mocniej obejmując Thaliannę. Elfka wyraźnie cierpiała; znacznie bardziej niż dwoje jej ludzkich towarzyszy odczuwała stratę.

- Lepsze to niż wylądowanie w ściekach - mruknęła Culchie, podeszła do nieruchomego ciała na podłodze i spojrzała w dół ze smutkiem malującym się na twarzy. - Adi, pomóż mi, musimy go przenieść.

- Idźcie drzwiami prowadzącymi na tyły - doradził elf. - Faerl, znasz drogę. Poprowadź ich, my za chwilę dołączymy do was.

Chwilę później przyjaciele zebrali się, by przygotować pochówek dla Galandira. Kiedy już ułożono zwłoki na kilku drewnianych skrzyniach, Adi wypowiedział inkantację czaru ognia, który w szybkim tempie pochłonął ciało ich przyjaciela.

Żadne z nich nie miało najmniejszej ochoty na rozmowy czy inne przyziemne sprawy. Elf zaproponował Thaliannie i jej

towarzyszom, by zostali w jego karczmie przez jakiś czas, aż nieco ochłoną i wymyślą, co dalej począć. Culchie i Adi od razu udali się do zaoferowanego pokoju. Natomiast Krun'hia i Faerl, nie wiedząc, jak pomóc przyjaciółce, usiedli przy wolnym stoliku, popijali wino i obserwowali. Nie byli pewni, czy Thalianna będzie ich potrzebować w najbliższym czasie, jednak postanowili zostać. Choć Galandir nie był ich bliskim towarzyszem i nie znali półelfa, również odczuwali smutek z powodu jego nieoczekiwanej i tragicznej śmierci.

Feyn co jakiś czas pojawiał się przy kontuarze i zerkał na salę. Zwykli goście, znani bywalcy, którzy przyszli napić się, zupełni nieświadomi wydarzeń, które miały miejsce w pomieszczeniu na zapleczu. Mężczyzna zorientował się, że nie widział tropicielki od dłuższego czasu. Czarodziej i czarnowłosa ludzka kobieta udali się na górę do pokoju – sam dał im klucz. Szybkie spojrzenie rzucone na salę potwierdziło przypuszczenia, że drowka i kobold wciąż są w karczmie. Elf odwrócił się od szynkwasu i wszedł do pomieszczenia na zapleczu.

Tak jak podejrzewał, Thalianna siedziała na drewnianej skrzynce, która służyła do przechowywania butelek wina. Podeszedł do kobiety, kucnął przed nią i chwytając jedną z jej smukłych dłoni, zapytał:

- Thali, co się dzieje?

Elfka już nie płakała. Po prostu siedziała przepełniona smutkiem i przygnieciona psychicznym bólem, który zdawał się tak nieznośny jak fizyczna rana. Uniosła głowę i wbiła

zielone oczy w mężczyznę. Jedno spojrzenie wystarczyło, by Feyn dodał:

- Oczywiście, że jesteś smutna z powodu utraty przyjaciela, ale widzę, że nie tylko o to chodzi. Gdzieś w głębi duszy czułaś, że Galandir umrze. Jednak cierpisz znacznie bardziej niż twoi ludzcy towarzysze. Powiedz mi, co się dzieje, Thalianno?

- To nie oni trzymali ten miecz. Ja go dzierżyłam. Zupełnie zapomniałam, że Galandir... Jak mogłam zapomnieć? To moja wina. - Zwiesiła głowę i pokręciła nią bezradnie.

- Kochana, posłuchaj mnie teraz bardzo uważnie. To nie była twoja wina - odparł mężczyzna, pojmując wreszcie prawdziwy powód jej głębokiego smutku. - Gdyby nie ty, najpewniej obaj z Galandirem leżelibyśmy martwi na deskach karczemnej podłogi. Zrobiłaś, co musiałaś, by chronić jednego ze swych przyjaciół. Pomyśl zresztą, być może nie znałem tego półelfa, ale jestem pewien, że nie chciałby być skazany na resztkę życia w obłądnie. Nikt by tego nie chciał. Pozwoliłaś mu odejść w dobry sposób.

- Ale, Feyn...

- Nie, posłuchaj. To nie ty go zabiłaś. To klątwa sprowadziła na niego obłąd, który doprowadził do śmierci.

Jeszcze chwilę spędzili w milczeniu, aż w końcu elf podniósł się, gestem nakłaniając tropicielkę, by uczyniła to samo.

- Dziękuję ci - rzekła.

- Nie. To ja dziękuję tobie, Thalianno z Lasu Asin Springs - odparł. - Lepiej nie siedź już sama, to nigdy nie pomaga. Idź i dołącz do swych towarzyszy na górze. I może zajmij się tą zakrwawioną tuniką...

Mocno uściśnął elfkę i delikatnie popchnął ją w kierunku sali głównej. To był nieprzyjemny i męczący dzień dla każdego z nich.

Kolejne dwa dni spędzili w karczmie Odmęty Chaosu, próbując otrząsnąć się z szokujących wydarzeń oraz odpoczywając po pospiesznej podróży, która miała ocalić półelfiego wojownika.

Trzeciego dnia, gdy siedzieli we troje przy szynkwasiu, popijając jakiś lepszy trunek niż tanie piwo, Adi obwieścił, iż chce im przekazać coś ważnego. Thalianna również pragnęła się czymś podzielić z resztą. W zachowaniu chłopaka i elfki Culchie wyczuwała napięcie i być może odrobinę niepokoju.

- Posłuchajcie - Adi zaczął jako pierwszy i zawahał się na krótką chwilę. - Ostatnio sporo myślałem nad tym, co będzie dalej. Mam pewne sprawy do załatwienia. I tak zwlekałem z nimi zbyt długo. Myślę... myślę, że być może już czas, by każdy ruszył w swoją stronę.

- Adi! Nie możesz! - zawołała Culchie i zaskoczona uderzyła pięścią w blat kontuaru. Zerknęła na elfkę w poszukiwaniu wsparcia. - Thali, powiedz mu, że nie może odejść!

Chwila ciszy. Niebieskooka kobieta ponownie spojrzała z niedowierzaniem na milczącą towarzyszkę.

- Nie mogę, Culchie - odparła tamta. - Myślę, że Adi ma rację. Też zastanawiałam się ostatnio, co poczniemy. Uznałam, że najwyższy czas, bym wróciła do swego klanu i opowiedziała im, co naprawdę zdarzyło się kilka lat temu. Czas ruszyć w swoją stronę.

- Wyście chyba oboje zwariowali! - warknęła kobieta, nie mogąc uwierzyć w słowa przyjaciół. - Jakoś nigdy przedtem nie spieszyło się wam, by wyjaśnić sprawy, które tyle odwlekaliście.

- Dopiero śmierć Galandira uzmysłowiła mi... - zaczął Adi, lecz niebieskooka przerwała mu.

- Śmierć Galandira niczego nie zmienia - wysyczała gniewnie, obojgu rzucając srogie spojrzenie. - Myślicie, że jak on odszedł, to my również mamy się rozdzielić? Wy chyba naprawdę nie myślicie jasno!

- Culchie, zrozum - czarodziej próbował wytłumaczyć. - Od wielu lat nie widziałem się ze swoją rodziną. Chcę spróbować naprawić nasze relacje. Nawet gdyby mieli mnie wygnać ponownie, muszę chociaż spróbować.

- Och, ależ rozumiem to - odparła. - Oboje chcecie zamknąć niedokończone sprawy i ja to popieram, całkowicie rozumiem, o co wam chodzi. Ale, na wszystkie Piekielne Otchłanie, nie potrafię pojąć, po jaką cholere chcecie się rozdzielać? Powinniśmy trzymać się razem!

- To jest wędrówka, którą sami powinniśmy odbyć, by odnaleźć spokój. Te nierozwiązane sprawy zawsze gdzieś

tam były i co jakiś czas przypominały o swoim istnieniu – wyjaśniła spokojnie tropicielka.

- Prędzej trafię do Piekielnych Otchłani, niż pozwolę wam tak po prostu odejść! – wybuchnęła rozzłoszczona kobieta. - Przecież możemy we troje udać się do Sulindal, by Adi porozmawiał z rodziną, a potem ruszymy do Lasu Asin Springs, żebyś mogła spotkać się ze swoim klanem. Chcecie tego czy nie, nie puszczę was samych. Możecie liczyć na moje wsparcie bez względu na wszystko. Niedawno straciliśmy Galandira, a ja nie zamierzam tracić kolejnych przyjaciół z powodu pochopnych decyzji.

Po krótkiej, zaskakująco emocjonalnej przemowie kobiety zapadło milczenie. Każde z nich wpatrywało się w swój kufel, na nowo rozważając pewne kwestie.

- Nie pozwolę wam tak odejść – rzekła w końcu Culchie już spokojniejszym tonem, jednak w jej głosie wciąż pobrzmiwały upór i pewność.

- Thali – zaczął czarodziej – może Culchie ma rację. Nie musimy samotnie ruszać dalej. Prawdę mówiąc, boję się tego spotkania z rodzicami i siostrą, a w takiej sytuacji przyjaciel u boku byłby ogromnym wsparciem.

- Odkąd się poznaliśmy, razem stawiliśmy czoła każdemu wyzwaniu, ramię w ramię – odparła elfka po namyśle. - Ja też się boję, Adi. Masz rację, Culchie. Przepraszam. Nie powinniśmy rezygnować z naszej przyjaźni tak łatwo. Galandir na pewno by tego nie chciał. Zmierzymy się z naszymi problemami we troje. Ramię w ramię.

- No, nareszcie zaczynacie gadać z sensem - burknęła kobieta, która tak uparcie przekonywała towarzyszy, że wcale nie muszą ruszać samotnie. Choć jej głos wciąż brzmiał szorstko, na twarzy pojawił się szeroki uśmiech. - A więc ustalone. Naszym pierwszym celem jest Sulindal, potem Las Asin Springs. Następnie powędrujemy do Doliny Harshdell. Najwyższy czas odwiedzić Grida i przekazać mu wieści o Galandirze.

- To kiedy ruszamy? - spytał czarodziej.

- Może resztę tego dnia... - Thalianna przerwała, wybuchając melodyjnym śmiechem.

- A ciebie, co tak rozbawiło? - Culchie zdawała się zupełnie dezorientowana zachowaniem towarzyski. Posłała zdziwione spojrzenie chłopakowi, który również nie miał pojęcia, co tak rozśmieszyło elfkę.

- Kiedy przybyłam do Berkeep po raz pierwszy i trafiłam do tej karczmy, spytałam Feyna o pokój na noc. Dosłownie - tropicielka wytłumaczyła ze śmiechem, przywołując wspomnienie tamtego dnia. - Właśnie po tym poznał, że dopiero co przybyłam do miasta, o którym nic nie wiem, i wtedy się poznaliśmy. Tutaj nie używa się określenia dzień jak na Powierzchni. W Berkeep panuje wieczna noc albo wieczny dzień, zależy, jak na to spojrzeć i jaką masz profesję.

- Ach, faktycznie dało się zauważyć, że jest tu trochę ciemno - zakpiła Culchie, również chichocząc.

- No dobrze, ale wracając do tematu - podjęła elfka, uspokoiwszy się nieco - resztę dzisiejszego czasu spędzimy

na odpoczynku. Możemy wyruszyć jutro. Czeka nas długa droga.

- To mamy ustalone - podsumował chłopak, dopił resztę trunku i odstawił kufel na blat. - A tymczasem wypijmy jeszcze, póki możemy.

Następnego dnia pożegnali się z Feynem, Krun'hią i Faerlem, a następnie wyszli na Powierzchnię, skąd rozpoczęli kolejną długą podróż. Chociaż wędrowali na wierzchowcach, podróż trwała ponad miesiąc.

W tym czasie Adi, mając wsparcie obu kobiet, spotkał się ze zwaśnioną rodziną i zyskał ich przebaczenie. Każde z nich potrzebowało czasu, by w końcu pojąć prawdę i zrozumieć, co liczy się naprawdę. Kilka dni odpoczywali w Sulindal, a młody czarodziej zdołał jeszcze odwiedzić swego dawnego elfiego nauczyciela, który był dla niego kimś więcej niż tylko mentorem.

Potem wyruszyli w drogę powrotną i zajęchali do Lasu Asin Springs. Jak się okazało, obawy Thalianny były bezpodstawne. Chociaż w niewoli zginęło wielu elfów, klan przetrwał i co więcej, udało im się zgładzić Daagnikhera, gdy ten przypuścił atak na elfią siedzibę. Tropicielka opowiedziała pobratymcom, co się wydarzyło od dnia jej zaginięcia. Elfy zrozumiały jej postępowanie, w końcu poświęciła się, by ratować innych, i zapłaciła tak wysoką cenę. Nikt nie miał do niej żalu, mogła w końcu zrzucić

z serca brzemię, które ciążyło jej tak wiele lat. Wreszcie mogła być spokojna o bezpieczeństwo swego klanu.

Kiedy Adi i Thali uporali się z przeszłością, przyjaciele skierowali się do Doliny Harshdell. Zamierzali spotkać się tam z Gridem, by opowiedzieć mu o śmierci Galandira. Bard zasługiwał, by znać prawdę i usłyszeć ją od nich osobiście.

A kiedy już ukończą zaplanowaną podróż, będą mogli usiąść w spokoju nad brzegiem jeziora i zastanowić się, co dalej. Wiedzieli jedno: podejmą kolejną wędrówkę. Razem. To właśnie podróż połączyła ich losy i związała nimi przyjaźni, sprawiając, iż stali się sobie bliscy niczym rodzina. Podróż była dla nich czymś więcej niż tylko wędrówką. To był sposób na życie, który przypominał im, że każdego dnia mają okazję ujrzeć nowy wschód słońca. Grid miał rację, mówiąc, że dopiero z upływem czasu pojmą, iż wędrówka jest czymś znacznie cenniejszym i bardziej istotnym niż tylko przemieszczaniem się z punktu do punktu. To ona zmieniła ich życie w tak wielkim stopniu.

Ostatecznie wyruszą w kolejną podróż, ramię w ramię jak prawdziwi przyjaciele. Tego byli pewni.

REDAKCJA: monika pasek
KOREKTA: aleksandra tykarska
OKŁADKA: krzysztof urbański
KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

© Beata Grynczel i Novae Res s.c. 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-7942-313-2

NOVAE RES - WYDAWNICTWO INNOWACYJNE
al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia
tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem
Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

